

**Alarm
w szpitalach**

**Prof. Bogdan Góralczyk
Birna między USA i Chinami**

**Platforma Obywatelska
– muzeum doktrynerów**

**Katarzyna Bonda
Kryminały biorą się z emocji**

SMOLEŃSKI HOCHSZTAPLER



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



Pomóżmy sobie wzajemnie

1%

**PIT
PODARUJ
SENIOROM**



BĘDĘ
SENIOREM!

KRS 0000161452



Fundacja „EMERYT”
ul. Ogrodowa 8, 00-896 Warszawa
tel.: (22) 620 40 44
www.fundacja-emeryt.org
e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org



Terror głupków

Zarażenie koronawirusem zaczyna się od nosa. Ta lekarska prawda ma w Polsce podwójny sens. Nasz nos jest bramą do choroby. Ale skala zachorowań i nieszczęść z tym związanych byłaby znacznie mniejsza, gdyby aż tylu Polaków nie miało tego problemu głęboko w tym drugim, symbolicznym nosie. Widzimy, jakie są skutki, gdy egoizm i głupota wygrywają z solidarnością i wiedzą. Na każdym kroku spotykamy butnych, bezczelnych i zadowolonych z siebie głupków, którym udało się sterroryzować większość społeczeństwa. Co z tym fantem mają zrobić ci, którzy karnie stosują się do zaleceń lekarzy i rozporządzeń władz?

Bezradność wszelkich władz wobec tego zjawiska jest szczególnie przygnębiająca. Sabotującym zalecenia pandemiczne przyszło to tym łatwiej, że mamy ogromny deficyt zaufania społeczeństwa do rządu. Pogłębiany dodatkowo przez kolejne niespójne i chaotyczne decyzje dotyczące walki z COVID-19. Mówienie o polskiej wspólnotce w warunkach pandemii jest fikcją.

Widać też coś jeszcze gorszego od epidemii. Bo co tę władzę absorbuje najbardziej? Na pierwszym planie są niekończące się konflikty wewnątrz coraz bardziej skłóconego obozu prawicy oraz wysiłki, by jak najmocniej zmarginalizować opozycję i samorządy niepisowskie.

Taka filozofia jest zabójcza, i to dosłownie, dla całego społeczeństwa. Nie da się bowiem skutecznie opanować

tak wielkiej i do końca nierozpoznanej epidemii bez wspólnego działania wszystkich struktur państwa razem z całą opozycją. Zasada wszystkie ręce na pokład jest w tym przypadku pierwszym i niezbędnym warunkiem powodzenia. A co mamy? Na czele sztabu szczepionkowego są bardzo lichy kadry. Bez autorytetu. Bo zaufanie, jakim na początku obdarzana jest każda władza, zostało szybko i skutecznie roztrwonione przez głupie decyzje i brak komunikacji z ludźmi.

Już dla nikogo nie jest tajemnicą, że walką z pandemią w skali państwa zarządzają amatorzy. Ludzie, którzy z propozycji ekspertów wybierają, co chcą. I nikt nie wie, dlaczego akurat to. Choć piszę o tym z uporem maniaka, to powtórzę raz jeszcze: w tym, co robią, nie ma elementarnego ładu.

W działaniach ekipy Morawieckiego nie ma też przejrzystości. Nikt nie wie, co jest za kurtyną jego sztabu. Nie ma jasno określonej odpowiedzialności za konkretne obszary. Nie wiemy zatem, kto i dlaczego nie potrafi skoordynować współpracy między pogotowiem ratunkowym a szpitalami covidowymi. Jeżdżą więc karetki od szpitala do szpitala i stoją w kolejkach. Przecież gdyby tak nieudolnie zarządzano firmami, to głowy by pospadały. A tu nic. Jeżdżą, bo taki jest dopust boży.

Na taką władzę nawet ci głupole bez masek nie zasługują.

BAKOWSKI



**OBSERWUJ,
SUBSKRYBUJ,
POLUB**

**PRZEGLĄD w mediach
społecznościowych**



CYTATY

PROF. PIOTR HOFMAŃSKI,
prezes Międzynarodowego Trybunału
Karnego w Hadze

*Po tym, co się stało w ciągu
ostatnich pięciu lat, nikt by Polski
do Unii Europejskiej nie przyjął.*
Onet

KONRAD RĘKAS, publicysta
*Nie ma najmniejszych wątpliwości,
że Romuald Rajs („Bury”)
był zbrodniarzem wojennym.*
„Myśl Polska”

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Smoleński hochsztapler**
Jak długo oszust będzie się panoszył?
- 10 Załódze zabrakło umiejętności**
– rozmowa z dr. Maciejem Laskiem
- 14 Muzeum doktrynerów**
PO upiera się przy neoliberalizmie
- 17 Po roku jesteśmy w punkcie wyjścia**
Lekarze walczą z zarazą i systemem
- 19 Zawsze krok za wirusem**
– rozmowa z Wojciechem Koniecznym
- 20 Zapachowy ślad**
– rozmowa z dr hab. Michałem Dzieciotem
- 22 Masczka czyni złodzieja**
Jak nas okradają w pandemii

ZAGRANICA

- 26 Czy Ameryka może się rozpaść**
Korespondencja z USA
- 29 Birma: junta i wielka polityka**
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem
- 32 Wiedeńskie zmagania z pandemią**
Ulica stała się kawiarnią
- 34 Masczki – klęska urodzaju**
Było za mało, teraz zalegają w magazynach
- 36 #IamMySong. Afganki walczą o głos**
Korespondencja z Kabulu
- 40 Walka o pustynię**
Maroko wywiera presję na Hiszpanię

HISTORIA

- 44 Telefony i raporty**
– rozmowa z dr Grażyną Trzaskowską

OPINIE

- 48 Radosław S. Czarnecki**
Czy czeka nas cybernetyczny gułag?

KULTURA

- 50 Pisanie jest nałogiem**
– rozmowa z Katarzyną Bondą
- 53 Culturalia**
- 66 Katarzyna Karpowicz**

OBSERWACJE

- 54 Zdjęcie Roku World Press Photo**

ZDROWIE

- 56 Ile stresu jest w alergii?**
Wina negatywnych emocji

EKOLOGIA

- 58 Najgorsza zima na Ziemi**
W kolonii pingwinów cesarskich

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Terror głupków
- 25 Jan Widacki**
Ministrowie spraw zagranicznych
- 39 Roman Kurkiewicz**
Jaja wielkanocne
- 43 Tomasz Jastrun**
Na karuzeli dni
- 47 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Wiosenne dymanko szpaków u Wielkiego Brata



36
ZAGRANICA

#IAMMYSONG. AFGANKI WALCZĄ O GŁOS

Korespondencja z Kabulu

50
KULTURA

PISANIE JEST NAŁOGIEM

– rozmowa
z Katarzyną Bondą



58
EKOLOGIA

NAJGORSZA ZIMA NA ZIEMI

W kolonii pingwinów cesarskich

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



✉ Suplement do tytułowania

W 14. numerze PRZEGŁĄDU znalazły się wstrząsające przykłady braku szacunku dla dwóch przywódców narodu: Dudy i naszego Stareńskiego Monarchy, cesarza Franciszka Józefa, nazywanego kiedyś Starym Pierdołą. Ta druga, galicyjska, popularna do dziś legenda ma umocowanie w faktach: określenia tego użył jesienią 1914 r. w liście z frontu oficer zawodowy, polski porucznik w służbie austriackiej. Nazwiska nie udało się dotąd ustalić; wiemy tylko, że zbrodnię ujawniła i skierowała do austriackiego sądu cenzura

wojskowa. W przygotowanej dla Wysokiego Trybunału ekspertyzie językowej trzej polscy językoznawcy, profesorowie Kazimierz Nitsch, Jan Łoś i Jan Rozwadowski, stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że pierdoła to nikt inny jak dobrotliwy staruszek. Oficera uniewinniono.

Określenia pierdoła (po czesku *prd'och*) używał również (oczywiście nigdy wobec FJ I, którego nad Wełtawą nazywano co najwyżej Starym Prochazką) ordynans 11. kompanii marszowej batalionu N 93. pułku piechoty z Czeskich Budziejowic szer. Józef Szwejk. Idąc w jego ślady, w języku współczesnej Galicji obecne jest do dziś zróżnicowanie: 1 – Dziadyga, 2 – Pieski Dziadyga, 3 – Wicepieroła, 4 – Pieroła. W szwejkowskich garnizonach w Przemyślu, Kielcach i Łańcucie epitet ten nadawany jest w zależności od umiejętności wcielania w codzienną praktykę „filozofii niebieskich oczu kretyna”. Możliwe jest również uzyskanie nadawanego na zasadzie doktoratu h.c. tytułu Nasza Stara Dupa. Posiadacze tytułów, osobliwie dwóch najwyższych, to z reguły ludzie lojalni wobec obecnego Domu Panującego aż do

obrzydzenia i – jak w powieści Haszka – obiecujący podwładnym: „Nadejdzie czas, że będziecie skowyczeć przede mną!”.

Niech żyje Cesarz!

Wicepieroła (cz. poloprdo'och) Leszek Mazan

✉ Sprawiedliwość dla ofiar „wyklętych”

Po przeczytaniu artykułu red. Leszka Konarskiego „Synu, wstydu oszczędź” (PRZEGŁĄD nr 12) wydaje się, że jedynym sposobem na otwarcie oczu wymiarowi sprawiedliwości i potomkom bandytów byłoby procesy spadkobierców ofiar zbrodni „wyklętych” o odszkodowanie – od rodzin „wyklętych”, które wydoiły skarb państwa z tytułu odszkodowań za wydumane krzywdy swoich przodków. A w przyszłości konieczna jest likwidacja IPN w obecnym kształcie. Natomiast po pandemii i powrocie Sejmu do normalnej pracy przydałaby się kontynuacja takich spotkań o tematyce „wyklętych” w działaniach IPN, jakie odbyło się 29 lutego 2020 r.

Marek Kubacki

Przepraszamy

W rozmowie z prof. Henrykiem Skarżyńskim w 14. numerze PRZEGŁĄDU znalazła się informacja, że w Światowym Centrum Słuchu w Kajetanach tylko w marcu wykonano tyle wszczepień implantów, ile we wszystkich amerykańskich ośrodkach w ciągu roku. Okazuje się, że profesor i zespół z Kajetan wykonali 25% tego, co robi w Stanach 150 placówek. Pana Profesora i Czytelników przepraszamy.



ZDJĘCIE TYGODNIA



Piknik nad rzeką lawy. Islandczycy chętnie odwiedzają wulkan Fagradalsfjall, który wybuchł ok. 40 km na zachód od Reykjavíku.



PYTANIE TYGODNIA

Czy na deweloperów nie ma rady?

DR HAB. DOMINIK DRZAZGA,

*Katedra Zarządzania Miastem
i Regionem, Wydział Zarządzania Uł*

To pytanie można sformułować szerzej: jak koordynować procesy zabudowy i rozwiązywać konflikty interesów w miejscach koncentracji aktywności ludzkiej. W cywilizowanych krajach osiągnięto to poprzez powszechność planowania regulacyjnego. W Polsce samorządy, które chcą kontrolować sposób zagospodarowania terenu, muszą opracowywać plany miejscowe, co jest czasowo- i kosztochłonne, a w odniesieniu do niektórych miejsc niekoniecznie potrzebne. Nie mają do dyspozycji innych narzędzi, np. istniejącej wcześniej instytucji ogólnego planu zagospodarowania przestrzennego gminy (miasta) czy powszechnych standardów urbanistycznych. Ich wprowadzeniu powinno towarzyszyć wzmocnienie publicznych służb planistycznych na poziomie lokalnym, bo często ich brakuje lub dysponują kadrą niewystarczającą wobec potrzeb.

JOANNA ERBEL,

Laboratorium Rynku Najmu

Negatywnym zjawiskiem w przestrzeni miast powinny zapobiegać plany

miejscowe, jednak ich opracowywanie zwykle trwa bardzo długo, a treść nie jest w pełni zgodna z zasadami zrównoważonego rozwoju. Przydatne mogą być także różne formy dobrych praktyk, np. realizacja inwestycji zgodnie z koncepcją zagospodarowania danego obszaru, wypracowaną przez samorząd, właścicieli gruntów i mieszkańców (tak miał działać projekt Osiedla Warszawy, ale skończyło się na warsztatach). Ciekawe są projekty, w ramach których miasto w zamian za przekazanie działki dostaje od dewelopera określoną liczbę mieszkań, co stwarza okazję, by narzucić jakieś standardy budownictwa. Podwyższaniu standardów na rynku mieszkaniowym służą takie inicjatywy jak certyfikat Zielony Dom, gwarantujący, że dany budynek będzie tańszy w utrzymaniu i zapewni wyższą jakość życia.

JAN MENCWEL,
Miasto Jest Nasze

Jest wiele sposobów na samowolę deweloperów, ale decydenci wolą przyznawać im kolejne przywileje, czego przykładem jest ustawa z 2018 r., pozwalająca omijać plany miejscowe. Tymczasem

skrajną patologią jest sytuacja, w której urzędnik w zaciszu gabinetu jednoosobowo, wydając tzw. wuzetkę, decyduje np. o budowie wielkiego osiedla. Czekam, aż któraś ekipa rządząca znajdzie odwagę, by prawnie uniemożliwić realizację dużych inwestycji w miejscach, dla których nie ma planu zagospodarowania. Drugim pilnym działaniem jest sprawienie, by firmy deweloperskie w dużo większym stopniu dorzucały się do kosztów utrzymania infrastruktury i przestrzeni publicznych, z których korzystają. Ta branża powinna być wyżej opodatkowana, tym bardziej że świetnie sobie radzi, nawet w czasach epidemii.

MICHAŁ CZARNOWSKI,
czytelnik PRZEGŁĄDU



Oczywiście, że jest. Po pierwsze, należy odciąć od władzy wszystkich decydentów związanych z firmami deweloperskimi. Po drugie, wypowiedzieć konkordat i zakręcić kurek z forszą dla Kościoła, a zaoszczędzone miliardy przeznaczyć na mieszkalnictwo. Po trzecie, wprowadzić ustawowe limity dla cen lokali, jak w Niemczech.

Not. Michał Sobczyk

Robert Walenciak

W 11. rocznicę katastrofy w Smoleńsku będzie jak zawsze. Kaczyński będzie pokazywał, jak cierpi. A Macierewicz zapowie publikację raportu, który „pokaże prawdę”. Albo pokaże byle co i będzie wołał – klasyczny hochsztapler! – że pokazuje wszystko. Odegrane zostanie stare przedstawienie. Tylko publiczności będzie mniej.

Smoleńskie trumny dały Kaczyńskiemu władzę. Najpierw nad polską prawicą – bo był tym bratem bliźniakiem, który przeżywa największe cierpienie, więc choćby z tego powodu należy mu się pierwszeństwo. Obok niego wyrósł Antoni Macierewicz – ten, który miał dotrzeć do „prawdy”. Teoria zamachu, spisku, zdrady potrzebowała cierpiętka, ale i tego, kto będzie drażył, by „prawda” wyszła na jaw. Trzecim elementem byli twórcy kolejnych wersji zamachu, nieważne, że wykluczających się wzajemnie. Czyli pisowskie media i różne powoływane *ad hoc* organizacje.

Religia smoleńska pozwoliła Kaczyńskiemu przejąć rząd dusz nad znaczną częścią społeczeństwa, a potem ułatwiła wygranie wyborów. Ale

Macierewicza nie interesują badania. Chce, żeby to wszystko trwało, a on będzie rzucał oskarżenia.

zdobycie władzy oznaczało też – tak rozumie to wyznawcy – że ziści się obietnica, że „prawda” zostanie ujawniona. Dlatego od ponad pięciu lat obserwujemy następną falę skandalicznych działań i kłamstw ze strony obozu władzy. Defekt religii smoleńskiej – zapowiedź, że za chwilę „prawda” wyjdzie na jaw – zaczął Kaczyńskiemu doskwierać.

W chrześcijaństwie sąd ostateczny, koniec świata, niebo, piekło – to wszystko jest obietnicą przyszłości. Nie wiemy, kiedy nastąpi, ale wiadomo, że nie za chwilę, że nie można tego się domagać. W religii smoleńskiej owo „za chwilę” obiecał sam Jarosław Kaczyński, a za nim Antoni Macierewicz. Lud czeka, więc co mu dać? I to jest powód kolejnych kłamstw i schizm w obozie smoleńskim.

Cofnijmy się do momentu, gdy PiS zdobyło władzę. Wtedy oczekiwania

SMOLEŃSKI HOCHSZTAPLER

Jak długo będzie trwało panoszenie się oszusta?

wyznawców religii smoleńskiej sięgały zenitu. Wiara miała stać się ciałem.

Do pracy przystąpiła prokuratura – zarządziła ekshumacje, nie licząc się ze sprzeciwem rodzin. To było działanie sadyistyczne. Pobrano próbki ze szczątków wszystkich ofiar i wysłano je do trzech laboratoriów za granicą. Jednego we Włoszech i dwóch w Wielkiej Brytanii. W przekonaniu, że badania wykażą to, co każdy wyznawca religii smoleńskiej wiedział – ślady materiałów wybuchowych.

No i do pracy przystąpił Antoni Macierewicz, który swoją wcześniejszą sejmową komisję przekształcił

Twierdził, że kadłub takiej maszyny jak Tu-154M powinien zderzenie z ziemią wytrzymać, poza tym katastrofa nastąpiła w wyniku wybuchu bomby termobarycznej.

Macierewicz mówił o Berczyńskim, że „badał dziesiątki katastrof lotnictwa wojskowego” w USA. Ale nie ma żadnych dokumentów, które by to potwierdzały. Wiadomo jedynie, że był w Boeingu informatykiem. A już po przejęciu władzy przez PiS mocno się zaangażował w stordedowanie kontraktu na zakup śmigłowców Caracal, który w 2015 r. podpisał poprzedni rząd. Kontraktu o wartości 13 mld zł.

Kolejnym przewodniczącym był Kazimierz Nowaczyk, który pracował jako fizyk doświadczalny na Wydziale Biochemii i Biologii Molekularnej Szkoły Medycznej University of Maryland. On z kolei był autorem koncepcji, że tupolew ominął feralną brzozę, a potem rozpadł się w wyniku „dwóch wstrząsów”, czyli wybuchów. 11 stycznia 2018 r. na stanowisku przewodniczącego podkomisji zastąpił go Antoni Macierewicz.

Inną gwiazdą podkomisji był Wiesław Binienda. Przedstawiano go jako tego, który uczestniczył w badaniach katastrofy promu Columbia. Jednakże w raporcie na temat Columbii nie został wymieniony, choć podane są nazwiska nawet sekretarek i kierowców. Binienda jest absolwentem Wydziału Samochodów i Maszyn Roboczych Politechniki Warszawskiej. W 1982 r. wyjechał do USA i doszedł do stanowiska profesora na Wydziale Inżynierii Cywilnej University of Akron (w rankingu uczelni w USA zajmuje 585. miejsce na 650).

Podkomisja miała więc jasno sprecyzowany cel – znaleźć dowody na to,



Antoni Macierewicz był niezwykle zadowolony z raportu zaprezentowanego w 2018 r. Dr hab. Piotr Witakowski (pierwszy z prawej) sposób pracy komisji określił jako kuriozalny i zrezygnował z udziału w niej.

że katastrofa Tu-154M w Smoleńsku nie była wypadkiem komunikacyjnym, tylko zamachem. Kłopot w tym, że tych dowodów nie było. Dlatego już rok temu, w 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej, mieliśmy awanturę, bo Antoni Macierewicz obiecywał, że podkomisja przygotuje na tę rocznicę raport, ale nic takiego się nie stało.

A obiecywał na poważnie. W marcu 2020 r. zapowiadał w Telewizji Republika, że raport zostanie za chwilę opublikowany. I ujawniał, że dokument zaczynać się będzie od... „remontu Tu-154, który odbywał się nie we Wnukowie k. Moskwy, tak jak przedtem to było robione przez wiele lat, ale w zakładach najbliższego przyjaciela pana Putina, Olega Deripaski, w zakładach Aviacor w Samarze. Analiza pokazuje, że decydowały o tym służby rosyjskie wspierane także przez niektórych ludzi ze służb działających w Polsce”.

Ogłaszał też, że pokaże, jak wyglądały przygotowania do lotu, a potem, już po katastrofie, „jak fałszowano materiały dowodowe”. Czyli zamierzał mówić o wszystkim, ale nie o samym locie i podejściu do lądowania w Smoleńsku.

Zamierzał, ale tego nie zrobił. Raport 10 kwietnia 2020 r. się nie ukazał, podobno z powodu pandemii.

Potem, gdy sejmowa Komisja Obrony Narodowej domagała się sprawozdania z prac podkomisji, Macierewicz puścił postom ponadgodzinny film. „To załącznik do raportu podkomisji”, tłumaczył. Ale później zmienił zdanie i mówił, że to był „raport filmowy”. A cały raport (na piśmie) jest gotowy i znajduje się w sejfie podkomisji. I „może zostać opublikowany w ciągu kwartału”. Oczywiście znów nic takiego się nie stało.

W samym PiS trudno znaleźć kogokolwiek, kto chciałby bronić teorii zamachu.

Ale to nie znaczy, że Macierewicz stracił rezon. „Miejmy w pamięci, jak bardzo ważna jest prawda o dramacie smoleńskim, wyniki badania komisji, która teraz działa i pokazała, że rzeczywistą przyczyną była eksplozja, wysadzenie w powietrze samolotu. Dziękuję Radiu Maryja, Telewizji Trwam, Rodzinie Radia Maryja, tym wszystkim, którzy podtrzymywali nas przy pracy nad prawdą o dramacie smoleńskim. Gdy skończy się wreszcie pandemia koronawirusa, komisja będzie mogła się spotkać, a raport zostanie opublikowany. Mam nadzieję, że przetnie

on wszystkie działania antypolskie, z jakimi mamy do czynienia”, mówił w styczniu br. w Radiu Maryja.

A podczas spotkania z przedstawicielami Klubów „Gazety Polskiej” zapowiadał: „Siedem miesięcy temu został opublikowany raport w wersji filmowej. Rosjanie pewnie są świadomi, że mamy cały materiał dowodowy pokazujący ich odpowiedzialność, że ich kłamstwo smoleńskie zostało w sensie dowodowym zniszczone,

w związku z tym jest robione wszystko, żeby ono nie dotarło do polskiej opinii publicznej, żeby nie stało się podstawą do działań prawnych, bo przecież sam raport jest punktem odniesienia dla prokuratury”.

W tym samym mniej więcej czasie mówił, że „pełen raport jest jeszcze konsultowany”. I teraz zadajmy pytanie: czy można traktować to poważnie?

Poważnie Macierewicza nie traktuje już Glenn Jørgensen, były członek podkomisji, prywatnie mąż Ewy Stankiewicz, szefowej Stowarzyszenia

► Solidarni 2010. Dał temu wyraz w tekście publikowanym w lutym br. w tygodniku „Sieci”. Oskarżył w nim przewodniczącego podkomisji, że *de facto* blokuje możliwość zbadania katastrofy. „Wprowadza chaos i konflikty, tworzy wrogów – pisał o Macierewiczu. – Rozpowszechnia błędne informacje oraz aktywnie blokuje wszelkie próby prowadzenia systematycznego śledztwa opartego na dowodach”.

„Regułą już stało się ucinanie ważnego procesu badawczego na ostatniej prostej – to też opinia Jørgensena. – O ile na poziomie deklaracji medialnych przewodniczący wydaje się żarliwie walczyć o prawdę, przekonując głównie już przekonanych, o tyle na poziomie decyzji badawczych zachowuje się kompletnie niezrozumiale, często utrudniając lub uniemożliwiając solidne uzasadnienie hipotezy badawczej, będącej w zasięgu naszych możliwości”.

Duńczyk, jeden z najtwardszych zwolenników teorii zamachu, nie jest w tych ocenach osamotniony. Popiera go część rodzin smoleńskich. „Nadzieje, które wiązaliśmy z podkomisją smoleńską, zostały w dużej mierze zawiedzione. Nie jestem jedyną rozczarowaną. Takich rodzin jest więcej”, mówiła na początku marca Magdalena Merta, żona wiceministra kultury Tomasza Merty.

Rozczarowana jest również córka Zbigniewa Wassermann Małgorzata. „Minęło 11 lat i chciałabym wiedzieć, dlaczego nadal nie wiem, na jakim etapie są komisja i prokuratura – deklarowała w Polsat News. – Jak najbardziej podpisałabym się pod

wnioskiem o audyt w podkomisji smoleńskiej”. Tylko czy to możliwe?

Spór Jørgensena z Macierewiczem jest banalny. Widać, że Duńczyk wie, że w zamachach, w wybuchach, więc chce to badać. I zupełnie nie pojmuję, że im więcej dowodów, tym teoria o zamachu będzie wyglądać śmieszniej. Macierewicz z kolei występuje tu w roli wytrawnego hochsztaplera – nie interesują go badania, on chce, żeby to wszystko trwało, żeby wciąż dociekano, a on w międzyczasie będzie rzucał oskarżenia. Chce z badania przyczyn katastrofy jeszcze długo żyć.

Czy taka hochsztaplerka, panoszenie się oszusta będą jeszcze długo trwały? Cóż, religia smoleńska, wielkie koło zamachowe, które dało PiS władzę, jest *de facto* martwa. Kolejne miesięcznice i rocznice smoleńskie wypadają coraz smutniej, mało kogo już interesują. W samym PiS trudno znaleźć kogokolwiek, kto chciałby bronić teorii zamachu.

Ale kapitulacja w obliczu faktów to żadna cnota. Ktoś, rozpowszechniając oszustwo smoleńskie, wprowadził w błąd miliony obywateli i na tym zyskał – politycznie i materialnie. Ktoś wywalił w błoto 10 mln zł publicznych pieniędzy, bo tyle kosztowały działania podkomisji smoleńskiej. Gdyby zastosować art. 286 kk w polityce, Macierewicz miałby za oszustwo osiem lat za kratkami jak w banku.

Ale na razie Macierewicz może z tego się śmiać. Bo w Polsce polityka to chyba jedyne zajęcie, które pozwala bezkarnie tgać.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Robert Walenciak

Słyszę, że próbowaliście jako posłowie przeprowadzić kolejną kontrolę poselską w MON. Nie udało się z powodu pandemii. Ale jaki był powód tej kontroli?

– Powodem były sprzeczne komunikaty, które wydaje przewodniczący podkomisji smoleńskiej Antoni Macierewicz. Raz mówi, że raport z działań jego podkomisji jest gotowy i tylko czeka na podpisanie, innym razem, że raport już został opublikowany, a za chwilę wraca do wersji, że jeszcze nie jest skończony. Podkomisja pracuje za publiczne pieniądze, w związku z tym chcieliśmy zapytać ministra obrony narodowej, jaka jest sytuacja faktyczna. Czy ten raport rzeczywiście istnieje? Czy minister ma jakąkolwiek wiedzę, kiedy podkomisja skończy pracę? Antoni Macierewicz rok temu zapowiedział, że raport zostanie opublikowany zaraz po Świętach Wielkanocnych. Po 10 kwietnia. Już mija rok od tej deklaracji!

I nic.

– Potem Antoni Macierewicz sprawę raportu odsuwał od siebie. A musimy pamiętać, że to my, podatnicy, wydajemy pieniądze na działanie tego dosyć dziwnego tworu, który nigdy nie badał wypadków lotniczych i nie ma w nim nikogo, kto byłby specjalistą od ich badania. A ta podkomisja, jak ustaliliśmy, wydała ponad 10 mln zł! Na badanie wypadku, który został już bardzo dokładnie zbadany.

Zepsuli sprawny samolot i tyle

Teraz chce przewieźć brzozę do USA i tam symulować zderzenie.

– Słyszałem o tym. A co do prac podkomisji... Patrząc na to, co do tej pory przedstawiła – nie osiągnęła niczego.

Poza tym, że pocięła bliźniaczy samolot.

– O tak! Podkomisja nie pojechała na miejsce wypadku do Smoleńska ani nie wykonała swojej kopii czarnych skrzynek, mimo że cały czas jej członkowie twierdzili, że te zapisy są niewiarygodne. A dodam, że prokuratura kierowana przez Zbigniewa Ziobrę to zrobiła – prokuratorzy byli w Smoleńsku, mieli dostęp do wraku, do czarnych skrzynek. Członkowie podkomisji zaś... Jedyne, co im się

Z wielkim smutkiem żegnamy

Izabellę Sierakowską

dobrego i mądrego Człowieka, odważną bojowniczkę o prawa kobiet, posłankę wierną wartościom lewicy, pracowitą, bezkompromisową, wrażliwą i pomocną ludziom.

Wdzięczni jesteśmy za Jej obecność, aktywność i życzliwość w wędrówce po polskich wyboistych drogach ostatnich dekad.

Izo – będziemy o Tobie zawsze pamiętać!

Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy

Załodze zabrakło umiejętności

Podkomisja Macierewicza nie osiągnęła niczego, poza tym, że w Mińsku Mazowieckim pocięła drugi Tu-154M piłką do metalu

udało, to zepsuć sprawny samolot. Tupolew, który stoi w hangarze w Mińsku Mazowieckim, jest pocięty. Ma powycinane fragmenty skrzydeł, piłką do metalu. To wynika ze zdjęć. Ten tupolew wcześniej latał. My w ramach pracy w komisji Millera wykonaliśmy na nim loty testowe, które m.in. miały demonstrować działanie automatycznego pilota. Sprawdzaliśmy, jak to wygląda, czy można odejść na drugi krąg bez systemu ILS na lotnisku za pomocą naciśnięcia przycisku, czy nie można.

Sprawdzaliście te pięć sekund, które minęły, zanim dowódca, po komendzie „odchodzimy”, zorientował się, że samolot wciąż leci na automatycznym pilocie!

– Myśmy to zrobili, zrobiliśmy też parę innych rzeczy. Natomiast ta grupa osób, która amatorsko para się badaniem wypadku lotniczego, zepsuła samolot. Oni nigdy nie widzieli, jak skonstruowany jest samolot, więc musieli go pociąć, żeby zobaczyć, jak w środku wygląda.

Nie mieli dokumentacji, żeby zobaczyć, z czego jest zbudowany i jak?

– Dokumentacja oczywiście jest, można o nią wystąpić do producenta. Ale przecież fobie, które są pielęgnowane przez tę grupę, nie pozwoliły im na to. Woleli pociąć samolot, niż poszukać dokumentacji.

Wysłali próbki ciał do Włoch

To niejedyny szaleństwa tej władzy w sprawie katastrofy. A ekshumacje zwłok w poszukiwaniu śladów trotylu? A próbki wysłane do laboratoriów we Włoszech i w Wielkiej Brytanii, też żeby wykryć ślady materiałów wybuchowych? Wyniki tych badań od dawna są w Polsce. Wie pan coś o tym?

– Wiem. Prokuratura nie chce się przyznać do wyników tych badań. Sam pomysł ekshumacji, zwłaszcza kiedy bliscy ofiar nie zgadzali się



DR MACIEJ LASEK

na nie, był wyjątkowo niehumanitarny. Bo wcześniej prokuratura wojskowa przeprowadziła badania na obecność różnego rodzaju materiałów wybuchowych, i to zarówno na fragmentach ciał, jak i na fragmentach konstrukcji samolotu oraz w próbkach pobranych z miejsca wypadku. Ich wynik był negatywny. Raport Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego był jednoznaczny. Oprócz badań technicznych dokonano też oględzin fragmentów tych elementów, z których były pobierane próbki. Tak by opinia była kompleksowa.

Ekipa PiS na to uwagi nie zwróciła.

– A z czym mieliśmy później do czynienia? Dokonano ekshumacji wszystkich ofiar. Przeprowadzono

Dr inż. Maciej Lasek – specjalizuje się w badaniach katastrof lotniczych. Od 2002 r. członek Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, w latach 2012-2016 jej przewodniczący. Wchodził w skład tzw. komisji Millera. Poseł na Sejm IX kadencji.

badania, najpierw w kraju, dotyczące obrażeń. Prokuratura mówiła, że będzie się dzieliła z opinią publiczną wynikami tych badań. Tymczasem do dzisiaj milczy. Według informacji, do których dotarliśmy, wszystkie badania potwierdzają, że doszło do obrażeń typowych dla katastrofy komunikacyjnej. I nie było jakichś innych niespodziewanych zjawisk.

Ale do tego się nie przyznaje.

– Drugim kuriozalnym pomysłem było powtórzenie badań fizykochemicznych w zagranicznych laboratoriach. Uznano, że będą bardziej wiarygodne od polskich! Moim zdaniem prokuratura, powierzając ponowne badanie próbek zagranicznym ekspertom, dąży do wydłużenia postępowania. Prokuratura już wie, że zgromadzony materiał nie potwierdza tezy, które głosiło wielu polityków PiS czy ludzi z nimi związanych. Normalny, poważny prokurator powiedziałby: kończymy postępowanie, oddajemy zebrany materiał dowodowy do oceny sądu, żeby mógł wydać wyrok, kto był winien tej katastrofy.

Winien?

– To, że samolot się rozbił, że doszło do serii błędów, co zostało opisane w raporcie komisji Millera, to jest określenie przyczyn katastrofy. Tak, żeby znała je opinia publiczna i żeby w przyszłości podobne zdarzenie się nie powtórzyło. Ale trzeba też zbadać, kto zawinił, że do katastrofy doszło. Ktoś był odpowiedzialny za wyznaczenie załogi, ktoś był odpowiedzialny za to, że załoga w niewystarczającym zakresie była wyszkolona, że nie miała lotów sprawdzających. Ktoś był odpowiedzialny za to, że kolejne kontrole tego nie wykryły. Przyczyny tej katastrofy są dużo głębsze niż to, co zostało opisane w raporcie komisji Millera. My przedstawiliśmy pewnego rodzaju fotografię stanu faktycznego, błędów, które zostały popełnione. Ale obok tego jest jeszcze niezależnie

► prowadzone postępowanie karne. Ono powinno jak najszybciej się zakończyć. Jeżeli prokuratura będzie przedłużała postępowanie, to w zasadzie nie wiadomo, kiedy doczekamy się zamknięcia tej sprawy i wskazania, z imienia i nazwiska, kto zawińił, że zginął prezydent i cała delegacja.

Nieistotna rozmowa braci

Czy wiemy coś nowego w tej sprawie? Czy pojawiały się nowe fakty? Sędzia Wojciech Łączewski powiedział, że zna rozmowę braci Kaczyńskich, tę z samolotu.

– Jestem ogromnie ostrożny w komentowaniu tego typu informacji. Uważam, że jeśli mówi się, że coś jest – to się pokazuje. Nie twierdzę, że nie było możliwości technicznych zarejestrowania tej rozmowy. Była prowadzona przez telefon satelitalny, ale na końcu odebrana przez normalny telefon prezesa Kaczyńskiego. Od momentu, kiedy przechodziła przez polskie łącza, mogła zostać zarejestrowana. My jako komisja wielokrotnie zwracaliśmy się z pytaniem, czy taka rozmowa została zarejestrowana, i występowaliśmy o jej udostępnienie. Od wszystkich służb, jak również od operatora sieci satelitarnej, dostaliśmy odpowiedź, że tej rozmowy nie ma. Z drugiej strony wiedza, którą posiadaliśmy – kiedy miała miejsce



Podkomisja nie pojechała na miejsce katastrofy do Smoleńska.

szybciej, niż przewidują procedury. Dlaczego zniżyli się tak szybko? Pilot musiał wiedzieć, że to niezgodne ze sztuką.

– Po pierwsze, tak naprawdę przyczyną katastrofy było to, że pilot nie zastosował się do obowiązujących procedur. Przy tej widzialności ziemi nie wolno mu było obniżyć lotu poniżej 100 m względem poziomu lotniska. Nawet o 1 m! Niestety, przekroczył tę granicę. Decyzja o odejściu na drugi krąg zapadła dopiero na wysokości 39 m względem poziomu pasa.

uprawnienia do lądowania, trzeba nie rzadziej niż raz na cztery miesiące wykonać podejście do lądowania według każdego z systemów w warunkach minimalnych. Czyli w warunkach pogodowych, widzialności, podstawy chmur, które są graniczne do podejścia.

W warunkach rzeczywistych albo na symulatorze?

– Od roku 2007 załogi nie ćwiczyły na symulatorach, te szkolenia zostały przerwane, w związku z tym mogły to robić tylko w realnych warunkach. Dodam jeszcze jedno – żeby to uprawnienie było ważne, podejście do lądowania musi być przeprowadzone na typie samolotu, na którym się lata. Jeżeli ktoś lata na maszynach Jak-40 i Tu-154, to musi takie podejście treningowe wykonać na każdym z tych samolotów. A dowódca załogi podejście według takiego systemu, jaki był w Smoleńsku, ostatni raz wykonał pięć lat wcześniej i na samolocie Jak-40.

Nie pilotował Tu-154?

– Pilotował, tylko nie w warunkach granicznych i według systemu RSL, w którym nie miał żadnej praktyki. To wynika z dokumentacji. Popatrzmy na to z drugiej strony. On tej praktyki nie miał nie dlatego, że nie chciał, tylko dlatego, że mu tego nie umożliwiono. Przecież w wojsku pilot sam sobie nie planuje szkolenia itd. To mocno zhierarchizowana organizacja. I są w niej osoby, które odpowiadają za to, żeby pilot miał ważne uprawnienia i wykonywał odpowiednie loty treningowe.

Sam pomysł ekshumacji był wyjątkowo nieludzki.

ta rozmowa i jak długo trwała – wystarczyła nam, żeby stwierdzić, że ta rozmowa nie mogła mieć wpływu na decyzje podejmowane w samolocie. **Dlaczego?**

– Ponieważ została przeprowadzona, zanim szef Protokołu Dyplomatycznego, dyrektor Kazana, dowiedział się od załogi o szczegółach pogody w Smoleńsku i o tym, jakie są lotniska zapasowe. Zanim wyszedł z kokpitu, tamta rozmowa została zakończona, więc rozmawiając z bratem, prezydent nie wiedział, jak wygląda sytuacja pogodowa w Smoleńsku.

On tej praktyki nie miał

Tu-154M, podchodząc w Smoleńsku do lądowania, zniżył się z prędkością 7 m/s. Czyli dwukrotnie

I jeszcze leciał pięć sekund, zanim zaczął próbować wyciągać samolot w górę! Bo myśleli, że odejdą na automacie, ale gdy nie ma systemu ILS, automat nie działa. Dopiero po pięciu sekundach dowódca przeszedł na ręczny. Łatwo policzyć, o ile się zniżył, jeżeli schodził z prędkością 7 m/s.

– Z naszych badań wynika, że reakcja pilota i sama bezwładność samolotu powodują, że przejście do lotu wznoszącego musi trwać. Tu-154M to przecież nie jest mały samolot. Co natomiast było tak naprawdę genezą tego błędu... Otóż jest kilka systemów lądowania, zależą one od wyposażenia lotniska, m.in. system ILS, system RSL czyli taki, jaki był w Smoleńsku, system podejścia do lądowania według dwóch radiolatarni... Według regulaminu lotów, żeby mieć ważne

Jeżeli ktoś nie dbał o to, a jednocześnie zaplanował załogę na taki lot, to pokazuje bezmiar nonszalancji i braku rozsądku. Potraktowałbym to w ten sposób: piloci starali się zrobić wszystko najlepiej jak potrafili, tylko że ktoś im nie umożliwił tego, żeby to potrafili. Ktoś nie dopilnował, żeby byli w pełni wyszkoloną załogą.

200 metrów w trzy sekundy

Czy gdyby nie stracił tych pięciu sekund, o których mówiliśmy wcześniej, wznosiłby się? Uratował?

– Nawet jak ćwiczyliśmy tę sytuację w locie testowym, na bliźniaczym Tu-154M, reakcja pilota też była opóźniona. Od trzech sekund do trzech i pół trwało, zanim to wszystko zostało uruchomione. W tych warunkach widoczności granicą, której nie wolno było przekraczać bez względu na wszystko, było te 100 m względem poziomu lotniska.

Zwłaszcza że regulaminy są pisane krwią. Nikt tych 100 m nie zapisał, bo tak przyszło mu do głowy.

– Spójrzmy na to z punktu widzenia racjonalności podejścia. Załoga wiedziała, że widzialność na lotnisku jest wielokrotnie mniejsza niż dopuszczalne przepisami 1000 m. Dostała tę informację nawet nie od rosyjskiego kontrolera, tylko od kolegów z Jaka-40, którzy byli na miejscu. Że widzialność jest na 400 m! Potem, od technika pokładowego: „Arek, teraz widać 200”. Proszę pana, 200 m taki samolot przelatuje w niecałe trzy sekundy! Leci z prędkością ponad

70 m/s, 270 km/godz.! To jest mniej niż trzy sekundy, poniżej czasu reakcji pilota, na zobaczenie czegokolwiek. Nie można było oczekiwać, że nagle zobaczą cudownie ziemię i wylądują, bo wszystkie informacje, które mieli, wskazywały na coś innego!

Przyczyną katastrofy było to, że pilot nie zastosował się do obowiązujących procedur.

Pilot Jaka-40 do lądowania wręcz ich zachęcał. „Jak najbardziej, możecie spróbować...”. To jego słowa ze stenogramu.

– Dla mnie to coś niepojętego. To się nie mieści w żadnych zasadach bezpiecznego wykonywania lotu.

Zabrakło umiejętności

Czy już wiadomo, w którym momencie została podjęta decyzja, że Smoleńsk? Ze stenogramu wynika, że oni poprosili prezydenta, by wybrał lotnisko zapasowe, a potem, na 11 minut przed lądowaniem, przyszedł do kabiny dyrektor Protokołu Dyplomatycznego z komunikatem, że prezydent nie podjął jeszcze decyzji. A oni i tak twardo zmierzali do Smoleńska.

– Panie redaktorze, decyzję podjęli dużo wcześniej. W stenogramie jest to zapisane. Decyzja zejścia do minimów, bo tak to było przedstawione, została podjęta znacznie wcześniej, niż zostało przekazane do kabiny prezydenta, że pogoda jest

niedobra. Trudno powiedzieć, dlaczego to zrobili. Niewykluczone, że był element presji na realizację misji, żeby przynajmniej zobaczyć, jaka jest pogoda. Moim zdaniem, patrząc na to wszystko, zapisy z protokołu komisji Millera są aktualne, od tego czasu

nic nowego się nie pojawiło, żadne nowe fakty.

Ani prokuratura, ani podkomisja Macierewicza niczego nowego nie wykopały?

– Podkomisja Macierewicza próbowała nam wmawiać, że załoga podjęła decyzję o odejściu na drugi krąg na prawidłowej wysokości. To ewidentne kłamstwo, pytanie tylko, czy celowe, czy wynikające z niewiedzy. Ale nie chcę wierzyć, że z niewiedzy, skoro podkomisja miała dostęp do rejestratorów lotu, do wyników odczytu z amerykańskiego urządzenia, które podawało odległość od ziemi... Wracając do tego wszystkiego – załoga podjęła taką a nie inną decyzję. Potem się jej trzymała. Niestety, zabrakło umiejętności, aby zakończyć ten lot bezpiecznie. I kto jest za to odpowiedzialny, powinny ustalić prokuratura i sąd. Jesteśmy to winni załódze tragicznego lotu z 10 kwietnia i wszystkim pilotom 36. Specjalnego Pułku Lotnictwa Transportowego.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

PROGRAM „PAMIĘĆ”

Krok po kroku realizujemy nasz redakcyjny program „PAMIĘĆ”. Dokumentujemy wspomnienia wybitnych polityków, naukowców, społeczników i ludzi kultury. Nagrywamy rozmowy z nimi. Ku pamięci kolejnych pokoleń.

Wystartował nasz kanał na YouTube z audycją Roberta Walenciaka „Reflektorem w lewo”.

W maju rozpoczniemy serię podcastów na Spotify z bohaterami programu.

Dzięki pomocy Czytelników mamy już część niezbędnego sprzętu. Ale nie wszystko. Liczymy na Państwa wsparcie.



Apelujemy o pomoc i wpłaty na nasze konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, z dopiskiem „Pamięć”.

Muzeum doktrynerów

Ani kolejne zwycięstwa PiS, ani nawet pandemia nie naruszyły neoliberalnych przekonań PO

Jakub Dymek

Platforma jest bezideowa – to zdanie powtarza się w polskiej debacie tak często, że stało się już przezroczyste. Przyjmujemy je jak najoczywistszą oczywistość. Niebo jest niebieskie, ryby pływają w wodzie, a największa partia polskiej opozycji nie ma programu ani ideologii. Gdy kiedyś rozmawiałem z nieformalnym doradcą polityków Platformy i Nowoczesnej, powiedział mi słowo w słowo to samo. Że jedyna „idea”, jaka kieruje politykami tych dwóch środowisk, to idea stołka w spółce, wizja dobrego miejsca na liście wyborczej i fantazja o miejscu w pierwszych ławach Sejmu. Ale, choć Platforma/Koalicja Obywatelska zasługuje na olbrzymią część krytyki, jaką zewsząd zbiera, akurat ten zarzut prawdziwy nie jest. Największa polska partia jest bowiem bardzo ideologiczna, nawet jeśli tego nie wie. Trochę jak Molierowski pan Jourdain, który nie wiedział, że mówi prozą.

Koalicja Obywatelska jest jednym z ostatnich na świecie bastionów reaganomiki, neoliberalizmu, który zdobył szczytową popularność w latach 80. i 90. I jest PO partią – z braku lepszego słowa – „neoliberalną konsekwentnie”. Od uczonych wywiadów profesorów Rzońcy i Balcerowicza po hasło „jebać biedę”, które ostatnio łódzki magistrat wykorzystał w reklamie promującej Kartę Łódzianina. Ten obóz za święte aksjomaty ma przekonanie, że zasiłki i socjał rozleniwiają i szkodzą, stymulowanie gospodarki publicznymi pieniędzmi jest złe, a naczelną funkcją państwa jest bilansowanie budżetu. To na tych trzech filarach opiera się faktyczna ideologia PO, która okazuje się silniejsza niż doraźne zmiany programu oraz wyborcze slogany. I wypływa na powierzchnię, uparcie, nawet jeśli w czysto politycznym i wyborczym

interesie polityków tego obozu bytoby ją ukryć.

To nie problem – być wiernym swoim poglądom. Każdy ma też do nich prawo. Jest jednak granica między konsekwencją a samooszukiwaniem się. I między doktrynerstwem a kompletnym zamknięciem na świat zewnętrzny. Koalicja Obywatelska jest bowiem mniej więcej w tym samym miejscu, w którym jej politycy byli 10, 20 i 30 lat temu. Ale świat jest już gdzie indziej. To trend niepokojący nie tyle dla samej opozycji, ile dla Polski. Jeśli bowiem tak przedstawia się świadomość polityków, którzy mają współtworzyć jakieś plany odbudowy polskiej gospodarki po kryzysie, to jest czego się bać.

Socjał jak narkotyk

Jest pierwszy kwartał 2021 r., globalna recesja wywołana pandemią i trwający od ponad roku wielki eksperyment na żywym organizmie światowej gospodarki. Do centrum debaty zawitały pomysły uważane wcześniej

Gdzie w tym czasie jest centrum w Polsce? Borys Budka udziela Tomaszowi Kwaśniewskiemu głośnego wywiadu dla „Gazety Wyborczej”, w którym robi powtórkę ze wszystkich mocno już nieświeżych hitów ostatnich pięciu lat. Pierwszym jest tradycyjne już uderzenie w świadczenia. „Ukrytym celem programu 500+, o którym PiS nigdy nie powie, była chęć uzależnienia niektórych grup społecznych od pomocy państwowej”, klaruje dziennikarzowi przewodniczący największej partii opozycyjnego bloku. Budka podkreśla, że 500+ to dysfunkcyjny program społeczny, który nie sprawdza się jako narzędzie zwiększania dzietności ani pomocy socjalnej. Czyli nie daje nic, na dłuższą metę szkodzi, a na co dzień uzależnia – socjał jest jak narkotyk, przekonuje Budka. To echo wielu podobnych wypowiedzi o „kupieniu wyborców”, padających z ust polityków i ekspertów związanych z rządami koalicji PO-PSL, którzy mówią o świadczeniach jako swego rodzaju używce.

W PO triumfuje przekonanie, że zasiłki i socjał szkodzą, stymulowanie gospodarki publicznymi pieniędzmi jest złe, a naczelną funkcją państwa jest bilansowanie budżetu.

za radykalne lub marginesowe – dochód podstawowy, gwarancja zatrudnienia, świadczenia postojowe dla zamkniętych firm, uwspólnienie europejskiego długu i bezprecedensowo wielkie programy stymulacyjne. Na naszych oczach upadają konwencje i reguły. Rządy państw Zachodu wyteżają głowy, jakie oryginalne pomysły na walkę z kryzysem jeszcze uruchomić. Nie chodzi nawet o to, że nowe rozwiązania są możliwe. Rzeczy wcześniej niemożliwe czy nieosiągalne stały się w wyjątkowych okolicznościach pandemii koronawirusa wręcz konieczne.

Choć może nikt nie wyraził tego dosadniej niż wicepremier w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz, Janusz Piechociński. „Ludzie zostali przekupieni za 500 zł, bo to jest 266 puszek piwa. Znam takie przypadki. Niektórzy już te pieniądze przepili na poczet tych 500 zł na dziecko”, wyłatał Magdalenie Rigamonti z „Dziennika Gazety Prawnej”, gdy PiS wygrało wybory. To było pięć lat temu i do dziś niewiele w tej retoryce się zmieniło, chociaż partia Kaczyńskiego wygrała jeszcze kilkakrotnie.

Ale choć nie zmieniło się to, że PiS z PO wygrywa, zmieniło się coś



Koalicja Obywatelska jest mniej więcej w tym samym miejscu, w którym jej politycy byli 10, 20 i 30 lat temu. Ale świat jest już gdzie indziej.

innego – jest pandemia i kryzys. Budka krytykuje 500+ (aczkolwiek rytualnie powtarza, że trzeba zachować ten program), w sytuacji gdy od świadczeń bezpośrednich zależy dziś dużo więcej, a ponad 40% Polaków deklaruje, że straciło w zeszłym roku jakieś źródło dochodu. Czym, jeśli nie świadczeniami, zasiłkami albo inną pomocą państwa mają w tej sytuacji go łątać? By odpowiedzieć sobie na to pytanie, można zajrzeć do najnowszych antykryzysowych propozycji Platformy.

Recepta czy dekalog absurdów

W tym samym czasie gdy amerykańscy demokraci zgłaszali plan rantunkowy w Kongresie, a Komisja Europejska ogłosiła już skalę i założenia planu odbudowy, PO w Polsce proponowała swoją „Receptę na kryzys”. Zawstydzająca oszczędność tego projektu, żenujący wręcz minimalizm pokazuje, że choć reaganowska w duchu niechęć do świadczeń i państwowej interwencji może i umiera w Ameryce, to na pewno nie w głowach polskich polityków opozycji.

Jak Budka chce ratować gospodarkę po kryzysie? Trzy kluczowe elementy platformerskiej recepty to

czasowe obniżenie VAT dla niektórych branż do 5%, przywrócenie handlu w niedzielę i podniesienie kwoty wolnej od podatku do 10 tys. zł. Z tych trzech tylko jeden można uznać za realny instrument pomocy ludziom niezamożnym, a dwa pozostałe mają co najwyżej luźny związek z pandemią COVID-19 (co zresztą w omówieniu postulatów odwrótu od zakazu handlu przyznają sami twórcy „Recepty...”).

Im dalej zaś, tym gorzej. Program czyta się jak napisany w dużej części przez lobbystów banków i organizacji pracodawców – wśród instrumentów walki z kryzysem gospodarczym PO proponuje bowiem zniesienie podatku Belki, podatku od spółek komandytowych i dochodów z zagranicy, szersze otwarcie rynku pracy dla pracowników z zagranicy i zwrot kosztów dwóch semestrów studiów. Pomijając już brak precyzji propozycji – czym jest zwolnienie branży z VAT, skoro VAT to nie podatek branżowy? – zdecydowana ich mniejszość ma jakiegokolwiek działanie popytowe czy stymulacyjne. Inne pomysły w ogóle nie są związane z tym kryzysem, a całość odpowiada na postulaty różnych ułatwień czy ulg w prowadzeniu biznesu. Który – co każdy widzi – nie działa w pandemii. Jedynym

otwarcie socjalnym elementem w tej propozycji są odszkodowania dla firm, które nie mogły prowadzić biznesu. To znamienne, że choć świadczenia dla obywateli i rodzin nie mieszczą się w logice PO i uchodzą za rozdawnictwo, sfinansowane z podatków odszkodowania dla biznesu są uznawane za oczywistość.

W kontraście do tego, co proponuje w Polsce Platforma, nawet niezwykle dotychczas zachowawcza w tej kwestii Ameryka jest daleko na lewo. A na naszej scenie politycznej, przynajmniej po opozycyjnej stronie, pokutuje przekonanie, że nawet najgorszy kryzys nie może zmusić rządu do rozdawania pieniędzy komukolwiek. Chyba że firmom. Z drugiej strony obniżka stawek podatków traktowana jest jako dobry pomysł bez względu na okoliczności. Choć nikt nie odpowiada na pytanie, co ma to dać, skoro zamknięta restauracja albo nieczynny hotel po prostu nie notują przychodów, od których ów podatek należy zapłacić.

Tu doktryna – niższe podatki są lepsze, a biznes musi się kręcić – wygrywa z rzeczywistością. Złośliwy człowiek doda tylko, że PO nie byłaby tak chętna i sprawna w dziedzinie obniżania podatków, gdy sama musiała się zmierzyć z kryzysem w minionej dekadzie.

Po pierwsze: nie wydawać!

Trzecim i ostatnim elementem platformianej ekonomii politycznej – po niechęci do świadczeń i obniżaniu podatków – jest dyscyplina budżetowa. I tu niestety związanym z tą opcją politykom i ekonomistom umyka, że mamy pandemię i kryzys gospodarczy.

Od roku najbardziej wpływowi ekonomiści i komentatorzy związani z liberalną opozycją – wśród nich wspomniany wcześniej Andrzej Rzońca albo Ryszard Petru – przekonują, że Polska nie ma pieniędzy na efektywne działania antykryzysowe z powodu rozdętych wydatków socjalnych, w tym oczywiście 500+. Za nimi powtarzają to politycy opozycji, nieświadomi zupełnie, że ani polski, ani żaden inny budżet nie działa w ten sposób. „Niewydanych” pieniędzy nikt nie odkłada do tajemniczego sejfu, by wyciągnąć przy okazji katastrofy w rodzaju pandemii. ►

► „PiS roztrwoniło dochody z czasów dobrej koniunktury, wydając je na cele polityczne, a dzisiaj władza boi się – i słusznie! – że jeżeli dług będzie rósł zbyt szybko, to będziemy mieli do czynienia z kryzysem walutowym, a może i bankowym, co bardzo pogłębiłoby kryzys gospodarczy. Premier Morawiecki przyznał to otwarcie w Senacie. W konsekwencji, chociaż polityka PiS jest zbyt skąpa jak na skalę kryzysu, to i tak może doprowadzić do załamania finansów państwa”, mówił po pierwszej fali pandemii Jacek Rostowski, autor polityki gospodarczej rządów PO, na łamach „Kultury Liberalnej”. W tym samym wywiadzie jednak przyznaje, że w pandemii dziura budżetowa powiększa się z powodu spadających wpływów z podatków, a nie wydatków socjalnych. Jeśli więc nie ideologia motywuje zrzucanie wszystkich gospodarczych bolączek na socjał, to co?

Jednocześnie politycy PO powtarzają uparcie, że sami wydaliby co najmniej tak samo dużo pieniędzy, tylko lepiej – na szkoły, innowacje czy służbę zdrowia. W skrócie: nie warto było wydawać pieniędzy na świadczenia, po to żeby mieć ich w trakcie kryzysu więcej, by dalej nie wydawać na świadczenia. Do tego w dużej mierze sprowadza się logika gospodarcza antykryzysowych działań PO. I chyba nie warto nazywać jej liberalną, bo byłoby to dla

wyznawców liberalizmu gospodarczego obraźliwe.

Żaden szok nie pomoże

To nie tak, że jedyną słuszną odpowiedź na kryzys mają dziś socjaliści, a polskie polityczne centrum w poszukiwaniu właściwych recept musi się przemałować na czerwono. Gospodarkę można próbować ratować, a następnie budzić do życia, za pomocą miksu różnych środków, wywodzących się z najróżniejszych szkół ekonomii, brać je i od libertarian, i od skrajnej lewicy. Ale powtarzanie tych samych komunałów – że

zainwestują więcej i hojniej, gdy tylko zmieni się władza. Tak jakby to nie kolejne lockdowny i olbrzymia nieprzewidywalność hamowały dziś gospodarkę, ale sam Kaczyński.

Przy czym trzeba pamiętać, że plan Bidena, choć olbrzymi, i tak wywodzi się z bardziej liberalnej logiki i organizacji systemu świadczeń, jaka panuje w USA. W Europie kompletnie odrzucono zadłużeniowe tabu, a środki na inwestycje i rozruch gospodarki, jakie ma uruchomić Europejski Plan Odbudowy i Rozwoju, są w proporcji do PKB poszczególnych państw członkowskich wprost imponujące. Platforma w tym czasie chce

Świadczenia dla obywateli i rodzin w logice PO uchodzą za rozdawnictwo, ale sfinansowane z podatków odszkodowania dla biznesu są uznawane za oczywistość.

trzeba niższego VAT oraz inwestycji prywatnych – w sytuacji gdy całe branże nie działają wcale, a kraj do słownie stanął w miejscu, ociera się już o szaleństwo. PO, która lubi raz na jakiś czas porównać się do amerykańskich demokratów, zrobiłaby dużo lepiej, gdyby choć wulgarnie kopiowała cudze rozwiązania.

Amerykański plan poza bezpośrednim zasięgiem kryzysowym przewiduje bowiem pokrycie strat samorządów (stanów i władz lokalnych), dopłaty do kredytów mieszkaniowych, zwroty podatku dla młodych, dopłaty do publicznych planów ubezpieczeń zdrowotnych (w Polsce pewnie oznaczałoby to objęcie składkami kolejnych grup lub wsparcie dla NFZ), granty, pożyczki i fundusze dla małego i średniego biznesu. Co więcej, Ameryka otwarcie mówi, że to publiczne inwestycje – od farmaceutyków i środków ochronnych po infrastrukturę i energię – będą napędzać rozwój. Administracja Bidena szykuje właśnie propozycję pakietu inwestycji wartego kolejne 3 bln (tysiące miliardów) dolarów! To pieniądze z Waszyngtonu, jak prawie sto lat temu w czasach wielkiego kryzysu, mają zbudować w Ameryce drogi, mosty i elektrownie oraz rozruszać przemysł. W przeciwieństwie do tego związani z Platformą eksperci dalej łudzą się, że przedsiębiorcy i firmy pomimo pandemicznych strat

obniżyć VAT do 5%, wycofać podatek Belki i przywrócić handel w niedziele. Problem z doktrynerstwem polega niestety na tym, że gdy ma się w ręku jedynie młotek, każdy problem wygląda jak gwóźdź. Polski neoliberalizm zaś wierzy, że nie ma problemu gospodarczego – sytuacji tak dobrej ani tak złej – żeby nie pomogły jakieś cięcia podatków, deregulacja i trochę więcej zaciśnięcia budżetowego pasa.

Wyznawców tej reaganomiki w Polsce nie otrzeźwił jeszcze żaden szok. Wierzą oni, że socjał szkodzi, budżet trzeba trzymać krótko, a publiczne inwestycje i wydatki to wyrzucanie pieniędzy w błoto. Nawet jeśli polityczna logika każe z czysto egoistycznych powodów mówić coś innego, światowa debata idzie zaś do przodu. I nawet gdy globalna pandemia zwyczajnie wymusza przewartościowanie poglądów, a w Ameryce paradygmat zmienia się w ciągu kilku tygodni i miesięcy. W świetle tego można zapytać tylko o jedno: czy do zmiany zdania zmusi ich kolejna wygrana PiS, czy pozostaną wierni gospodarczym naukom swoich mistrzów nawet za cenę kolejnych porażek? Jest to ideologiczna konsekwencja w polityce rzeczywiście niespotykana.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

W wielkanocnym numerze tygodnika „NIE” mnóstwo świątecznych atrakcji, w tym przepis na białą-czerwoną kielbasę.



Jak długo naszym lekarkom i lekarzom wystarczy kondycji? Oddział ratunkowy szpitala klinicznego nr 4 w Lublinie, 10 stycznia 2021 r.



Po roku jesteśmy w punkcie wyjścia

Lekarze walczą z zarazą i paradoksami systemu

Kornel Wawrzyniak

W ostatni poniedziałek marca w Warszawie poinformowano, że skończyły się wolne respiratory przewidziane dla pacjentów z COVID-19. Kilka dni wcześniej załoga ratowników wiozła kobietę z udarem w... bagażniku prywatnego auta. Zaczyna brakować tlenu, karetek, respiratorów i łóżek, słowem wszystkiego. Z jakimi problemami stykają się pracownicy służby zdrowia?

Kombi zamiast karetki

Problemy z organizacją służby zdrowia w obliczu pandemii zgłaszają lekarze, ratownicy i dyrektorzy

placówek. W piątek, 26 marca, głośno było o akcji ratunkowej z wykorzystaniem prywatnego kombi. Medycy wieźli chorą na miejsce lądowania śmigłowca i musieli poradzić sobie bez karetki. Sytuację skomentował na Instagramie ratownik Jan Światała: „Zmarnowali ten rok. Nie wierzę, że nie można było zrobić więcej. (...) Nie wierzę w to, że można zamknąć wszystko, a zostawić świątynię. Nie wierzę w to, że nie można było zrobić centralnej bazy danych z wolnymi miejscami dla pacjentów”. Komentarz Światały nie jest odosobnionym przypadkiem. To obraz podwójnej walki, jaką toczą medycy. Zmagają się z zarazą i systemem, w którym przyszło im pracować.

– W jednym szpitalu schodzi w trzy dni tyle tlenu, ile w normalnych warunkach przed pandemią zużywano przez pół roku – mówi rezydent, który miał okazję pracować z pacjentami covidowymi podczas specjalizacji. Dlaczego tlen jest tak ważny? Podstawową terapią dla chorych na COVID-19 jest podawanie tlenu w celu doraźnego usunięcia duszności i zwiększenia ilości tlenu we wdychanym powietrzu. Niestety, ze względu na zbyt małą ilość tlenu w polskich szpitalach odbywają się jedynie operacje ze wskazań życiowych i dla ratowania życia.

Wielu lekarzy uważa, że błędem było zorganizowanie oddziałów zakaźnych w zwykłych szpitalach. Doszło do wymieszania pacjentów zmagających się z koronawirusem SARS-CoV-2 z innymi chorymi. Wszyscy znajdują się w tych samych budynkach, przez co część oddziałów musiała zawiesić planowe zabiegi, a lekarze skupili się na zakażonych. – Kiedy tylko dowiedziałem się, że pacjenci covidowi są wożeni tą samą windą co nasze pacjentki na

► blok operacyjny, natychmiast zawieszam zabiegi. Nic nie działa, więc na dobrą sprawę codziennie rano możemy zaparzyć sobie ziółek, a po godz. 14 iść do domu – opowiada ginekolog pracujący w jednym z podwarszawskich szpitali.

Bywa jeszcze gorzej, bo część oddziałów po prostu jest zamykana. – Poszczególne oddziały są przekształcane w zakaźne, a pacjentów przenosi się do innej części szpitala, gdzie jest np. o połowę mniej miejsc. Czasem zamykane są też całe oddziały, a wtedy nie ma gdzie leczyć pacjentów – wspomina chirurg z jednego z gdańskich szpitali.

Skąd wziąć lekarza

Taka organizacja odbija się fatalnie na pacjentach niecoronawirusowych. Wielu chorych zbyt długo czeka na konsultację, czego następstwem może być rozwój nowotworu czy zbyt późno wykryty zawał. – Przeraża mnie, że nie ma łóżek dla tych, którzy nie chorują na covid. Wiele osób, które w normalnych warunkach by przeżyły, obecnie umrze, bo nie zostanie zdiagnozowanych na czas. Pacjenci zbyt długo czekają na konsultację i umierają w domu – mówi laryngolożka z Warszawy. Wtóruje jej rezydentka z Małopolski: – Jak się przenosi personel medyczny z jednego oddziału na drugi, to wiadomo, że gdzieś wreszcie go zabraknie. Wtedy trzeba odwoływać planowe zabiegi, bo nie ma ani środków finansowych, ani kadry.

Problemy kadrowe są największą bolączką w obliczu kolejnej fali COVID-19. Na alarm biją lekarze, dyrektorzy i rezydenci. – Przede wszystkim widać dramatyczny brak wykształconej kadry medycznej. W Unii Europejskiej jesteśmy trzeci od końca, jeśli chodzi o liczbę lekarzy na 10 tys. mieszkańców. Teraz ten brak widać gołym okiem – wytyka dyrektor szpitala w Tucholi Jarosław Katulski. – Tworzone są szpitale tymczasowe, w których nie ma komu pracować. Szpitale, którymi rząd tak się chwali, powinny być zorganizowane i gotowe do przyjmowania pacjentów już po pierwszej fali pandemii. Część z nich jeszcze dzisiaj nie jest czynna, dlatego w szpitalach, gdzie otwarto oddziały zakaźne, kończą się łóżka – wyjaśnia.

Mimo dramatycznego braku kadry w szpitalach rezydenci kończący specjalizację wypadają z systemu, ponieważ muszą podejść do państwowego egzaminu specjalizacyjnego, który wymaga wielotygodniowych przygotowań. Tym sposobem ok. 2 tys. praktyków nagle przestaje pracować. – W trakcie specjalizacji pracowałam na covidzie, jeździłam karetką, a teraz czekam na ustną część PES i nic nie mogę. Najgorsze jest dla mnie to, że nie mogę pracować i pomagać ludziom. A przecież chyba każde ręce na pokładzie się liczą, prawda? – komentuje rezydentka z Małopolski.

Problem egzaminów specjalizacyjnych poruszał w mediach społecznościowych ratownik Jan Świata: „Nie wierzę w to, że po raz kolejny wyj*bać się o własne nogi w kwestiach egzaminów specjalizacyjnych, nie dali rady rozwiązać problemów kadrowych”. Dla ratownika najgorszy jest fakt, że rezydenci, którzy zaliczyli już część pisemną PES, muszą czekać na ustną, a ta

– Ostatnio zatrudnili u nas 70-letniego schorowanego doktora będącego już dawno na emeryturze. I mimo że izby lekarskie mają dokładne informacje o lekarzach, powołują do pracy kobiety w ciąży – słyszę od jednego z rezydentów.

W art. 47 Ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi w punkcie trzecim możemy przeczytać: „Skierowaniu do pracy niosącej ryzyko zakażenia przy zwalczaniu epidemii nie podlegają:

1) osoby, które nie ukończyły 18 lat bądź ukończyły 60 lat w przypadku kobiet lub 65 lat w przypadku mężczyzn;

2) kobiety w ciąży;

2a) osoby samotnie wychowujące dziecko w wieku do 18 lat”.

Pytanie, na jak długo naszym lekarkom i lekarzom wystarczy kondycji. – Nadal pracuję jakieś 192 godziny miesięcznie, czyli około ośmiu dyżurów, jednak od pół roku, kiedy zamieniono u nas oddział wewnętrzny w oddział za-

Działamy w warunkach frontu, dlatego trzeba podejmować decyzje, które są drastyczne, wybierać mniejsze zło.

jest ciągle przekładana ze względu na warunki pandemiczne. – Egzamin ustny jest formalnością rodem z PRL, nasza wiedza została zweryfikowana podczas testu pisemnego. Moglibyśmy już pracować na oddziałach – mówi z frustracją rezydentka z Małopolski.

Tonący emeryta się chwyta

Rezydenci są w stanie pracować nawet po 400 godzin w miesiącu, co jest liczbą ekstremalną nawet jak na polskie warunki. W raporcie „Ile pracują lekarze i lekarze dentyści w Polsce?” wydanym przez Naczelną Izbę Lekarską w 2018 r. podano, że średni miesięczny czas pracy medyków wynosił 234,3 godziny. Jednak rezydenci to niewielka część lekarzy. Jak można wyczytać w biuletynach statystycznych Ministerstwa Zdrowia, już w 2019 r. prawie 25% wszystkich lekarzy w Polsce było w wieku emerytalnym. Problem średniej wieku znany jest od dawna, lecz do tej pory nie mieliśmy tak ekstremalnej sytuacji na oddziałach.

każny, dużo mniej śpię, bo w nocy bez przerwy chodzę do pacjentów. Ostatnio, wracając do domu, musiałam zatrzymać się na poboczu, bo zaczęłam zasypiać za kierownicą – opowiada 62-letnia anesteziolożka pracująca w jednym z trójmiejskich szpitali.

Jak moglibyśmy oszczędzić lekarzom pracy? – Działamy dziś w warunkach frontu, dlatego trzeba podejmować decyzje, które są drastyczne, wybierać mniejsze zło – mówi dyrektor Katulski. – Na wojnie trzeba się zastanowić, czy ważniejsza jest ochrona zabytków, czy zniszczenie za wszelką cenę wroga. Jesteśmy w takiej sytuacji, że dziwię się, że rząd wprowadza kolejne ograniczenia, których przestrzeganie będzie wątpliwe, zamiast wprowadzić stan klęski żywiołowej. Powinniśmy po prostu zamknąć państwo, bo najważniejsze jest to, aby nasza służba zdrowia przetrwała kilka kolejnych tygodni. Inaczej ludzie będą umierać w karetkach pod szpitalem – ostrzega Katulski. ■

ZAWSZE KROK ZA WIRUSEM

Zaczyna brakować łóżek, czasami tlenu.
Działania rządu przypominają improwizację

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Więści ze szpitali są alarmujące, ile jeszcze wytrzymają?

– Szpitale wytrzymają i mówięm to już na początku pandemii. Personel, przy ogromnym poświęceniu, również sobie poradzi. Za to pacjenci już nie wytrzymują – nadmiarowa liczba zgonów świadczy o niewydolności systemu.

Wiele mówi się o słabościach systemu ochrony zdrowia, jednak pandemia na pewno obnażyła takie, które nie były wcześniej znane nawet menedżerom szpitali.

– Epidemia obnażyła braki podstawowego sprzętu – w zeszłym roku brakowało maseczek i kombinezonów, teraz zdarza się, że brakuje tlenu. Część szpitali mieści się w stuletnich budynkach, które nie zdają egzaminu w obliczu zagrożeń epidemicznych – leczymy w zbyt ciasnych pomieszczeniach, gdzie chorzy są stłoczeni, a to idealne warunki dla choroby roznoszącej się drogą kropelkową. Jest też za mało oddziałów – czasem wyłączenie jednego powoduje, że nie możemy leczyć konkretnych chorych. Epidemia unaoczniała, że potrzeba wielkich zmian strukturalnych, wręcz budowy nowych szpitali.

A personel? Czy jest go wystarczająco dużo?

– Personelu było za mało jeszcze przed epidemią, teraz widać, jak ogromny to problem. Niestety, wszystkie działania, które są podejmowane, aby zwiększyć jego liczbę, idą zbyt wolno. Na szczęście dzięki szczepieniom nie mamy takiej sytuacji jak w zeszłym roku, kiedy musieliśmy zamykać oddziały z powodu chorób medyków.

Może jednak są jakieś pozytywne obecnej sytuacji, np. wypracowanie procedur, które usprawnią funkcjonowanie także po pandemii?

– To powinien być wielki wstrząs dla osób organizujących opiekę zdrowotną. Ujawniły się wszelkie braki. Niestety, zauważam, że wśród rządzących panuje przeświadczenie, że

epidemia minie, a kiedy to nastąpi, nie będzie potrzeby prawdziwej reformy systemu. Zapowiadane są zmiany w szpitalnictwie – obiecano, że do końca marca zostanie przedstawiony plan reformy, który jednak nie zakłada podejścia nacechowanego troską o pacjenta, a jedynie optymalizację finansów i wydolności systemu.

Czyli słusznie wielu wątpi w umiejętność wyciągania wniosków przez władze?

– Podejście rządzących do epidemii miało różne etapy. Na początku to było lekceważenie. W lutym 2020 r. odbywały się te słynne posiedzenia, podczas których główny inspektor sanitarny mówił, że trzeba sobie włożyć łód do majtek. Potem rząd się przestraszył i działania na przełomie marca i kwietnia były właściwe – *lockdown* spełnił swoje zadanie. Do tamtego momentu widać było współpracę między społeczeństwem a rządzącymi – na poważnie brano zalecenia ówczesnego ministra zdrowia Szumowskiego. Wszystko się zmieniło, kiedy epidemia została upolityczniona w trakcie wyborów prezydenckich. Społeczeństwo to wyczuło i od tego czasu nie bierze rządzących na poważnie.

Rząd zdaje się działać od kryzysu do kryzysu.

– Cały czas idziemy za wirusem. Obostrzenia są wprowadzane zawsze chwilę za późno. Nie rozumiem tego podejścia – nie kontroluje się granic, kiedy wiadomo, że nasi rodacy jeżdżą do Afryki w celach turystycznych. W działaniach rządu nie ma patrzenia do przodu. A właśnie teraz powinniśmy zadziałać z wyprzedzeniem – całkowity *lockdown* ma sens, bo mając szczepionki, wiemy, że nie będzie on trwał długo.

Premier mocno skrytykował zbyt małe zaangażowanie prywatnych placówek w walce z pandemią.

– W zeszłym roku cała walka z pandemią została przerzucona na publiczną ochronę zdrowia. Natomiast w tej chwili jest już nieco inaczej – niektóre niepubliczne placówki zamieniły się w szpitale covidowe. Tymczasem



SENATOR WOJCIECH KONIECZNY

– lekarz i dyrektor Miejskiego Szpitala Zespolonego w Częstochowie

premier Morawiecki chyba zapomniał, że w tarczy 2.0 wpisał możliwość komercjalizacji szpitali. Dwukrotnie składałem poprawki, aby wykreślić ten zapis jako niewłaściwy w czasie pandemii. Jednak premier z wielkim uporem bronił tej idei. Również prezydent podpisał ustawę, która dopuszcza taką możliwość. Dlatego zarzucanie opozycji, że chciała komercjalizować służbę zdrowia, jest nie na miejscu.

Największy błąd w walce z pandemią, jaki ostatnio popełniono, to...

– Dzienna liczba zarażeń pokazała, że błędem było zniesienie obostrzeń. Gdybyśmy nadal się ich trzymali, dzisiaj mielibyśmy zupełnie inną sytuację. Mamy czas, w którym trzeba podejmować niepopularne decyzje, jednak rządu na to nie stać.

Jakie działania powinno się teraz podjąć?

– Kiedy mamy wojnę, to cywilna kontrola nad armią ustępuje wojskowej. Podobnie z wirusem – to biologia, którą powinni zajmować się lekarze. Tymczasem próbujemy walczyć z COVID-19 sposobami wziętymi ze świata ekonomii. Niestety, nie wierzę, że medyczne podejście dojdzie w najbliższym czasie do głosu. Przede wszystkim powinno się wprowadzić stan klęski żywiołowej. Dzisiaj ten krok jest niezbędny – obostrzenia, które mogą być konieczne, powinny być zgodne z prawem i bardziej egzekwowane. Im twardszy wprowadzimy teraz *lockdown*, tym krócej będzie on trwał, bo cały czas szczepimy ludzi.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeгляд.pl

Rozmawia Małgorzata
Szczepańska-Piszcz

W pilotażowym programie – przygotowanym pod pana kierownictwem – uczycie psy wykrywania koronawirusa SARS-CoV-2 u ludzi. Czy to oznacza, że COVID-19 ma swój zapach?

– Nie, to każdy człowiek ma zapach, który jest odzwierciedleniem jego indywidualnego metabolizmu. Ten ślad zapachowy zmieniają np. dieta, przyjmowane leki, a także choroby. Cierpiący na konkretne schorzenie mają specyficzny ślad zapachowy. Dlatego można wyszkolić psy do wykrywania zarówno różnych stanów fizjologicznych, jak i patologicznych, wywołanych np. zakażeniem.

Wykorzystywanie psów do wykrywania chorób u człowieka nie jest czymś nowym.

– Od dawna psy są szkolone do diagnozowania niektórych rodzajów raka, np. skóry, prostaty, płuc. Potrafią wykryć również osoby dotknięte malarią. Ale warto wspomnieć, że spontanicznie, bez szkolenia, mogą wyczuwać stany hipoglikemii, czyli zbyt niskiego poziomu glukozy we krwi w przebiegu cukrzycy, a także zbliżające się napady padaczkowe.

Przed wiekami medycy wąchali i smakowali mocz, gdy podejrzewali cukrzycę u pacjenta. I dobrze diagnozowali.

– My, weterynarze, nadal używamy nosa, np. gdy do gabinetu

Można wyszkolić psy do wykrywania różnych stanów fizjologicznych, jak i patologicznych, wywołanych np. zakażeniem.

wchodzi zwierzę chore na mocznicę czy na zapalenie gruczołów okołoodbytowych. Wtedy, aby postawić wstępną diagnozę, nie trzeba zlecać dodatkowych badań. Zapach wskazuje jednoznacznie. A przecież pies ma węch dużo silniejszy niż człowiek.

O ile silniejszy?

– Szacuje się, że węch psa może być kilka tysięcy razy czulszy niż węch człowieka. Wszystko zależy od rasy i od konkretnego osobnika.

Jakie rasy mają najlepszy węch?

– Rasy myśliwskie, choćby bloodhoundy czy posokowce. Mogą być wykorzystywane przez ludzi do

Zapachowy ślad

Psy są szkolone do wykrywania COVID-19



**DR HAB. MICHAŁ
DZIECIOŁ**

– profesor Uniwersytetu
Przyrodniczego we Wrocławiu

wykrywania narkotyków, papierosów, materiałów wybuchowych czy właśnie chorób. Jednak u psów równie ważna jak czułość węchu jest zdolność do współpracy, skupienie na człowieku. A pod tym względem wybitne są owczarki: niemieckie, belgijskie, a także labradory. I to one zwykle pracują ze służbami celnymi, wyszukując narkotyki lub materiały wybuchowe.

Pies jest w stanie wywęszyć nawet to, co oddzielone taflą wody. Nowofundlandy bez trudu znajdują ciała topielców uwięzione w korzeniach drzew, gdzieś na dnie rzeki czy jeziora.

– Tak, woda nie odcina psów od bodźców zapachowych. Specjaliści z Kanady zajmujący się wykorzystywaniem psów do odnajdywania w przyrodzie zagrożonych gatunków, mają przeszkolone psy, które bez trudu znajdują np. wodne żółwie czy węże. Co ciekawsze, potrafią to robić w wodzie płynącej, która wszelkie zapachy roznosi na wiele metrów.

I w tym wyszukiwaniu są bardzo precyzyjne.

Po co psu tak fantastyczny węch? Kot, drapieżnik, doskonale sobie radzi ze znacznie słabszym nosem.

– Dla nas, ludzi, węch jest jakby zmysłem dodatkowym, mniej istotnym. Bo najważniejszych dla nas informacji nie odbieramy węchem. Dla kota zapachy też nie są kluczowe, bo nie tropi zwierzyny jak pies – on poluje z zasadzki. Natomiast dla psa nos to podstawa nie tylko przy zdobywaniu pożywienia, namierzaniu ofiary, ale i w życiu socjalnym. Gdy obwąchuje w parku inne psy (lub ich ślady), poznaje płeć, kondycję, nastawienie psychiczne i zdobywa w ten sposób jeszcze inne, ważne dla niego informacje, np. ile lat ma obwąchiwany. Okazuje się bowiem, że w psich gruczołach odbytowych wytwarzane są substancje białkowe, których stężenie zależy od wieku. To ważne, bo przecież u psów większy nie oznacza starszy, np. stary ratlerek będzie dużo mniejszy od młodziutkiego doga. A wiemy, że psy modyfikują zachowanie w zależności od wieku napotkanego czworonoga i są np. bardzo pobłażliwe wobec szczeniaków. Pies węszy, skanuje otoczenie bez przerwy. Gdy pobiera powietrze, tylko jego część jest kierowana do płuc, reszta wędruje do górnej części kanału i jest filtrowana przez receptory węchowate, dając

psu cały czas informacje.

Zapachy są dla psa jedynie obojętną informacją czy różnicuje je – jak człowiek – na przyjemne i nieprzyjemne?

– Nie tylko odróżnia, ale w dodatku wącha je na dwa sposoby. Prawym nozdrzem zapoznaje się w początkowym etapie węszenia i przy kontakcie z nieznanymi zapachami oraz podczas kontaktu z zapachami pobudzającymi. Lewe nozdrze jest wykorzystywane częściej do bardziej rutynowych kontaktów. Prawdopodobnie taki sposób rejestracji bodźców zapachowych z otoczenia jest



Pies jest w stanie
wyczuć chorego
w ciągu paru sekund.
I to dotyczy każdego
zapachu.

związany z lokalizacją odpowiednich ośrodków w mózgu psa.

Wiadomo już, którą dziurką nosa pies wącha ślad zapachowy chorych na COVID-19?

– Jeszcze nie. Ale jestem pewien, że po zakończeniu programu będziemy wiedzieli. Wszystko jest skrupulatnie nagrywane. I będzie drobniaczково analizowane.

Czy wasz pilotażowy program ucący psy rozpoznawania przez psy SARS-CoV-2 to projekt międzynarodowy?

– Nie, jest całkowicie nasz, polski, choć oczywiście korzystamy z doświadczenia krajów, które już przetrwały nam drogę, czyli Francji i Finlandii. Autorką protokołu szkoleniowego jest dr Agata Kokocińska-Kusiak. Bazujemy na psach polskich służb celnych, czyli osobnikach już

wyselekcjonowanych, wyszkolonych do wyszukiwania konkretnych substancji i po kursach posłuszeństwa. Dzięki temu nasz projekt możemy przeprowadzić dużo szybciej i taniej. Rozpoczęliśmy go 8 marca w ośrodku szkoleniowym w Kamionie. Ma trwać osiem tygodni. Być może będziemy nasze prace kontynuować.

Jak wygląda procedura wyszukiwania chorych na COVID-19? Czy pies bezpośrednio obwąchuje człowieka?

– Nie ma bezpośredniego kontaktu z badanymi. Obwąchuje wyłącznie pobrany materiał, tzn. gazę, którą chory trzyma pod pachą lub w ręku przez ok. 15 minut. Standardowo nie kontaktujemy psa z badanymi, żeby wyeliminować dodatkowe czynniki, takie jak stres. Bo jest prawdopodobne, że ludzie na

kontakt z czworonogiem będą reagować stresowo. I w rezultacie możemy wyszkolić zwierzę do wykrywania zestresowanych, a nie chorych. Teraz psy wąchają gazę, w innych przypadkach stosujemy pojemniki z wydychanym powietrzem.

Jak szybko pies jest w stanie wyczuć chorego na COVID-19?

– Potrzebuje paru sekund. I to dotyczy każdego zapachu, do rozpoznania którego zostaje przyuczony. Tak samo szybko zidentyfikuje narkotyk.

Jaka jest skuteczność psiego wykrywania?

– Zależy od psa. Niektóre mają 100-procentową, inne 95- czy 80-procentową skuteczność. Dużo zależy oczywiście od wielości powtórzeń. Im więcej prób, tym bardziej rośnie możliwość błędnego wskazania, ale żadna metoda nie daje 100% trafności.

Po jakim czasie skuteczność maleje? Jak szybko pies się męczy?

– To też cecha indywidualna. Ale, jak wiemy, psy służbowe potrafią pracować długo. Prowadzący zwykle wyczuwa, kiedy jego podopieczny potrzebuje przerwy. Na pewno każdy czworonóg oprócz odpoczynków potrzebuje silnej motywacji. Pies pracuje, tylko gdy jest szczęśliwy. Jeśli praca przestaje mu sprawiać przyjemność, znajdzie sposób, żeby się od niej wykręcić, oszukać i będzie jedynie udawał, że pracuje.

Kiedy praca sprawia psu przyjemność?

– Jeśli pies jest prawidłowo szkolony i prowadzony, tworzy się więź między nim a przewodnikiem. I pies chce zadowolić swojego pana. Poza tym praca sprawia mu przyjemność, gdy sama w sobie jest oczekiwaną formą aktywności lub jeśli jest nagradzana (np. pićczką czy werbalnie). Psy pracują z ogromną pasją.

Gdy już zakończycie badania, ile czasu będzie potrzeba na wyszkolenie kolejnych psów do pracy, jak przypuszczam, na lotniskach, na dworcach, zdolnych błyskawicznie rozpoznać zakażonego koronawirusem?

– Jeśli to będą osobniki już wyuczone do wykrywania zapachów, to błyskawicznie – znamy psy przestawione w dwa tygodnie. Ale myślę, że taka nauka, biorąc pod uwagę indywidualne uwarunkowania, powinna się zamknąć w kilku tygodniach.

m.piszczy@tygodnikprzeгляд.pl

Maseczka czyni złodzieja

W pandemii pojawiły się fałszywe zbiórki pieniędzy na medyków czy wyłudzenie danych na sanepid. I zalew cyberprzestępstw

Beata Igielska

W październiku 2020 r. 83-letni pensjonariusz domu opieki społecznej po zakażeniu koronawirusem trafia do szpitala w Gorzowie Wielkopolskim. Nie udaje się go uratować. Oszczędności jego życia umierają wraz z nim. Od dnia pogrzebu codziennie odbywa się kilka lub kilkanaście transakcji. Konto zostaje całkowicie wyczyszczone. Jak mówi jeden z członków rodziny w telewizyjnym programie interwencyjnym: – Ktoś urządził sobie bez żadnych zahamowań życie na bogato, ile bankomat wytrzyma. Wuj w portfelu prawdopodobnie miał karteczkę z PIN do karty.

W Brodnicy oszuści podszywają się pod przedstawicieli sanepidu. Dzwonią anonimowe osoby i proszą o podanie danych osobowych w celu np. umówienia na test. To próba wyłudzenia danych. Dziś wystarczy znać czyjeś imię, nazwisko, PESEL i numer dowodu, żeby wziąć pożyczkę przez internet na cudze konto.

Niemal normą stali się ludzie w maseczkach uciekający przed płaceniem ze stacji benzynowych. Ustawiają samochód tak, żeby numery rejestracyjne nie były widoczne w kamerze. Ci, którzy okradają stacje, mają przeważnie dodatkowy zbiornik w bagażniku. Kierowca ukradł 2 tys. litrów paliwa, wlewając do baku w aucie z jednego pistoletu 5 litrów, a w tym samym czasie drugim pistoletem napełniał kanister leżący w samochodzie. Wcześniej magnesem zakłócał pracę dystrybutora, dzięki czemu równocześnie mógł zlewać paliwo z dwóch węży.

Złodziei w maseczkach boją się także sklepy. Wcześniej, by założyć twarz przed obiektywem kamery przemysłowej, zakładali kaptury, ciemne okulary, czapki z daszkiem. Teraz maseczki dają anonimowość, czasem nie wiadomo nawet, czy kradnie kobieta, czy mężczyzna.

W tym starciu wygrywają sklepy z bramkami antykradzieżowymi, bo system wychwyci wynoszony towar i włączy alarm. W pandemii dużo placówek wprowadziło kasy samoobsługowe – złodziej skanuje więc towar, ale nie płaci i wychodzi ze sklepu, zanim maszyna poinformuje, że nie dokonał płatności. Albo nabija na kasę inny produkt, niż chce kupić. Badania „Bezpieczeństwo w handlu detalicznym w Europie” pokazują, że 50,4% odnotowanych przestępstw sklepowych przypada na sklepy spożywcze.

„Zamaseczkowany” złodziej z Włodawy trafił na monitoring w domu, do którego wszedł przez wybitą szybę w oknie. Miał czapkę z daszkiem, ale że ubrał się w krótkie spodenki, na nodze widać było duży tatuaż. Tak stracił anonimowość.

Niczym gang Olsena

Można kraść metodą na klamkę, czyli sprawdzić, czy drzwi nie są otwarte i czy ktoś w mieszkaniu zareaguje. Zabiera się różne przedmioty z korytarza: torebki, kurtki itp. Można też na panią z dzieckiem. Ona dzwoni do mieszkań, ono badawczym okiem lustruje, co tu jest cennego. Ona podpytuje o starszych sąsiadów. Można na pana z dywanem na

ramieniu, który przemierza osiedle i też lustruje mieszkania. Można wyłudzać pieniądze nawet na krzyżówkę z naszego tygodnika. Podobnych zdarzeń przybywa. W listopadzie na południu kraju złodziej skorzystał z otwartych drzwi i pod nieobecność domowników wyniósł stary telewizor i cyfrowy dekodery. W innym przypadku złodziej użył oryginalnego klucza do drzwi mieszkania starszej pani, który niezbyt mądrze schowała. Straciła wszystkie oszczędności, kilkanaście tysięcy złotych. Złodzieje okradają otwarte samochody, gdy np. właściciel robi zakupy lub płaci za benzynę. Ale też z placów budowy znikają betoniarki, piły paliwowe, wiertarki, silniki do pilarek i inne narzędzia oraz sprzęt budowlany.

Pewien złodziej chodził po sklepie z kalkulatorem, aby ukraść towar za maksymalnie 500 zł. Pomylił się: wartość rzeczy, które wybrał, wyniosła 506 zł. – Jeżeli ktoś dokonuje kradzieży lub przywłaszczenia cudzej rzeczy ruchomej, której wartość nie przekracza 500 zł, mamy do czynienia z wykroczeniem podlegającym karze aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny. Jeżeli wartość tego przedmiotu przekracza 500 zł, mamy do czynienia z przestępstwem. Podlega ono karze pozbawienia wolności od trzech miesięcy do pięciu lat

Statystyki policyjne 2020

W Polsce w 2020 r. popełniono 786 302 przestępstwa, czyli o 36 475 mniej niż w 2019 r., a ich wykrywalność wzrosła do 73,9%. Odnotowano o 3109 kradzieży z włamaniem więcej niż w 2019 r. (71 392). O 3% wzrosła liczba skradzionych samochodów (8856), ale wykrywalność zwiększyła się tu o 1,9%. Zanotowano o 9427 przestępstwach gospodarczych więcej. Więcej też, o 125, było zabójstw – 656.

O prawie 21% spadła liczba bójek i pobić; w 2019 r. – 4066, a w ubiegłym roku – 3229, przy wykrywalności wyższej o 1,1%. Wysoki spadek zanotowano w kategorii: rozboje, wymuszenia i kradzieże rozbójnicze – z 6473 zdarzeń do 5293 (mniej o 18,2%), przy wskaźniku wykrywalności wyższym o 1,1%. Spadki zarejestrowano także w kategoriach przestępstw uciążliwych – w 2019 r. zgłoszono 106 682 kradzieże mienia, w ubiegłym zaś – 101 296 (wykrywalność wyższa o 3,2%).

Źródło: Gazeta Policyjna



22 stycznia br. napadnięto na sklep jubilerski w Gdańsku-Wrzeszczu.

– tłumaczy Anna Chybińska, adwokat z kancelarii Dubois i Wspólnicy.

W Augustowie rodziły się gang Ol-sena dokładnie zaplanował kradzież paliwa, założył do swojego mercedesa skradzione tablice, ale złodzieje daleko nie ujechali, bo zamiast oleju napędowego wiali do baku benzynę. Samochód stanął. W emocjach pomylili paliwo.

otwierał senior, jedna z nich przekonywała, że jest przedstawicielką instytucji oferującej pomoc ludziom w podeszłym wieku. Odwracała uwagę spragnionej kontaktu i rozmowy ofiary pytaniami i wypełnianiem spreparowanych dokumentów, a druga przeczesywała mieszkanie. We wrześniu ub.r. starszemu mieszkańcowi Gliwic skradziono złoty sygnet

spowodowała śmiertelny wypadek. Jedynie natychmiastowe wpłacenie kaucji pozwoli uniknąć kary. Przekazała „policjantom” 200 tys. zł.

Cybergangsterzy

Przepis na fałszywą tożsamość internetową jest prościutki: wpisuje się adres, pod którym widnieje generator numerów PESEL. Wybiera się datę urodzenia, płeć, zakłada NIP i REGON i już jest załączek osobowości prawnej. Dokładamy zdjęcie, które możemy wygenerować w serwisach tworzących tzw. fałszywe twarze. Można też wykorzystać prawdziwe zdjęcie osoby z historią cyfrową. Zakłada się jej potem konto w mediach społecznościowych. Tak powstają trolle, głoszące np., że wirus to spisek Billa Gatesa. Tak powstają również konta „amerykańskich żołnierzy” – uwodzieli kobiety i wyłudzały pieniądze.

W pandemii wyraźnie wzrosła przestępczość gospodarcza. Przestępcy tworzą skuteczne kampanie socjotechniczne. Ich cel to pozyskanie czyjejś tożsamości, dostępu do rachunków bankowych i kodów autoryzacyjnych. Cyberprzestępcy najprawdopodobniej zmodyfikują schematy oszustw, by czerpać zyski także po pandemii.

Sprawcy cyberprzestępstw najczęściej tworzą i rozsyłają mejle lub SMS-y „pochodzące” z naszego banku.

Na masową skalę pojawiły się kradzieże katalizatorów samochodowych. Wystarczy półtorej minuty, lewarek, szczypce, nóż i śrubokręty. Rdzeń katalizatora pokryty jest platyną, palladem czy rodem. Ceny tych metali dochodzą do kilkuset złotych za gram, cena rodu wzrosła o 3000%, obecnie uncja jest warta 12 razy tyle co uncja złota. W Warszawie zaś na Ursynowie ktoś kradnie... kontenery na śmieci. W sieci oferty: 500 zł za kontener.

Wciąż na wnuczkę i policjanta

Na terenie Gliwic dwie kobiety z Częstochowy chodziły po klatkach schodowych i pukały do drzwi, a gdy

i obrączki, złote i srebrne monety, monety okolicznościowe i biżuterię oraz ponad 10 tys. zł w gotówce, w sumie stracił ponad 210 tys. zł. Do przeszło 90-letniej mieszkanki warszawskiego Ursynowa na telefon stacjonarny zadzwoniła młoda kobieta, podając się za jej wnuczkę. Mówiła, że syn starszej pani miał wypadek, jest na komendzie i potrzebne są pieniądze na kaucję.

Polscy seniorzy w 2020 r. metodą „na wnuczkę” stracili 86 mln zł, o ponad 13 mln więcej niż rok wcześniej. Ale z pewnością nie wszystkie kradzieże są zgłaszane. Wciąż ma się świetnie także metoda „na policjanta”. 64-letnia kobieta z powiatu pільskiego odebrała telefon od „policjanta”, że najbliższa jej osoba

► Sprawcy cyberprzestępstw najczęściej tworzą i rosyłają mejle lub SMS-y „pochodzące” z naszego banku. Jeśli grupy przestępcze ubiegają się o kredyt, którego nie mają zamiaru spłacić, wykorzystują osoby prywatne – słupy. Przy ich pomocy fałszują dane poświadczające zdolność kredytową. Wyciągają również od państwa nieprzysługujące im dotacje, zapomogi lub ubezpieczenia. Wzrosła liczba tzw. mułów pomagających w transferowaniu skradzionych środków poza system bankowy, ale nieświadomych, że biorą udział w przestępstwie.

Na początku pandemii w internecie organizowano zbiórki pieniędzy na doposażenie oddziałów szpitalnych bądź na zakup czy uszycie maseczek ochronnych. W chwilach kryzysu polskie społeczeństwo potrafi się zjednoczyć. Z drugiej strony oszuści od razu podrobili strony internetowe na wzór legalnie działających portali zajmujących się zbieraniem pieniędzy na cele społeczne.

Dr hab. Wojciech Pawlik, profesor UW z Katedry Socjologii Moralności i Aksjologii Ogólnej: – Teorie socjologiczne na temat zjawisk kryzysowych idą w dwóch kierunkach. Pierwszy – kryzys wywołuje wzrost wrogości, przestępczości, agresji; drugi – w czasie powodzi, wojny,

pandemii wzrasta solidarność społeczna. Obie te teorie nie wykluczają się. Kryzys wywołuje panikę moralną. Domyślać się mogę, że jest mniej np. kradzieży kieszonkowych, bo ludzie siedzą w domach. Z tego samego powodu nie ma pewnie tylu włamań do mieszkań. Ale wzrasta przemoc domowa. Jesteśmy sfrustrowani, a frustracja prowadzi do agresji.

Od połowy 2019 r. do połowy 2020 Facebook wykasował 6 mld fałszywych kont. Bo w internecie tworzone są miliardy fałszywych tożsamości, nierzadko ukradzionych prawdziwym ludziom. Ładujemy do internetu zdjęcia, publikujemy prywatne informacje o sobie i dajemy oszustom gotowy materiał. Na po-

Z placów budowy znikają betoniarki, piły paliwowe, wiertarki, silniki do pilarek i inne narzędzia oraz sprzęt budowlany.

trzeby deepfaków, fałszywych, ale realnie wyglądających filmów, mających destabilizować całe państwa i społeczeństwa, można ukraść nawet głos. Wyłudżające reklamy regularnie wykorzystują także logo czy layout mediów ekonomicznych. W pandemicznym świecie ludzie tym łatwiej nabierają się na takie oszustwa. Kwitnie też *digital kidnapping*, kradzież wizerunków dzieci, np. chorych na

rdzeniowy zanik mięśni. Potrzebująca pomocy Sandra w alternatywnej rzeczywistości była Anną pochodzącą z Rosji. Na jej „koncie” znajdowały się fałszywy akt urodzenia oraz dokumenty medyczne Sandry przetłumaczone na rosyjski. Założono kilka fałszywych zbiorów i wyłudżono co najmniej kilkanaście tysięcy złotych.

Były, są i będą

Lata 90. przyniosły wysyp przestępczości, której powodem było ubóstwo jako efekt dzięki prywatyzacji. Podobny wzrost notowano w latach 2009-2011 jako wynik globalnego kryzysu gospodarczego. Dziś już widzimy, że pandemia koronawirusa

może spowodować dotkliwsze załamanie gospodarki światowej niż kryzys sprzed dekady. Wtedy baliśmy się o pieniądze, dorobek, pracę. Ale nie o zdrowie lub życie. Dziś zamrożenie gospodarek powoduje, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć skali recesji. Przelaliśmy konsumować, zubożała tzw. klasa średnia.

– W przestrzeni ekonomicznej oszustwa były, są i będą. Niezależnie od sytuacji w skali makro, czy jest kryzys, czy go nie ma, zawsze znajdą się ludzie, którzy idą na łatwiznę i kradną, oszukują, napadają – podsumowuje Jan Gołębiowski, psycholog kryminalny ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Zmieniają się co najwyżej trendy. Coś zaczyna bardziej się opłacać, tak jak teraz kradzież samochodowych katalizatorów. Złodzieje dostosowują się do popytu. Maseczki niewątpliwie poprawiły sytuację złodziei sklepowych. I tak zazwyczaj byli słabo widoczni na zapisach miejskiej jakości monitoringu, a teraz w maseczce są niemal nie do zidentyfikowania. Cyberprzestępcy zaś bazują na naszych automatyzmach. Pojawia się link do Poczty Polskiej, kuriera, kolorystyka i elementy graficzne się zgadzają, więc szybko klikamy, nie zastanawiając się nad zasadnością otrzymania takiej wiadomości. I mamy puste konto.

Zbigniew Lasocik, profesor nauk prawnych i kryminologii z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW

Ostrożnie czytam statystyki policyjne. Ich kształt może zależeć od tego, na co dana władza chce przekierować uwagę opinii publicznej, np. żebyśmy nie patrzyli w tym kierunku, w którym należałoby patrzeć. Dlatego kryminolog nie ufa żadnej władzy. Przestępczość w Polsce spada od lat i ten trend się utrzymuje. Natomiast odnotowujemy wzrost przestępczości gospodarczej, co w sytuacji pandemii wydaje się oczywiste. Jestem także pewien, że wzrosła skala przestępstw internetowych, co jest wynikiem blokady tradycyjnego handlu. Właściwie już jednorazowe zakupy w sieci sprawiają, że trafiamy na listę potencjalnych ofiar. Co do kradzieży samochodów i kradzieży z włamaniem, był moment, że liczby tych przestępstw drastycznie spadły. Wpłynęło na to: lepsze zabezpieczenie samochodów, lepsze oświetlenie miejsc parkingowych, ale i pomoc sąsiedzka. Jeśli prawdą jest, że liczba zabójstw skoczyła o 125 przypadków, byłby to stan alarmowy. Zabójstwo w Polsce jest przestępstwem, które rodzi się z konfliktu, a w pandemii siedzimy w domach i o konflikt znacznie łatwiej. Te statystyki pomijają przestępstwa dobrze schowane za drzwiami naszych mieszkań, np. przemoc, nadmiar używek czy różne formy eksploatacji. Całkiem naturalny jest spadek tzw. przestępstw ulicznych, bo z powodu pandemii jesteśmy w domach. Ale przebieg pandemii pokazał też, że na niektóre przestępstwa jesteśmy bardziej podatni, bo jesteśmy słabsi psychicznie, zależni od innych, pozbawieni ochrony. Dodatkowo pandemia osłabia kontrolę społeczną i dlatego słabi społecznie stają się jeszcze słabsi. Tak jest z seniorami czy migrantami.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Przeczytałem w ostatnim PRZEGLĄDZIE ranking ministrów spraw zagranicznych. Chciałbym do tego dodać kilka swoich uwag. Subiektywnych rzecz jasna. Z 14 ministrów pierwszych czterech znałem służbowo. Gdy byłem ambasadorem na Litwie, polską dyplomacją kierowali kolejno Krzysztof Skubiszewski, Andrzej Olechowski, Władysław Bartoszewski i Dariusz Rosati. Tu skalę porównawczą mam pełną. Jeśli chodzi o pozostałych, to wprawdzie część z nich znałem osobiście, ale ich działalność mogłem oglądać tylko z zewnątrz.

Z „moich” czterech ministrów każdy był inny. Krzysztof Skubiszewski, starszy pan, dżentelmen w każdym calu, nieco sztywny, trzymający dystans, był nie tylko znakomitym, budzącym respekt znawcą prawa międzynarodowego. Jego urzędowanie przypadło na najtrudniejszy okres. Objął funkcję, gdy Polska musiała przeorientować zupełnie swoją politykę zagraniczną na prozachodnią. Gdy trzeba było prowadzić trudne rozmowy o wyjściu wojsk radzieckich z Polski i układać stosunki

przekonsultować ważną sprawę. Uprzedzony przez jego współpracowników cierpliwie zniosłem potok słów, które wylał na powitanie, a gdy przerwał, by zaczerpnąć tchu, ja zacząłem mówić, wyrzucając z siebie słowa jak potrafiłem najszybciej, nie robiąc przerw, żeby on nie mógł się wstrześcić... Mogłem sobie na to pozwolić, bo znałem prof. Bartoszewskiego jeszcze z czasów, gdy przyjeżdżał do „Tygodnika Powszechnego”. Dlatego jakoś to zniósł. Ale jedna pani ambasador, kobieta delikatna, kończyła misję i chciała złożyć ministrowi sprawozdanie, przekazać swoje spostrzeżenia. Nie udało się jej. Przez godzinę spotkania mówił tylko minister, niekoniecznie na temat, nawet nie dopuścił jej do głosu.

Nie dane mi było z bliska obserwować pracy jako ministrów spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza, Daniela Rotfelda czy Radosława Sikorskiego. Ale wiem, że byli bardzo dobrymi ministrami, a polska dyplomacja pod ich kierunkiem osiągnęła wiele sukcesów.

Ministrowie spraw zagranicznych

z nowymi państwami powstającymi po rozpadzie ZSRR. A nie były to sprawy proste, z uwagi na postawy zarówno niektórych rządów nowych republik, jak i wewnętrznej, na szczęście wtedy jeszcze słabej, narodowej prawicy, domagającej się układania tych stosunków z pozycji siły lub co najmniej z pozycji polityki historycznej, choć to pojęcie jeszcze nie było w obiegu.

Do tego dochodziła potrzeba wprowadzenia istotnych zmian kadrowych w polskiej dyplomacji. Ludzi dobierał starannie, nie robił żadnych rewolucyjnych czystek, stawiał na kompetencję i uczciwość. Wszystkie te zadania, które przyszło mu wykonywać, wymagały ogromnej siły woli, wyczucia polskiej racji stanu, zdrowego rozsądku i przede wszystkim olbrzymiego taktu. A Krzysztof Skubiszewski miał siłę woli, dużo zdrowego rozsądku, dobre wyczucie polskiej racji stanu i wiele taktu. Miał więc wszystko to, co w dyplomacji najważniejsze. Co więcej, miał wsparcie prezydenta Wałęsy, który darzył go zaufaniem i do polityki zagranicznej mu się nie wtrącał. Miał też zaufanie kolejnych premierów.

Znakomitym ministrem był Andrzej Olechowski. Pod wieloma względami przeciwieństwo Skubiszewskiego. Inteligentny, błyskotliwy. Na tle sztywnego poprzednika prawie luzak. Obyty w świecie i dobrze rozumiejący współczesne realia, sprawny menedżer ministerstwa i polskiej polityki zagranicznej. O ile Skubiszewski każdą decyzję wazył godzinami, o tyle Olechowski potrafił ją podjąć błyskawicznie.

Władysław Bartoszewski – z nim mam problem. Człowiek instytucja, wielkiej mądrości i szlachetności, zasłużony jak mało kto, o pięknej przeszłości. Zasługiwał na najwyższe order i pomniki. Ale moim zdaniem na ministra się nie nadawał. Nie słuchał, tylko gadał, gadał... Wyrzucał z siebie słowa jak czynny wulkan lawę. Przyjechałem do niego z Wilna, by

Również wybitnym ministrem spraw zagranicznych był Bronisław Geremek. Podobnie jak Rotfeld cieszył się w świecie ogromnym autorytetem. Miał wielu znajomych wśród możnych tego świata. Wpływ na polską politykę zagraniczną miał już wcześniej, bo przez lata kierował sejmową Komisją Spraw Zagranicznych. Jego autorytet w tej dziedzinie był tak wielki, że mimo zmieniających się większości sejmowych on zawsze był wybierany na tę funkcję. Tak naprawdę to polityka zagraniczna była jego żywiołem. Myślę, że ze szkodą dla Polski ministrem spraw zagranicznych został za późno, a funkcję sprawował za krótko.

Stefana Mellera poznałem, gdy jako profesor historii przyszedł do MSZ na stanowisko wicedyrektora departamentu. Razem negocjowaliśmy traktat z Litwą. Później spotkałem go, gdy był ambasadorem w Paryżu, a ja przyleciałem z prezydentami Polski i Litwy do Giedroycia. Nie mogłem się nadziwić, że zgodził się zostać ministrem w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza. Rozmawialiśmy kiedyś na ten temat. Uważał, że polityka zagraniczna to zbyt ważna sprawa i trzeba w tym fatalnym rządzie (co do tego nie miał złudzeń) bronić jej przed oszołomstwem, jak długo się da. Ale – jak twierdził – wszystko ma swoje granice. Nie przekroczył ich. Podał się do dymisji w 2006 r.

W rankingu PRZEGLĄDU ministrowie Zbigniew Rau, Anna Fotyga czy Witold Waszczykowski zajmują ostatnie miejsca. To dla nich zbyt łaskawe. Oni są poza każdą klasyfikacją. A samo zestawienie ich nazwisk z takimi jak Olechowski, Skubiszewski czy Geremek wydaje się nieporozumieniem. Gdy Anna Fotyga była ministrem, myślałem, że gorzej już być nie może. Myliłem się. Po niej ministrem został Witold Waszczykowski.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Czy Ameryka może się rozpaść?

Aż 31% Amerykanów wierzy, że w ciągu najbliższych pięciu lat w USA wybuchnie wojna domowa

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Czy Ameryka może się rozpaść? Do niedawna taka hipoteza wydawała się niedorzeczna, jednak weszliśmy w czasy, których znakiem rozpoznawczym zaczynają być niedorzeczności wymykające się i rozsądkowi. Rośnie rzesza Amerykanów, którzy uważają, że podziały w narodzie przekroczyły temperaturę wrzenia, a pokojowy rozpad unii może być jedyną alternatywą dla bratobójczej wojny.

David French, najbardziej znany amerykański weteran, obecnie publicysta m.in. tygodników „Time”, „National Review” i konserwatywnej platformy informacyjnej The Dispatch, wie już nawet, jak ów rozpad będzie wyglądać oraz co wprawi secesyjne domino w ruch. Pół roku temu opublikował książkę „Divided We Fall” (Podzieleni upadamy) i właśnie tam podał dwa bardzo konkretne scenariusze. W obu kroplą przelewającą czarę goryczy staje się pojedyncza decyzja polityczna. W pierwszym przypadku feralny ruch wykonuje demokratycznie zarządzana Kalifornia. Po kolejnej tragicznej strzelaninie w szkole wprowadza całkowity zakaz posiadania broni przez osoby cywilne. Mobilizuje to entuzjastów drugiej poprawki do konstytucji z Teksasu i mamy powtórkę z historii: całe Południe proklamuje secesję.

W drugim scenariuszu klinem rozłupującym USA na części staje się zakaz aborcji przegłosowany w konserwatywnym Teksasie. Wówczas protestuje Zachodnie Wybrzeże i również decyduje się na secesję. French uzasadnia swoje czarnowidztwo słowami: „Znaleźliśmy się w punkcie, w którym nie istnieje żadna siła w wymiarze kulturowym, politycznym, religijnym czy społecznym, która pchałaby nas, Amerykanów, ku sobie. Te siły raczej nas dziś od siebie odpychają. Dlatego nie możemy dłużej zakładać, że demokracja o rozmiarze

całego kontynentu, tak niejednorodna etnicznie i religijnie, pozostanie zjednoczona na zawsze. Możemy wręcz być pewni, że nie pozostanie, jeśli nasza klasa polityczna nie adaptuje swojego światopoglądu i działań do potrzeb tej pogłębiającej się różnorodności w przestrzeni publicznej”.

French, jak większość ekspertów przestrzegających przed secesją, skłania się ku tezie, że w przeciwieństwie do sytuacji sprzed 150 lat dziś mielibyśmy do czynienia nie z jednym, ale z kilkoma „uskokami transformacyjnymi”, wzdłuż których Ameryka rozjechałaby się na części. Dość popularna jest teoria o wyłonieniu się na posecesyjnej mapie USA mniej więcej czterech nowych tworów o roboczych nazwach: Federacja Stanów Zachodnio-Środkowych, Federacja Stanów Północno-Środkowych, Demokracja Stanów Północnych oraz Republika Południowa Ameryki.

Tożsamość polityczna i kulturowa, nie regionalna

Niewykluczone jednak, że rozłam, który będzie dyktować tożsamość nie regionalna, ale polityczna i kulturowa, przybierze formę dużo bardziej skomplikowaną; składowe jednego państwa znajdują się wewnątrz drugiego. Z taką wizją wystąpił m.in. Sasha Issenberg w analizie dla „New York Magazine” przy okazji wyborów parlamentarnych przed dwoma laty. Bazując na ich wynikach, Issenberg podzielił USA na trzy federacje, z których każda zrzesza pokrewne sobie politycznie stany, a nazwę Stany Zjednoczone Ameryki zmienił na Postępowe Federacje Ameryki (PFA). Otrzymaliśmy więc: Federację Niebieską – z głównymi przyczółkami na obu wybrzeżach oraz wyspami pośrodku w postaci Kolorado, Nowego Meksyku i Illinois, Federację Czerwoną obejmującą Pas Biblijny (stany środkowe, południowe i południowo-wschodnie) oraz Federację Neutralną – najbardziej rozproszoną, tworzoną przez

zlepek stanów na środkowej północy oraz Florydę, Nevadę, Ohio i Pensylanię. W wizji Issenberga federacje prowadzą życie niezależnych państw z wyjątkiem polityki monetarnej, militarnej, zagranicznej i sądowniczej, którą wciąż zawiaduje w ich imieniu bardzo osłabiony (i przeniesiony na uniwersytecki kampus na południu PFA) Waszyngton. Issenberg zapędza się aż do lat 40. naszego wieku, niestety, nie widzi dobrego zakończenia dla federacyjnego eksperymentu. „Tak jak Brytyjczykom nam też o wiele łatwiej wyobrażać sobie rozpad USA, niż wymyślić, jak mielibyśmy po nim efektywnie funkcjonować. (...) Europa przekonuje się na własnej skórze, że wspólna waluta wymaga wspólnej ekonomii, a brak wewnętrznych granic – konsensusu w kwestii, jak ma wyglądać granica zewnętrzna. Lepiej dla Ameryki, by uczyła się tych lekcji z fantazji niż z doświadczenia”.

Czy secesja jest możliwa?

Wróćmy jednak do zasadniczego pytania: czy zagrożenie secesją rzeczywiście jest aż tak wysokie? W lutym tego roku ośrodek badawczy Bright Line Watch skupiający akademików z całego kraju doniósł, że rozpad Ameryki popiera 29% obywateli. Więcej jego zwolenników jest wśród republikanów (33%) niż demokratów (21%), co jednak interesujące, by nie rzec alarmujące, wśród republikanów w stanach dawnego Południa popołu z Oklahomą i Kentucky poparcie dla secesji skacze aż do 50%. Z kolei badania przeprowadzone przez firmę sondażową Rasmussen Reports w czerwcu 2020 r. wykazały, że aż 31% Amerykanów wierzy, iż w ciągu najbliższych pięciu lat w USA wybuchnie nowa wojna domowa.

Temat secesji coraz chętniej podejmowany jest przez polityków, zwłaszcza od przegranej Trumpa w wyborach prezydenckich. Kyle Biedermann, polityk z hrabstwa Fredericksburg w Teksasie, przedłożył



W rolniczym Teksasie są silne tendencje do uniezależnienia się od Waszyngtonu.

w styczniu w stanowej legislaturze projekt referendum na najbliższe (maj 2021 r.) wybory, w którym Teksasczycy mieliby określić swoje poparcie dla secesji. Mimo nacisków Waszyngtonu gubernator Teksasu Greg Abbott odmawia odrzucenia wniosku o głosowanie nad tą ustawą. Warto zauważyć, że jest to pierwsza ustawa na temat secesji od czasów wojny secesyjnej w XIX w.

Szef Partii Republikańskiej w Teksasie Allen West nawołuje republikańskie stany do stworzenia nowej unii. Nazywa ją roboczo „unią stanów stosujących się do prawa” – w nawiązaniu do wciąż forsowanej przez konserwatystów tezy, że zgodnie z prawem to Trump wygrał wybory. Lider paramilitarnej, nacjonalistycznej grupy Georgia III% Martyrs ogłosił zaś, że wraz z najsympatyczniejszą obecnie republikańską kongresmanką Marjorie Taylor Greene przygotowuje wniosek o secesję dla stanu Georgia. O secesji Teksasu i jej skutkach dla innych stanów z entuzjazmem wypowiada się także szef Grand Old Party z Wyomingu Frank Eathorne.

Wreszcie nie można nie wspomnieć o prosecesyjnych sympatiach Rusha Limbaugha, zmarłego niedawno symbolu amerykańskiego konserwatyzmu i jego najjaśniejszej radiowej gwiazdy. Limbaugh słuchało codziennie ponad 15 mln fanów. Na początku grudnia, na fali rozgoryczenia po wyborach, Limbaugh oświadczył na antenie: „Mkniemy w kierunku

secesji. Widzę wokół coraz więcej ludzi zadających sobie pytanie, co, na Boga, mamy wspólnego z towarzystwem mieszkającym, powiedzmy, w Nowym Jorku. Pokojowe współistnienie dwóch kompletnie rozbieżnych teorii na temat życia, rządu i polityki jest niemożliwe!”.

Drugie zasadnicze pytanie brzmi: czy secesja jest możliwa? Szybka odpowiedź brzmi: nie. Wojna secesyjna nie tylko przemeblowała Amerykę społecznie i ekonomicznie,

ojcowie założyciele naszego kraju od początku mieli na myśli stworzenie unii nierozdzielnej”. Wreszcie wątpliwości rozwiązał sam Sąd Najwyższy. W 2006 r. reżyser Daniel Turkewitz kręcił film o proklamowaniu przez stan Maine niepodległości i zapytał SN, czy istnieją podstawy prawne, by coś takiego mogło się wydarzyć na prawdę. Film Turkewitza był z gatunku *fantasy*, lecz słowa sędziego Antonina Scalii odwoływały się do rzeczywistości. „Odpowiedź jest oczywista

Rozpad USA popiera niemal jedna trzecia Amerykanów.

ale również zmusiła rząd do zajęcia jednoznacznego stanowiska wobec wszystkich ewentualnych przyszłych prób odrywania się stanów od macierzy. W 1869 r. w orzeczeniu w sprawie Teksas kontra White Sąd Najwyższy zaopiniował, że stany nie mogą samodzielnie opuszczać Unii, a „uchwały rebelianckiej legislatury w Teksasie”, nawet jeśli poparte przez większość mieszkańców stanu, są absolutnie bezprawne.

Znany amerykański historyk Forrest McDonald zagadnieniu praw stanów na tle praw federalnych poświęcił m.in. wydaną w 2000 r. monografię „States' Rights and the Union: Imperium in Imperio, 1776-1876” (Prawa stanów a unia: rządy w rządzie, 1776-1876). Oświadczył w niej: „Nie ma wątpliwości, że

– napisał do reżysera Scalia. – Jeśli możemy wskazać jeden spór konstytucyjny, któremu wojna secesyjna położyła kres, to jest nim brak prawa do secesji. Stąd w naszym ślubowaniu wierności słowa: »jeden naród, nierozdzielny«”.

Celowe przeoczenie ojców założycieli

Jest jednak i druga odpowiedź. We wspomnianym orzeczeniu sądowym z 1869 r. znalazł się bowiem zapis, że o ile występowanie z unii bez zgody reszty kraju jest nielegalne i niedopuszczalne, o tyle mogłoby się wydarzyć za zgodą owej reszty. „Mówimy o procesie, który rozpoczyna się od pertraktacji władz stanowych z Kongresem odnośnie do warunków

► secesji satysfakcjonujących wszystkie strony, następnie jest zgoda na secesję wydana przez obie izby Kongresu, a wreszcie jej ratyfikacja przez trzy czwarte stanowych legislatur. Innymi słowy, to cel wyjątkowo trudny do osiągnięcia”, wyjaśnia Richard Dahl z organizacji FindLaw.com zajmującej się dostarczaniem wiedzy i pośrednictwem w obrębie branży prawnej.

David French, tym razem rozprawiając o secesji w podcaście „New York Timesa”, dorzuca, że secesja mogłaby być skutkiem rewolucji: „Do secesji mogłoby dojść, gdyby niepokojące społeczne osiągnęły tak wysoki poziom, że Waszyngton i reszta stanów wydałyby na nią zgodę choćby tylko po to, by zminimalizować rozmiar szkód i zniszczeń”.

Czy zatem brak w konstytucji jasnego zapisu na temat secesji to tylko przeoczenie, czy coś więcej? Odpowiedź może zaskoczyć. Zachowane dokumenty skłaniają ku refleksji, że „przeoczenie” jest jednak celowe. Architekci amerykańskiego państwa świetnie zdawali sobie sprawę z kruchości bytu, jaki powoływali do życia,

z północnych rubieży Nowego Jorku, którym ekonomicznie i kulturowo bliżej było do brytyjskiego wówczas Quebecu niż do Waszyngtonu. Nowe państwo przyjęło nazwę Republika Vermontu, a o tym, jak bardzo zależło nowemu amerykańskiemu rządowi za skórę, niech świadczy fakt, że choć szybko wycofało się ze swojej niepodległości, to na oficjalną ratyfikację członkostwa w unii musiało za karę poczekać aż do roku 1791.

Mit narodowej zgody i harmonii

W 1812 r. Ameryka przystąpiła do wojny z Wielką Brytanią. W tym samym czasie stany regionu Nowa Anglia (Maine, Vermont, New Hampshire, Massachusetts, Connecticut i Rhode Island) przystąpiły do montowania paktu secesyjnego na specjalnie w tym celu zwołanej konwencji w Hartford. Nowa Anglia była pomysłem wojny oburzona, bo embargo na handel z Europą nałożone najpierw przez Jeffersona, a potem jego następcę Madisona uderzało w jej interesy. Południe zaś parło do wojny

bronią w Charleston 25 tys. stanowego wojska, a wyposażyły je w nowiutką, specjalnie kupioną za oszałamiającą kwotę 100 tys. dol. broń. Impas zakończył się kompromisem. Obie strony poszły na ustępstwa, a ustawę o taryfach zmodyfikowano. Nie powstrzymało to jednak stanu przed próbą kolejnej secesji ledwie kilkanaście lat później. Po wygranej wojnie z Meksykiem (1846-1848) Ameryka przejęła ogromną połąć kontynentu, obejmującą dziś Kalifornię, Nevadę, Utah, Arizone, Nowy Meksyk, Kolorado i Wyoming. Proabolicyjna Północ z miejsca zaapelowała w Kongresie, by nowe terytoria były wolne od niewolnictwa. Karolina Południowa, w tym czasie bawełniany potentat kraju, zgodzić się na to nie zamierzała. Projekt secesji upadł, dopiero gdy w 1851 r. frakcja stanowych secesjonistów przegrała w wyborach parlamentarnych z koalicją tzw. kooperantów. Temat secesji i abolicji upadł, ale tylko na 10 lat.

Zarówno alarmiści przepowiadający nieuchronność rozpadu USA, jak i optymiści przekonani, że do niego nie dojdzie, zgadzają się w jednym. Od uczniów w szkole po polityków na Kapitolu wszyscy skorzystaliby na uczciwej konfrontacji z faktem, że w zasadzie nie było w amerykańskiej historii czasów bez monumentalnej rozbieżności interesów stanów, klas, frakcji politycznych i ideologicznych, o czynniku rasowym i etnicznym nie wspominając. Nie tylko jednak o wiedzę tu chodzi, ale i o ważną lekcję. Doskonale to ujął Eric Herschthal, historyk z Uniwersytetu Utah specjalizujący się w tematyce Południa i niewolnictwa: „Nie zrozumiemy w pełni natury dzielących nas obecnie przepaści, jeśli nie przestaniemy sobie wmawiać, że były czasy, gdy żyliśmy w tym kraju w zgodzie i harmonii. Nigdy tak nie było”.

Konfrontacja z trudną przeszłością wymaga nie tyle odwagi, ile pokory. Amerykanie pokory wciąż nie znoszą, kochają za to swój wizerunek nieomylnych strażników światowego pokoju i dobrobytu. Na razie nie widać, by palili się do rachunku sumienia, a tym samym sprzątania własnego podwórka. Nie zdziwmy się więc, jeśli najbliższa przyszłość przyniesie nam więcej nedorzecznosci, niż myśleliśmy, że to możliwe.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Dość popularna jest teoria o podziale USA na cztery nowe części.

i nie mieli dobrego pomysłu, co z tym zrobić. Postawili więc na sprawczą moc wiary, że państwowotwórczy eksperyment odpowiednio pielęgnowany i rozwijany po prostu się uda.

Jedną z form pielęgnacji tego eksperymentu już od początku był specyficzny przekaz o Ameryce, jaki płynął w świat, a przy okazji genialna wprost metoda budowania narodowej tożsamości. Nie bez powodu historia pierwszego stulecia Ameryki w formie, w jakiej do dziś funkcjonuje w narodzie (i na świecie!), koncentruje się na preriowym życiu, terytorialnej ekspansji kraju na zachód oraz barwnych walkach kowbojów z Apaczami. I kompletnie przemilcza to, jak wtedy wyglądały relacje między tworzącymi ten „szczęściostan” stanami. Owe relacje zaś były tragiczne, a secesja konfederatów w 1861 r. wcale nie była tak bezprecedensowa, jak się ją powszechnie opisuje.

Do pierwszej secesji doszło bowiem już w roku 1777 – ledwie kilka miesięcy po podpisaniu Deklaracji niepodległości. Dokonali jej koloniści

jak szalone. Osłabienie Wielkiej Brytanii dawało bawełnianej arystokracji szansę na umocnienie pozycji na rynku handlu niewolnikami, a sama wojna, z racji wprowadzenia stanu wyjątkowego – więcej wolności, by realizować własną politykę terytorialną. Innymi słowy, nie pytać Waszyngtonu o zgodę na przesuwanie granic unii dalej na zachód kosztem krzywdy rdzennej ludności kontynentu. „Fakt, że Ameryka nie rozpadła się wtedy na części, jest naprawdę szokujący”, uważa historyk Richard Kreitner, autor kolejnej wydanej niedawno książki o secesji „Break It Up: Secession, Division, and the Secret History of America's Imperfect Union” (Rozsypka: Secesja, Podziały i Sekretne Historia Niedoskonałej Unii).

Następna w kolejce do secesji była Karolina Południowa w roku 1832. Konwencję anulacyjną zorganizowano tam w odpowiedzi na nowe przepisy o wyższych taryfach eksportowych, którymi Waszyngton chciał łątać dziury po kosztownej wojnie z Anglią. Władze stanu postawiły pod

Birma: junta i wielka polityka

Szef armii gen. Min Aung Hlaing miał do wyboru – albo iść na emeryturę, albo zrobić zamach. Wybrał to drugie

Rozmawia
Robert Walenciak

Na naszych oczach załamał się eksperyment płynnego przejścia od dyktatury wojskowej do demokracji, myślę o Birmie, oficjalnie nazywanej Republiką Związku Mjanmy. I cóż, Birma znów zapadnie się w czarną dziurę?

– Wiele niestety na to wskazuje. Rozmawiamy ponad półtora miesiąca po wojskowym zamachu stanu i jest już ok. 250 ofiar śmiertelnych. Nie będę prorokiem, kiedy powiem, że to nie koniec. Aresztowani są dziennikarze, szykuje się proces Aung San Suu Kyi, a junta wsadzi ją do więzienia. Wojsko strzela otwarcie do demonstrantów, głównie do młodzieży. Żle to wygląda. Ta junta zachowuje się dokładnie jak trzy poprzednie. Tylko brutalna, naga siła i absolutnie nic innego się nie liczy. A jeśli już, to jeszcze liczy się pieniądz. Bo wojsko pozamykało banki i pozajmowało konta różnych organizacji, w tym Open Society, fundacji George’a Sorosa.

Patrząc na region, można się pokusić o tezę, że dyktatury wojskowe nie są tam przeszkodą w rozwoju ekonomicznym.

– Ale w Birmie były. Pierwsza dyktatura gen. Ne Wina, po roku 1962, połączyła dżumę z cholerą. Ogłosiła i realizowała coś, co nazywało się birmańską drogą do socjalizmu. I była ona na tyle skuteczna, że w roku 1987 ONZ zaliczyła Birmę do kategorii państw najmniej rozwiniętych. I ona ciągle tam tkwi.

W latach 80. wojskowi spostrzegli się, że to droga do upadku.

– Ma pan przed sobą jedyne go Polaka, który rozmawiał z przywódcą drugiej junty, gen. Than Shwe, zwanym „starszym generałem”. Gdy jako ambasador w roku 2004 składałem



PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
– politolog, sinolog

listy uwierzytelniające, zapytałem go, jak widzi przyszłość, skoro sąsiednie Chiny i Tajlandia gospodarczo szybko pną się w górę, a jego kraj jest tej dynamiki pozbawiony. Myślałem, że nie odpowie. Ale stwierdził, że „kraj już odszedł od socjalizmu” i „będzie czerpał to, co najlepsze, od sąsiadów”, więc „dobrobyt i postęp stopniowo dotrą i do nas”.

Trzy resorty siłowe dla wojska

Historia pokazała, że był z panem szczery.

– Rzeczywiście, junta przygotowała własną konstytucję, na jej mocy przeprowadziła wybory, które jeszcze wówczas Narodowa Liga na rzecz Demokracji pani Aung San Suu Kyi zbotkowała, bo noblistka siedziała nadal w areszcie domowym. Ale parę dni po zakończeniu wyborów wypuszczono ją, to był listopad 2010 r., a w marcu roku następnego nowy prezydent z nadania junty, który był wcześniej premierem, Thein Sein, ogłosił, że będą reformy. Nikt mu nie wierzył, ale kiedy

pół roku później, w sierpniu, zaprosił do swojej rezydencji Aung San Suu Kyi i rozmawiali dwie godziny, na dodatek przed portretem jej ojca, gen. Aung Sana, wszyscy już wiedzieli, że zaczyna się nowy etap. Tak naprawdę rozpoczął się 1 kwietnia 2012 r., kiedy zorganizowano wybory uzupełniające do parlamentu i Narodowa Liga na rzecz Demokracji wygrała 43 z 45 mandatów. W lipcu tegoż 2012 r. ku wielkiej uciechu zachodnich mediów i światowej społeczności Aung San Suu Kyi stała się parlamentarzystką, a w roku 2015 wygrała wybory. Od tamtej pory można mówić, że w Birmie nastąpiła

pseudodemokracja.

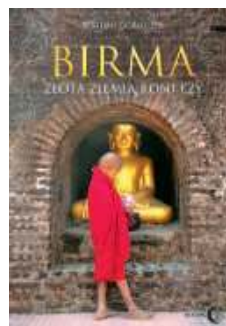
Dlaczego pseudo?

– Bo to było oparte na bardzo zgryzonym kompromisie. Po pierwsze, gdy junta przygotowywała konstytucję, zagwarantowała sobie 25% miejsc dla mundurowych. I zapisała, że to wystarczy, by zablokować możliwość zmian w konstytucji. Czyli nic nie można bez zgody wojskowych zrobić. Po drugie, zagwarantowała sobie trzy resorty siłowe, czyli armię, sprawy wewnętrzne i kluczowe dla tego specyficznego tworu, bo wieloetnicznego, wielonarodowego, tzw. sprawy graniczne, ponieważ tam najwięcej było rewolt. Czyli pani Aung San Suu Kyi wygrała wybory, zdobyła władzę, ale resortów siłowych nie miała. I trzeci zapis konstytucji,

dokonany wyraźnie pod nią – że najwyższego stanowiska w państwie, czyli prezydenta, nie może objąć osoba, która ma obywatelstwo w rodzinie.

A ona ma.

– Mąż był Brytyjczykiem, zmarł w 1999 r., a jej obaj synowie są poza granicami kraju. Tę konstytucję Aung San Suu Kyi



► zaakceptowała. I to był ten zgniły kompromis. Choć trzeba przyznać, że noblistka okazała się bardzo sprawną taktycznie, bo utworzyła dla siebie nowe stanowisko – radczyni stanu. I z tej pozycji rządziła administracją, a nawet prezydentem, którego wskazała i nominowała. Tak zaczęły się rządy cywilne, przyszły kapitały i kraj zaczął się zmieniać. Wyrosło nowe pokolenie, zobaczyło internet, bo kraj był poprzednio całkowicie izolowany. Po kolejnych wyborach, tych w listopadzie 2020 r., w których partia Aung San Suu Kyi zdobyła ponad 80% głosów, zdecydowała się zagrać z armią *va banque*. I przegrała.

Dlaczego zagrała *va banque*?

– To już są moje spekulacje: ze względu na wyborczy wynik oraz ze względu na wiek. Ma 75 lat. Na co miała czekać?

Armia zdmuchnęła ją błyskawicznie. Mało kto ją poparł.

– Ależ poparło ją całe społeczeństwo i za nią ginie. Poparły ją mniejszości. Birma ma jeden rekord świata, chyba nie do pobicia – najdłuższą partyzantkę, która trwała od 1948 r., kiedy Birma odzyskała niepodległość, aż po rok 2011. Ale ciągle tam są jeszcze armie etniczne. Jedna z nich to armia Kaczynów. Działa na północy kraju, przy granicy

Aung San Suu Kyi okazała się bardzo sprawną taktycznie, bo utworzyła dla siebie stanowisko radczyni stanu.

z Chinami. Ona otwarcie opowiedziała się, już po zamachu 1 lutego 2021 r., po stronie Aung San Suu Kyi i wezwała swoich ludzi do broni.

Strachy Min Aung Hlainga

Ale armia okazała się lojalna wobec swoich generałów.

– Aung San Suu Kyi popełniła kilka błędów. Po pierwsze, straciła wizerunek w świecie. Była przecież ikoną walki o prawa człowieka, wymienianą jednym tchem razem z Desmondem Tutu, Nelsonem Mandelą czy Dalajlamą. A posłała na zgniły kompromis z juntą, która ją więziła przez 15 lat.

Żeby rządzić.

– I w trakcie tych rządów broniła generałów w Hadze. Nic nie zrobiła, gdy junta wypędziła ponad milionową mniejszość muzułmańską Rohingya. To całkowicie zmieniło jej wizerunek



Birmańscy migranci w Tajlandii protestowali przeciw zamachowi stanu w ich kraju. 22 lutego 2021 r.

w świecie. Drugi błąd, jaki popełniła, był taki, że nie uwłaszczyła swojej partii. Chociaż teraz sformułowane wobec niej zarzuty są przede wszystkim korupcyjne... A armia się uwłaszczyła i wiedziała, że gdyby Aung San Suu Kyi przejęła prawdziwą władzę, to pogoniłaby ich w skarpetkach, generałowie straciliby wszystko, czego się dorobili. Jest o co walczyć? Chyba jest! Gen. Min Aung Hlaing, szef

armii i szef junty, rządził armią od 2011 r. Teraz kończyła mu się druga, pięcioletnia kadencja, powinien iść na emeryturę. Miał więc do wyboru – albo iść na emeryturę, albo zrobić zamach. Wybrał to drugie.

Ze strachu?

– Gdyby na emeryturę odszedł Min Aung Hlaing, to w ślad za nim poszliby inni generałowie. Oni wszyscy wiedzieli, że wtedy nowe władze mogłyby ich ciągać po sądach i odbierać to, co zgromadzili. Myśleli zatem, co będzie z nimi, jeśli Aung San Suu Kyi przejmie całą władzę. Na tym to polegali. Dlaczego tym razem armia i Aung San Suu Kyi się nie dogadali? Tego dziś nie wiemy.

A armia nie pękła? Młodzi oficerowie mogliby wystąpić przeciwko starszym, żeby zająć ich miejsce.

– Aung San Suu Kyi – to kolejny jej błąd – dowierzała tylko swoim.

Jej ministrem finansów była 82-letnia osoba, a średnia wieku jej gabinetu wynosiła 77 lat. Czyli ona nie odpowiadała już wyzwaniom współczesności, ale na innych się nie otworzyła. A młodzież była do wzięcia. Co dzisiaj pokazuje własnym zachowaniem, a nawet własną krwią.

Jakie są przekonania w wojsku? Pan rozmawiał z szefem drugiej dyktatury, gen. Than Shwe, który mówił: weźmiemy trochę z socjalizmu, trochę z kapitalizmem.

– To było po rozpadzie Związku Radzieckiego, po reformach Deng Xiaopinga, więc już o socjalizmie nie było mowy. Raczej szukano okazji do jak największego dorobienia się, korzystania z wszelkich możliwości, żeby się uwłaszczyć. I to się udało.

Czy wojsko uważa się za czwartą dynastię?

– Zdecydowanie tak! W Naypyidaw (czyli literalnie Siedzibie Królów), tam gdzie od 2005 r. jest nowa stolica i gdzie urzędują władze, na głównym placu, pięciokrotnie większym niż plac Defilad w Warszawie, postawiono trzy pomniki, wodzów trzech największych dynastii. I armia zdecydowanie mówi, że jest tą kolejną dynastią. Szczególnie że odwołuje się do ojca pani Aung San Suu Kyi, gen. Aung Sana, jako swojego założyciela. Czyli jak najbardziej armia poczuwa się do tego, że jest skazana na rządzenie.

I więzi córkę swojego założyciela.

– Więziła długo, a teraz jeszcze raz uwięzi. Bo moim zdaniem skażą ją

na długi wyrok. Ale spójrzmy też inaczej: gdyby nie była córką sławnego generała, czy w ogóle by przeżyła, a teraz miała szansę na wspierające ją protesty?

Jest tylko nacjonalizm

Co jest podbudową ideologiczną armii? Już nie socjalizm, więc nacjonalizm?

– Zdecydowanie nacjonalizm. Temu służyło wygnanie Rohingya. Oni są oliwkowej skóry, to muzułmanie, a nie buddyści. Poza tym to narodowość pochodzenia bengalskiego, a w trakcie kolonialnych rządów Angliki zarządzali Birmą z Kalkuty. **W stolicy kraju, Rangunie, większość mieszkańców stanowili hindusi.**

– I byli nienawidzeni. Teraz więc wokół Rohingya budowano nacjonalizm. I jest jeszcze jedna rzecz, bardzo istotna, która Birmę różni od wszystkich innych organizmów na świecie. Po dekadach dyktatury funkcjonowały tam tylko dwie instytucje. Jedną była armia, drugą hierarchia buddyjska, Sangha, która też poszła narodową drogą. Jednym słowem, tam nie było alternatyw! One dopiero teraz zaczęły się pojawiać, w tej odwilży, bo świadomie nie mówię: w demokracji. To było związane z obcym kapitałem, z napływem masowej turystyki, której wcześniej nie było, a kraj był skutecznie zamknięty. Choć nie doszło jeszcze do masowych wyjazdów, bo społeczeństwo było za biedne, a junta z sobie znanych względów raczej swoich dzieci za granicę na studia nie wysyłała. Niemniej jednak najważniejsza rewolucja się dokonała – uczniowie wrócili do szkół, studenci na studia, otwarto internet. W ten sposób otwarto okno na świat. Dzisiaj ten internet został zamknięty, próbowałem się skontaktować z paroma znajomymi w Birmie, bez skutku. Połączenia z zewnątrz nie ma. Ale oni nauczyli się już wiele i zdjęcia z puczu, z demonstracji, brutalne, poruszające, robione smartfonami, do nas docierają.

Czy junta ma jakiś plan?

– Poprzednia po 2011 r. pod wodzą prezydenta Thein Seina miała. W czasie administracji Aung San Suu Kyi od 2016 r. był szybki rozwój i do Birmy wracali na wielką skalę Chińczycy. W mojej książce „Birma. Złota ziemia roni łzy” piszę, jak

do Birmy przyjechał Xi Jinping, tuż przed pandemią, i jakie wizje rozłożył: budowy autostrad i wielkich stref przemysłowych. Już wcześniej Chińczycy poprowadzili przez Birmę ropociąg i naftociąg, z Zatoki Bengalskiej do prowincji Yunnan. Skraca to im o kilka tysięcy kilometrów dostawy ropy i gazu z Bliskiego Wschodu i z Iranu. W Birmie Chiny są zaangażowane. Nic dziwnego, że niedawno, w jednym dniu, zapłonęło kilkanaście, a niektórzy mówią, że kilkadziesiąt, obiektów należących do Chińczyków i do chińskiego kapitału. Chińczycy natychmiast zareagowali, że trzeba to uspokoić, że tak być nie może. Poza Chinami zainteresowane sytuacją w Birmie mogą być Indie

Armia się uwłaszczyła i wiedziała, że gdyby Aung San Suu Kyi przejęła prawdziwą władzę, pogoniłaby generałów w skarpetkach, straciliby wszystko, czego się dorobili.

i Rada Bezpieczeństwa ONZ. Ale tam Rosja i Chiny nie dopuszczają, żeby Zachód dyktował warunki.

Zachód, czyli USA.

– Trudno dzisiaj mówić o Wielkiej Brytanii czy Francji jako wielkich mocarstwach.

Niezbędny element

Czy Ameryka ma pomysł na Birmę?

– Ma! Birma jest ważna. A dlatego ważna, że Ameryka ma w tej chwili kłopot z Chinami, co zobaczyliśmy przed chwilą na Alasce, podczas konferencji USA-ChRL. Chiny po raz pierwszy z otwartą przyłbicą postawiły się Stanom Zjednoczonym. Były szef dyplomacji, doradca Xi Jinpinga ds. polityki zagranicznej, członek Biura Politycznego KPCh, Yang Jiechi, w 16-minutowej tyradzie powiedział: my nie jesteśmy w takim położeniu, żeby Ameryka nam dyktowała swoje warunki. Takiego *dictum* nikt jeszcze publicznie nie słyszał. I mamy nową jakość. Ameryka ma już świadomość, jak wielkim wyzwaniem są dla niej Chiny. Zaczęła więc budować dwa sojusze. Jeden to Quad – Ameryka, Japonia, Australia, Indie.

Quad od kwadrygi.

– Proszę zwrócić uwagę, że pierwszą konferencją międzynarodową, w której uczestniczył prezydent Joe Biden, było spotkanie na szczycie

Quad. Zdalne, ale zawsze. Proszę zwrócić uwagę, gdzie pojechali w pierwsze zagraniczne podróże trzej najważniejsi, poza Bidenem, politycy USA, czyli sekretarz stanu, sekretarz obrony i doradca ds. bezpieczeństwa narodowego. Do Japonii i Korei. Potem sekretarz stanu i sekretarz ds. bezpieczeństwa – na Alaskę. A gdzie szef Pentagonu? Do Indii, żeby negocjować dostawy sprzętu wojskowego. I mamy Quad, który, jak przewiduję, może być załącznikiem odpowiednika NATO na Pacyfiku. A mamy jeszcze drugą koncepcję, luźniejszą, tzw. Indo-Pacyfiku, czyli sznura koralu wokół terytorium Chin. Birma jest w tej układance bardzo ważna. Wystarczy spojrzeć na mapę.

Bez niej ów sznur koralu będzie dziurawy. Poprzez Birmę Chiny wychodzą na Ocean Indyjski.

– Birma wypływa jako jeden z najważniejszych elementów tego, co się dzieje w relacjach dwóch największych mocarstw świata, czyli USA i Chin.

Zaczęliśmy od tego, że gen. Min Aung Hlaing bał się, że pójdzie na emeryturę, a okazało się, że ma to znaczenie dla świata i rywalizacji Chin z USA!

– Ma, jak najbardziej. Birma jest geopolitycznie ważna. Zwłaszcza z racji tego, co się dzieje w relacjach Pekin-Waszyngton. Tym bardziej więc należy obserwować, co tam się dzieje.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Beata Dżon-Ozimek

Minął rok z covidem. Miasta opustoszały, utraciły blask, swój stały rytm. Kiedyś przeglądające się w twarzach zachwyconych turystów jak w lustrach, dziś poszukują nowej tożsamości, nowych sił vitalnych. Wiedeń jest jednym z nich.

Ewa Steinhardt, kulturoznawczyni, wiedenka polskiego pochodzenia, autorka m.in. miesięcznika „Polonika”, wspomina rok z covidem: – Najpierw było przerażenie, puste ulice, cisza i strach. Spacerowały się odkryciem miasta cesarza i architektury, jakby wcześniej było to mało istotne, niezauważone. Miasto było przez turystów zadeptane, zakrzyczone i nagle stoi w całej swojej doskonałości, piękne. Natomiast wszystko, do czego rozpieszczony, dosyć bogaty wiedeńczyk był przyzwyczajony – znikło. Wieczory w winiarniach, kolacje przy świecach i muzyce, popołudniowe kawy, wyjścia na „małe co nieco”, późne powroty do domu, przyjacielskie gadu-gadu. Pustka.

Ewie brakowało tego wszystkiego, pomimo rodziny i przyjaciół czuła się osamotniona: – Tak, osamotniona, gdyż towarzyszymi mojego życia byli i są nie tylko ludzie, ale też sztuka, teatr, muzea, muzyka i natura innych krajów. Podobnie czuła większość znajomych.

Na pogrzebach najwięcej gości

Przez miniony rok w Austrii potwierdzono prawie 514 tys. osób zakażonych wirusem. Ponad 1,3 mln spośród 8,9 mln Austriaków jest już zaszczepionych. Aktualnie przeszło 51 tys. osób jest leczonych, z czego ponad 2 tys. w szpitalach (stan na 29 marca). Najwięcej chorych stwierdzono w Wiedniu, przeszło 18 tys. osób, najmniej w Burgenlandzie graniczącym z Węgrami, jednym z trzech najmniejszych landów – nieco ponad 1,7 tys. osób.

Austriacy muszą się trzymać obustronnie nałożonych przez rząd centralny, ewentualnie dodatkowo przez lokalne rządy krajów związkowych. Ograniczenia dotyczą poruszania się w godzinach od 20 do 6 rano w celach niezwiązanych z pracą czy zdarzeniami losowymi, zdrowiem.



Salami restauracyjnymi stały się ulice i dziedzińce kamienic, a stolami – fontanny, pomniki, murki.

Wiedeńskie zmagania z pandemią

Wszystko, do czego rozpieszczony, dosyć bogaty wiedeńczyk był przyzwyczajony – znikło

Natomiast od 6 rano do 20 mogą się spotykać członkowie najwyżej dwóch gospodarstw domowych, nie więcej niż cztery osoby dorosłe i sześcioro dzieci z tych rodzin.

W przestrzeni publicznej obowiązuje maska FFP2, odległość 2 m dla osób niemieszkających razem; w razie łamania tych zasad grozi mandat 90 euro. Policja dostała zielone światło do ostrzejszego pilnowania odległości i masek podczas demonstracji, których w Wiedniu zawsze odbywało się sporo. W sklepach jeden klient przypada na 20 m kw. powierzchni; podobnie w muzeach, bibliotekach, ogrodach zoologicznych.

Nie od razu zostaniemy przyjęci do fryzjera czy kosmetyczki, usług „blisko ciała” – tu obowiązują testy. W Wiedniu są punkty ulicznych testów, gdzie można sprawnie i bezpłatnie sprawdzić stan zdrowia.

Nie wolno organizować wesel, urodzin ani innych ceremonii; ślubów cywilnych z sześciorgiem gości, ewentualnie jeszcze z tłumaczem, z własną muzyką z telefonu lub

odtwarzacza. Maseczki może zdjąć młoda para jedynie do pocałunku. Pogrzeby można zaś organizować dla 50 osób; przecież pogrzeb musi być piękny! Do przebywających w placówkach opiekuńczych może przyjść jeden gość tygodniowo, do szpitala – jeden dziennie.

Nikt mnie nie potrzebuje

Opery, teatry są zamknięte. Na ulicach nikt nie śpiewa. Dużą popularnością cieszą się natomiast wiedeńskie parki; gdzieś trzeba się wybiegać, spotkać. – Rok temu w marcu broniłem dyplomu na akademii muzycznej i pragnąłem po siedmiu latach studiów zacząć życie zawodowe jako śpiewak operowy. Niestety, nie ruszyłem ani o krok do przodu. Koronawirus pokrzyżował plany wielu młodym artystom, ale nie tylko nam, chyba wszystkim. W wakacje i jesienią zaśpiewałem kilka koncertów z ograniczoną publicznością, zgodnie z zasadami bezpieczeństwa. Potem wszystko zamarło, opera wiedeńska

i inne instytucje, tak jest do dziś. To dla mnie czas wewnętrznej walki, czy to, co robię, ma sens i czy będzie społeczeństwu potrzebne w czasie po pandemii – zwierza się młody śpiewak, Jakub Łęczycki.

Codziennie śpiewa, by nie stracić formy, uczy się angielskiego online, wysyła zgłoszenia, uprawia sport, żeby nie zwariować. – Bardzo pragnę powrotu do normalności, do udziału w produkcji operowej, do spotkań z przyjaciółmi na piwie przy Donaukanal. Chcę poczuć na nowo wigor mojej młodości, która w ostatnim czasie kompletnie przygasła – Jakub to inny człowiek niż przed rokiem. – Na murach opery wyświetla się neonowy napis: „cicho/niemo”. Na szczęście muzea są otwarte, ruszyły nowe wystawy. Widać, jak wielu ludzi sięga po kulturę, od łoża ubranych studentów po dziadków z wnukami. To wspaniałe – ożywia się artysta.

Nie żyję od roku

Uniwersytet Zasobów Naturalnych i Nauk Przyrodniczych w Wiedniu, Katedra Biotechnologii. Mikrobiolog i organizator wydarzeń kulturalnych prof. Gorji Marzban pochodzi z Iranu. Rozmawiamy online. – Wszystko zaczęło się w czwartek. Jeden z profesorów stanął w progu mojego gabinetu: „Co tu robisz? Lepiej idź do domu”. W piątek jak co dzień przyszedłem do pracy. Budynek był pusty. Brak światła, brak wind, recepcji. To było straszne. Nikogo. W sklepie nie było papieru toaletowego, chleba, mąki, wszystkie konserwy, cukier, mięso i ryż zniknęły. Nie potrzebowałem wiele, dostałem trochę owoców i trochę chleba, jajka były nie do kupienia – wylicza Gorji. Poinformowano go o wirusie i jako mikrobiolog mógł mieć obraz sytuacji. – Środki zapobiegawcze obejmowały mycie rąk, zachowanie dystansu i noszenie maski. Konsekwencje były jednak nie do przewidzenia. Okazuje się, że pobyt w domu miał się skończyć za rok, a nawet później – wspomina naukowiec.

Pierwsze tygodnie uznaje za niesamowity czas: setki mejli, praca nad projektem dla UE, rozmowy, rozmowy. Potem to się zmieniło. – Główny temat był ukryty, ale cokolwiek mówiłeś, na końcu był covid. Przejął nas, przeniknął i był obecny w każdym

zakątku świadomości. Izolacja zaczęła przyprawiać o mdłości. Moje ciało pragnęło uścisku, dotyku, pocałunku. Ale wirus, zabójca, był zawsze obecny. Z synem nie spotkałem się od trzech miesięcy, wielu moich przyjaciół nie widziało dzieci przez rok lub dłużej – opowiada Gorji. Covid wystąpił na wygnanie do wirtualnego świata, który był bliski rzeczywistości, ale nigdy, przenigdy nie był prawdziwy. – Prowadzę wykłady i egzaminy przez

Na murach Opery Wiedeńskiej wyświetla się neonowy napis: „cicho/niemo”.

Zoom, online. Brakuje dialogów twarzą w twarz, a moja komunikacja ze światem jest jak ciemna strona księżyca, na wpół ukryta i na wpół przezroczysta – mówi Gorji.

Prof. Marzban, działacz na rzecz praw mniejszości, ma poczucie, że od roku nie żyje. Uniwersytet nadal jest zamknięty. – Pracowałem i byłem kreatywny, ale czym jest twórczość bez dialogu? Czuję się oszołomiony i odcięty od innych ludzi.

Tęskni za podróżami. – Moje obawy są silniejsze niż pragnienie latania na pokładzie z kilkuset osobami, które mogą być zarażone. Nie przyzwyczajam się do tego, tak jak nie przyzwyczajam się do niedotykania ludzi, a jednocześnie boję się, że

street food tworząc *street art*. Słynny Demel przy Kohlmarkt w swojej witrynie wystawowej urządził istny *show* przygotowywania omletów cesarskich z polewą śliwkową. Dwóch elegancko ubranych kucharzy odgrywało spektakl zatytułowany „Kaiserschmarren”, sposób prezentacji był wyborny. Porwany na kawałki omlet sprzedawano w pięknych pudełkach z wizerunkiem pary cesarskiej, zapach naleśnika posypanego cukrem waniliowym był znieśławiający. Datowane na rok 1618 delikatne wiedeńskie

Czarny Wielbłąd (Zum Schwarzen Kameel) sprzedają na ulicy kawę w eleganckim małym samochodzie, smażą francuskie naleśniki, wiedeńskie kotlety, w aranżacji niemal teatralnej. Parę kroków dalej słynny bar Campari zauroczył włoskim stylem, sałatkami, oliwkami, flaszeczkami z campari, gingerino, suszonymi szynkami, aperolem, a wszystko w otoczeniu drzewek oliwnych, dekoracji z pomarańczy i cytryn. Nagle elegancki wiedeńczyk pijący swoją *melange* w filiżance z Augarten, trochę sztywny, stał się swobodniejszy z kawą w papierowym kubku. Restauracyjnymi salami stały się dziedzińce kamienic, a stołami – fontanny, pomniki, murki. I tak czar

Młoda para może zdjąć maseczki jedynie do pocałunku.

przeniosę wirusa i zabiję kogoś, kogo chcę przytulić.

Ulica stała się kawiarnią

Wiedeń tęskni za tłumami i gwarem. Ewa Steinhardt: – Kiedy w połowie kwietnia, a potem w maju połączono obostrzenia, to było jak przebudzenie. Ruszyły handel, gastronomia, ale wszystko inaczej. Otwarto muzea, ale bez kawy „po”. Teatry i sale koncertowe cierpiały najbardziej, ale próby trwały i transmisje w różny sposób docierały do publiczności.

Wiedeńczycy kochają swoje miasto za to, że przywróciło ich do życia. – W samym centrum, w pasie tzw. Złotej Kwatery (Tuchlauben, Bognergasse), Kohlmarkt i Graben, gastronomowie wyszli na ulice, ze

salonu sięgnął bruku z całą akceptacją społeczeństwa. Wypracowano też nowe formy graficzne kubków, miseczek, talerzyków z motywami Wiednia, zwracając uwagę na ekologię. W krótkim czasie gastronomia zmieniła swoje oblicze. Ulica stała się kawiarnią – uśmiecha się Ewa Steinhardt. Na razie gastronomia pozostaje zamknięta, ale jedzenie i napoje można odebrać od godz. 6 do 19, może po świętach zostaną w Wiedniu otwarte ogródki. W Vorarlbergu, landzie graniczącym ze Szwajcarią, większość lokali jest czynna, to test, jak wytestnione przez wszystkich otwarcie wpłynie na poziom zakażeń. Pozostaje nadzieja na powrót do życia, tego realnego, z operą, z *melange* i przytulaniem bez lęku.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl



MASECZKI

– KLĘSKA URODZAJU

Rok temu problemem był brak maseczek. Dziś coraz częściej kłopoty sprawia ich nadmiar

Mateusz Mazzini

Na początku nie było ich nigdzie. W marcu i kwietniu ubiegłego roku wszyscy błyskawicznie nauczyliśmy się skrótów FFP2, FFP3 czy KN95. Oznaczały one maseczki wyposażone w odpowiednie filtry, dające znacznie większe szanse na powstrzymanie koronawirusa przed wejściem w nasze drogi oddechowe. Maseczek brakowało nie tylko dla zwykłych ludzi, ale przede wszystkim dla pracowników medycznych. Dziś tamte „czasy niedoboru” wydają się odległą przeszłością. Choć minął rok, a my z COVID-19 wciąż przegrywamy, maseczek jest teraz wszędzie pełno. Można je dostać nawet w sklepach spożywczych czy w kioskach. Ich ceny wróciły do normy. Dzisiaj magazyny z wyrobami medycznymi są często wręcz przepełnione. Co zaskakuje, jeśli wspomnimy ubiegłą wiosnę i dramatyczną walkę o każdą

sztukę sprzętu medycznego, mogącą uratować niejedno ludzkie życie.

Jednocześnie co jakiś czas pojawiały się historie o osobach, które na maseczkowym deficycie chciały zarobić. Już na początku kwietnia ub.r. amerykańskie gazety rozpisywały się o Baruchu Feldheimie, mieszkającym na Brooklynie 43-latku, który w pierwszych tygodniach pandemii skupił z rynku ponad milion sztuk medycznej odzieży ochronnej, w tym aż 192 tys. maseczek KN95. Zrobił to oczywiście z czystej chęci zysku – czekał na moment, w którym sprzętu zabraknie, jego cena poszybuję w górę, a on stanie się z dnia na dzień bogaczem i zarazem herosem.

między najbardziej potrzebujące nowojorskie szpitale.

Przypadków takich jak historia Feldheima było wiele, choć ich wysyp skończył się niemal tak szybko, jak się rozpoczął. Głównie dlatego, że po pierwszych tygodniach pandemii, kiedy cały świat, w tym sektor wyrobów medycznych, był nią przytłoczony, firmy zaczęły sukcesywnie zwiększać zdolności produkcyjne. Nagle maseczki stały się dostępne – może nie z dnia na dzień, ale przynajmniej nie trzeba było ich szukać w garażach podejrzanych sprzedawców internetowych. Wciąż zdarzały się oczywiście wpadki, jak chociażby słynna afera z zakupem przez rząd

Rok po wybuchu pandemii są miejsca, w których maseczki zalegają w magazynach. I nie wiadomo, co z nimi zrobić.

Zdażył nawet odnieść pierwsze sukcesy, bo kilku dyrektorów medycznych zrobiło u niego zakupy. Mimo że odzież sprzedawał z 700-procentowym przebieciem cenowym. Na tym jednak jego droga do sławy się zakończyła, bo wpadł w oko FBI. Agenci przejęli jego rezerwy, oskarżając go o spekulowanie cenami artykułów pierwszej potrzeby. Maseczki, rękawice i okulary zostały rozdzielone

Mateusza Morawieckiego 130 tys. maseczek niespełniających polskich norm sanitarnych.

Globalnie rzecz ujmując, branża szybko stanęła na nogi, coraz skuteczniej zaspokajając rosnący popyt. Do tego stopnia, że – choć wydaje się to trudne do wyobrażenia – dziś, zwłaszcza w krajach rozwiniętych, przerosła go podaż. Innymi słowy, rok po wybuchu pandemii są

miejsca, w których maseczki zalegają w magazynach. I nie za bardzo wiadomo, co z nimi zrobić.

Żeby lepiej zrozumieć źródła tego problemu, trzeba się cofnąć do marca i kwietnia ub.r. i przyrzeć się sytuacji pandemicznej, zwłaszcza z gospodarczego punktu widzenia, nieco dokładniej. Doskonałym studium przypadku do przeprowadzenia takiej analizy jest Korea Południowa. W pierwszych dniach pandemii

innych dóbr, zwłaszcza tych, na które w pandemii nie było już popytu, przerzuciło się na robienie rzeczy potrzebnych i pożądanых na rynku. Według danych koreańskiego rządu tylko pomiędzy marcem i wrześniem ub.r. liczba podmiotów krajowych i zagranicznych oferujących sprzedaż maseczek w Korei wzrosła ponad trzykrotnie – ze 188 do 627. Skutek? Ci, którzy maseczek naprodukowali najwięcej, oraz ci, którzy do wyścigu

z upłynięciem zasobów padnie co druga firma, która w krytycznych momentach pandemii zaopatrywała kraj w sprzęt medyczny. Podobnie ma się sytuacja w Stanach Zjednoczonych i krajach Ameryki Łacińskiej. Skutki uboczne maseczkowej histerii sprzed 12 miesięcy nie oszczędzają nikogo. Mali zbankrutują, wielcy poniosą wysokie koszty magazynowania produktów. Nawet jeśli nakaz noszenia maseczek w przestrzeni publicznej zostanie utrzymany przez kolejne miesiące, trudno sobie wyobrazić, żeby teraz cały świat nagle zrzucił bawełniane osłonki bez filtra i zamienił je na droższe, bardzo często mniej wygodne maski medyczne. Magazyny szybko się nie opróżnią – przynajmniej nie w tej pandemii.

Konsekwencje będzie widać jednak nie tylko w biznesie. Nadprodukcja maseczek odbija się negatywnie na środowisku naturalnym. Jak informują Agencja Reutera i „South China Morning Post”, tylko w kwietniu 2020 r. na terenie Chin wyrzucano do śmieci miliard maseczek dziennie (choć w tych statystykach uwzględnia się zarówno te profesjonalne, jak i materiałowe). Wiele z nich, razem z plastikiem pochodzącym z przyłbic, okularów ochronnych i innych elementów osobistej ochrony medycznej, nie zostanie prawidłowo zutylizowanych – Agencja Reutera szacuje, że będzie to aż 75%. Odpady te trafiają

W kwietniu 2020 r. w Chinach wyrzucano do śmieci miliard maseczek dziennie.

synonim potężnych ognisk zachorowań, potem jednoznacznie kojarzona z sukcesem w opanowywaniu wirusa, głównie dzięki precyzyjnym narzędziom kontroli kontaktów międzyludzkich. Rząd w Seulu chwaliłono, a naród koreański uznano za symbol karność i kolektywnego poświęcenia się, tak ważnego w dobie walki z potężnym wspólnym wrogiem. Sporą część swojego sukcesu Korea zawdzięcza jednak też decyzji władz z 9 marca, bardzo ograniczającej prawo do swobodnego zakupu masek medycznych. Apteki i sklepy specjalistyczne mogły wyprzedawać maksymalnie 80% zasobów w danym tygodniu, a pojedynczy kupujący mógł w tym samym okresie kupić tylko dwie maseczki. W dodatku każda osoba miała na to wyznaczony dzień, zależny od daty urodzenia – sprzęt medyczny sprzedawano tam w rozróżnieniu na kategorie wiekowe. Każda transakcja była rejestrowana w państwowej bazie danych, a ustalenie górnego limitu sprzedaży miało zapobiec brakom sprzętu tam, gdzie najbardziej będzie go potrzeba w przypadku nagłego wzrostu zachorowań – w szpitalach. System działał do 1 lipca, a wszystkie restrykcje w kupowaniu maseczek zniesiono 12 lipca. W tym czasie, jak podaje koreański resort zdrowia, na tamtejszym rynku rozeszło się 773,5 mln maseczek.

Polityka racjonalizacji sprzętu medycznego, choć zbawienna w skutkach dla społeczeństwa, okazała się trudna do strawienia dla biznesu. Po pierwsze, dlatego że w pandemii zwiększyła się liczba jego dostawców. Wiele firm, na co dzień zajmujących się produkcją zupełnie

dołączyli relatywnie późno, startując od zera lub przebranżawiając się, mieli ogromne kłopoty z pozbyciem się zasobów. Problematyczna była zwłaszcza druga połowa roku, kiedy rząd zniósł limity w zakupach detalicznych. Wirus znacznie ograniczył wtedy tempo rozprzestrzeniania się, a ludzie na ulicach przyzwyczaili się do chodzenia w maseczkach materiałowych, często domowej produkcji. Pozbawione ograniczeń apteki i sklepy nie musiały zachowywać dużych zapasów, więc zamawiały mniej u producentów. W konsekwencji najwięksi, tacy jak lokalny gigant farmaceutyczny Baekje Pharmaceutical, zmagazynowali zasoby warte często kilkadziesiąt milionów dolarów. Nie mieli ich komu sprzedać, a musieli

Koncern 3M, produkujący większość maseczek KN95 na świecie, tylko w ubiegłym roku wypuścił na rynek ok. 2 mld sztuk.

nimi zarządzać, co pochłaniało gigantyczne koszty z każdym kolejnym dniem zalegania kartonów w magazynach.

Dane z innych krajów nie są wcale bardziej optymistyczne. Koncern 3M, produkujący większość maseczek KN95 na świecie, w zeszłym roku wypuścił na rynek ok. 2 mld sztuk. I choć kierownictwo firmy uważa, że branża i tak nie będzie w stanie zaspokoić potrzeb systemów opieki zdrowotnej z całego świata, dziś wydaje się to raczej biznesowym myśleniem życzeniowym. ONZ informuje, że globalna sprzedaż masek w ubiegłym roku wzrosła o 200% – w bieżącym wynik ten jest absolutnie nie do powtórzenia. W Indiach już wiadomo, że z powodu problemów

do oceanów, rzek, bezpośrednio do gleby, pogłębiając kryzys związany z zarządzaniem odpadami, zwłaszcza w Azji Południowo-Wschodniej.

Problem z nadpodażą maseczek nie zostanie szybko rozwiązany. Ilustruje natomiast w doskonały sposób pułapki zarządzania kryzysowego. Rok temu kupować maseczki po prostu trzeba było – bez względu na koszt i trudności logistyczne. Teraz jednak zeszłoroczna potrzeba jest dziś ciężarem. Niedawni herosi, którzy z dnia na dzień przerabiali swoje linie produkcyjne, są w dużych kłopotach. Przede wszystkim nie są już nikomu potrzebni, co pokazuje, że społeczeństwo ma bardzo krótką pamięć. A rynek jeszcze krótszą. ■

#IAmMySong.

Afganki walczą o głos

Do dyrekcji afgańskich szkół trafił list, że dziewczęta powyżej 12. roku życia nie mogą śpiewać podczas publicznych występów

Jagoda Grondecka

Korespondencja z Afganistanu

Dwa dni po obchodzonym także w Afganistanie Międzynarodowym Dniu Kobiet do dyrekcji afgańskich szkół trafił list, wedle którego dziewczęta powyżej 12. roku życia nie mogą śpiewać podczas publicznych występów, nawet hymnu państwowego. „To talibanizacja z wnętrza republiki”, powiedziała agencji Associated Press Sima Samar, aktywistka na rzecz praw człowieka. Wobec gwałtownego oburzenia, jakie wśród części społeczeństwa wywołało pismo, Ministerstwo Edukacji szybko zaczęło zaprzeczać, jakoby chciało powstrzymać dziewczynki od śpiewu, ale użyło w tym celu dość kuriozalnych wyjaśnień. List miał pochodzić od urzędnika odpowiedzialnego za edukację w Kabulu i nie odzwierciedlać ministerialnego stanowiska, a sam zakaz służyć... zapobieganiu rozprzestrzeniania się wirusa COVID-19.

Na wyjaśnienia było już jednak za późno. „Dziś w Afganistanie Ministerstwo Edukacji uciszyło głosy naszych dziewcząt, zabraniając im śpiewać – napisała na Twitterze Szamila Kohestani, była kapitanka narodowej kobiecej drużyny piłkarskiej. – Dziewczyny są uczone, że nie mają głosu”. Na końcu dodała hasztag #IAmMySong. Po kontrowersyjnym liście media społecznościowe zalała fala opatrzonych tym hasztagiem nagrań, na których Afganki śpiewają ulubione piosenki. Kampanię zainicjował Ahmad Sarmast, założyciel Afgańskiego Instytutu Muzyki, ale wzięto w niej udział wiele prominentnych aktywistek i liderek.

„Zabieramy głos w proteście przeciwko ekstremistycznemu i dyskryminującemu poleceniu Ministerstwa Edukacji”, podpisała swoje nagranie dziennikarka i działaczka na rzecz praw kobiet Farahnaz Forotan. Według pakistańskiej organizacji BytesForAll, która monitoruje aktywność w sieci, hasztagowa kampania miała zdobyć nawet 600 tys. kliknięć.

Muzyczna tradycja

Choć dziś trudno w to uwierzyć, śpiew kobiet w Afganistanie był częścią bogatej tradycji muzycznej tego kraju. Z lat 70. pochodzą liczne nagrania kobiet i dzieci śpiewających wspólnie kołysanki czy tradycyjne czterowersze (pers. *czaharbajt*). Kobiety występowały przede wszystkim przed domownikami i na rodzin-

Media społecznościowe zalała fala nagrań, na których Afganki śpiewają ulubione piosenki.

nych wydarzeniach, np. weselach. Z profesjonalnych muzyczek słynął zwłaszcza Herat, miasto na zachodzie Afganistanu. Kres tej erze położyła radziecka inwazja w 1979 r. Dla afgańskiej muzyki, szczególnie tej wykonywanej przez kobiety, wraz z wojenną pożogą nadeszły ciężkie czasy. Kiedy po wojnie z ZSRR w kraju rozgorzała wojna domowa pomiędzy żądnymi krwi i władzy mudżahedinami, bożymi wojownikami, piosenkarki były ucinane, a nawet zabijane.

Kulminacją tych porządków stały się rządy talibów, którzy całkowicie zakazali słuchania czy wykonywania muzyki, szczególnie gry na instrumentach. Konfiskowano i niszczo-



Ministerstwo Edukacji szybko zaczęło zaprzeczać, jakoby chciało powstrzymać dziewczynki od śpiewu.

kasety magnetofonowe i instrumenty, a muzyków, słuchaczy czy gospodarzy wydarzeń, podczas których wykonywana była muzyka, nękano i aresztowano. Nie były dozwolone żadne występy, ani na żywo, ani w formie nagrania, i nawet na wesela organizowano naloty, bo muzyka ludowa należała do tradycyjnej formy świętowania. Muzyka miała odciągać wiernych od poważnych spraw

życia ziemskiego oraz duchowego, twierdzili talibowie, powołując się na święte teksty. W Koranie próżno szukać choć słowa na ten temat, pozostają więc liczne hadisy, czyli przypowieści z życia Proroka.

Zakazane piosenki

Kwestia, czy muzyka jest dla muzułmanów *halal*, czyli dozwolona, czy też *haram*, a więc zabroniona, pozostaje sporna. Talibowie chętnie przywoływali *hadis* mówiący, że tym, którzy słuchają muzyki, w dniu Sądu Ostatecznego do uszu zostanie wlaany płynny ołów. Inne źródła twierdzą jednak, że chodziło o słuchanie nie



muzyki w ogóle, ale wyłącznie kobiecego śpiewu. Według jednych interpretacji niemiłe Bogu są wszelkie instrumenty, wedle drugich zaś dopuszcza się grę na bębenu (popularny instrument *daf*, bliski tamburynowi), ponieważ Prorok miał zezwalać na grę na tych instrumentach podczas różnych ceremonii, takich jak wesela. Radio Afganistan, które odegrało znaczną rolę w rozwoju kultury muzycznej w tym kraju, zostało zastąpione przez Radio Szarijat, sążące na okrągło talibską propagandę.

Zwolennicy teorii o całkowitym zakazie muzykowania powołują się na zbiór hadisów perskiego uczonego al-Buchariego, uważany przez sunnitów za najważniejsze po Koranie źródło wiedzy, w którym znaleźć można takie słowa Proroka: „Będą w mojej gminie tacy, którzy za dopuszczalne będą uważali cudzołóstwo, alkohol, jedwab i instrumenty muzyczne”. Przeciwnicy przypominają, że istnieje bardzo znany *hadis* opowiadający o dwóch dziewczynkach śpiewających dla kobiety, i snują teorie, że śpiewać i grać można, ale pod pewnymi warunkami, m.in. zgodności płci pomiędzy wykonawcą a publicznością.

Na obszarach, nad którymi sprawują kontrolę, talibowie nie porzucili dawnych zwyczajów. W 2019 r. do

mediów społecznościowych wyciekł film przedstawiający talibskiego komendanta karzącego kobietę właśnie za publiczny śpiew. Nie wiadomo, kiedy wideo zostało nagrane, a rzecznik talibów powiedział, że „prowadzone jest w tej sprawie dochodzenie”. Ale jasne jest, że ich poglądy na kobiety pozwalające sobie śpiewać w przestrzeni publicznej nie zmieniły się znacząco.

Wielu jest zdania, że głos kobiety nie powinien być słyszany przez mężczyzn.

Poza byciem religijnymi radykałami talibowie pozostają jednak nieodrodnymi synami swojej ziemi i odziedziczyli tradycję afgańskiej muzyki ludowej. Nic zatem dziwnego, że do komunikowania się z lokalną ludnością używali i używają... pieśni. *Tarana*, bo tak nazywa się ten specyficzny gatunek, to rodzaj poezji śpiewanej. Krótkie, wpadające w ucho i łatwe do zapamiętania teksty z powtarzającym się refrenem mają za zadanie szerzyć talibską propagandę.

Zostań dobrą żoną

Co wolno talibom, to nie Afganom. Przekonuje się o tym na co

dzień 20-letnia Zahra Elham, która w 2019 r. zdobyła sławę jako pierwsza kobieta zwyciężczyni najpopularniejszego w kraju muzycznego *show* telewizyjnego „Afghan Star”. Wykonując chazarskie i perskie pieśni ludowe, ubrana w tradycyjny, kolorowy strój afgański, dla wielu stała się symbolem zmiany w Afganistanie po obaleniu talibskiego reżimu. Ale zmiana ta nie dokonała się z dnia na dzień – „Afghan Star” emitowany jest od 2005 r., a kobieta wygrała w nim dopiero po 14 latach. Wśród setki uczestników konkurujących z Zahra Elham kobiet było zresztą zaledwie kilka.

Wielu bardziej konserwatywnych mieszkańców kraju podziela talibski pogląd na występujące na scenie kobiety. To nie jest w zgodzie z naszym społeczeństwem ani zasadami islamu, można usłyszeć. Piosenkarka niekiedy zrównywana jest z prostytutką. Sama Zahra Elham przyznaje, że po zwycięstwie w „Afghan Star” otrzymywała nie tylko groźby, ale i wiadomości w rodzaju „zostań dobrą żoną, obieraj ziemniaki, pastuj buty”. Był to przekaz nie od konserwatywnych mułłów, ale od zwyczajnych mężczyzn, dla których kobieta robiąca karierę polegającą na ekspozowaniu swojego wizerunku – często w „obcym kulturowo” stroju, a nawet, o zgrozo, bez chusty – jest nie do pomyślenia. Wielu jest też zdania, że głos kobiety nie powinien być słyszany przez mężczyzn.

Popularna piosenkarka Aryana Sajid od lat przez swoją aktywność sceniczną otrzymuje groźby śmierci. Na co dzień mieszka za granicą, podczas pobytu w Kabulu porusza się tylko opancerzonym samochodem, a większość czasu spędza w domu. Chyba większe kontrowersje niż jej muzyka, miks popu i afgańskich ludowych melodii, wywołuje jej sceniczny *image*, nieprzystający do ultrakonserwatywnych afgańskich standardów.

Zresztą nie tylko piosenkarki są solą w oku religijnych radykałów. W ostatnich miesiącach w Afganistanie nasila się przemoc wobec kobiet. W marcu w prowincji Nangarhar w dwóch atakach zabito trzy dziennikarki lokalnej stacji Enikass TV. W styczniu na jednej z kabulskich

► ulic nieznany sprawca dokonał egzekucji Zakii Herawi i Qadrri Yasini, pracujących jako sędzi. W ostatnich miesiącach zginęły także Fereszteh Kohestani, aktywistka na rzecz praw kobiet, czy dziennikarka telewizyjna Malala Maiwand. Kobiety, które robią karierę zawodową, w dodatku często w stereotypowo „męskich” dziedzinach, zabierające głos, są postrzegane przez ekstremistów jako zagrożenie.

Ryzykowne negocjacje

To wszystko w cieniu trwających, chociaż w praktyce martwych rozmów pokojowych pomiędzy rządem w Kabulu a talibami. Od początku negocjacji w Ad-Dausze Afgańczycy obawiali się, że na ołtarzu porozumienia z talibami mogą zostać złożone różne wypracowane przez ostatnie 20 lat swobody, z prawami kobiet na czele. Rozmowy jednak

nie posuwały się naprzód, toteż, by przerwać impas, sekretarz stanu USA Antony Blinken zaproponował nowy plan pokojowy. Nie wiadomo, jakie będą jego losy, podobnie jak amerykańskich wojsk w Afganistanie, ale pewne jest jedno – zakończenie konfliktu będzie wymagało zaangażowania talibów w system polityczny.

Afgański rząd deklaruje przywiązanie do praw człowieka, w tym praw kobiet. „Żadna osoba ani instytucja nie może nakładać na obywateli tego państwa ograniczeń, które przeczą duchowi konstytucji”, zatweetował. Talibowie deklarują wprawdzie, że zweryfikowali niektóre swoje poglądy, w tym te dotyczące kobiet, lecz Afganki nie dają wiary tym zapewnieniom. Zahra Elham w wywiadach wielokrotnie wyrażała lęk o przyszłość praw kobiet w Afganistanie. „Martwię się powrotem talibów. Oni nigdy nie akceptowali takich programów jak »Afghan Star«,

w szczególności z kobietami i dziewczętami w roli uczestniczek”, mówiła.

Z niepokojem patrzy w przyszłość także Negin Khpalwak, 23-letnia dyrygentka, pod której batutą gra Zohra Orchestra, pierwsza w historii Afganistanu orkiestra złożona z samych kobiet. Urodzona w pasztuńskiej rodzinie Negin zaczynała od ćwiczenia muzyki po kryjomu, nie mogąc liczyć na wsparcie krewnych. Kiedy miała 20 lat, prowadzona przez nią orkiestra wystąpiła na Forum Ekonomicznym w Davos. Podobnie jak wiele jej rodaczek uważnie obserwuje teraz negocjacje z talibami. „Możemy przynieść Afganistanowi wolność, pokój i honor – powiedziała magazynowi „Time”. – Kobiety nie powrócą do tamtych ciemnych dni. Talibowie mogą zniszczyć nasze instrumenty, mogą zakazać muzyki, ale nigdy nie zabiorą jej z naszych serc”.

Jagoda Grondecka



W bieżącym numerze także:

- **Żaden granatowy przebieraniec mnie nie zdoluje:** Katarzyna Augustynek vel Babcia Kasia w rozmowie z Małgorzatą Büthner-Zawadzką
- **Nie lubię niesprawiedliwości:** – Gleb Bartoń znany jako Jednorożec w rozmowie z Małgorzatą Büthner-Zawadzką
- **Tłum może być potężną bronią:** – Dorota Malinowska z Homokomanda w rozmowie z Małgorzatą Büthner-Zawadzką
- **Cnoty narodowe w postaci drabiny:** rozmowa z uczestniczkami protestu, które utknęły w policyjnym kotle
- **Kroniki protestowe:** relacje uczestniczek i uczestników Strajku Kobiet
- **Zuzanna Szor:** Rola działalności lokalnej
- **Józef Domagalski:** Jakiej suwerenności potrzebują Polacy
- **O Macronie, laickości, kolonializmie i globalizacji:** Jean-François Bayart w rozmowie z Michałem Kozłowskim

Do nabycia w salonach prasowych empik oraz zamawiając przez Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”, ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27 redakcja@iwnkip.org



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Jaja wielkanocne

Kilka scen i parę fraz z ostatnich dni zostanie ze mną na dłużej. Zasadniczo, jeśli nasz przeciążony mózg decyduje się coś przechowywać dłużej, winno to dobrze albo bardzo dobrze świadczyć o materiale źródłowym; taka pamięć to jakby uhonorowanie, nagroda, docenienie. Ale w przypadku tych kilku historyjek chyba tak nie jest. Zwycięża ich potencjał negatywny, przesłanie-ostrzeżenie, raczej dzwonek alarmowy niż szczypta zachwyty.

Na początek krótka historia przesłuchania dziennikarza dokumentalisty Roberta Kowalskiego, od kilku lat pracującego dla OKO.press, niezależnego portalu systematycznie i na świetnym poziomie patrzącego władzy na ręce. Przed kilkoma miesiącami Kowalski postanowił zadać parę pytań sędzi Trybunału Konstytucyjnego prof. Krystynie Pawłowicz (wcześniej walecznej postacie PiS). To było w dniu ogłaszania przez tzw. TK Julii Przyłębskiej orzeczenia w sprawie niekonstytucyjności przepisów dopuszczających aborcję w niektórych przypadkach, *de facto* odbierającego kobietom w Polsce jakiegokolwiek prawa i zmuszającego je np. do donoszenia martwego płodu. Kowalski, wysłuchując w mediach głosu odrębnego sędziego Kieresa do tego orzeczenia, postanowił zadać pytanie Krystynie Pawłowicz i pojechał pod jej dom. Widząc go i słysząc, Pawłowicz odegrała marną szopkę z ucieczką do warzywniaka i głośnym wołaniem o pomoc, apelem o wezwanie policji. Kowalski był obok, cały czas usiłując zadać pytanie, zdobyć komentarz, uspokoić sytuację. Na nic. Przyjechał patrol. Sędzią radiowóz odwiózł 30 m pod klatkę bloku, gdzie mieszka. Kowalskiego spisano, patrol pojechał. Po kilku miesiącach Kowalski dostaje wezwanie do prokuratury, nie ma pojęcia, w jakiej sprawie, bywa tam często, bo dokumentując manifestacje, zeznaje na temat naruszenia praw przez policjantów. Na miejscu okazuje się, że przesłuchanie dotyczy właśnie tamtego epizodu z Pawłowicz. Prowadzona jest sprawa o „stosowanie przemocy wobec osoby lub groźbę bezprawną w celu zmuszenia innej osoby do określonego działania”. I chociaż Kowalski może być jedynym oskarżonym, wezwano go jako świadka (świadek ma mniej praw niż podejrzanym i można go np. oskarżyć o składanie fałszywych zeznań).

Samo przesłuchanie – z całą świadomością naruszenia prawa Robert Kowalski ujawnił jego przebieg na portalu OKO.press – było kuriozalne. Trwało cztery godziny. Pani prokurator często się śmiała z dowcipów Kowalskiego, który apelował: „Proszę, niech mnie pani posadzi, niech pani ma na względzie czystość moralną naszego kraju,

który po latach błędów i wypaczeń doczekał się dzięki dobrej zmianie wolnej Polski. Wielu patriotów się o to modliło, wielu krew przełało”. Potem kazała mu narysować szkic sytuacyjny i kiedy Kowalski jak dziecko z przedszkola rysował dom, drzewo, panią sędzię, a na koniec niebo – wyrwała mu kartkę z ręki. Pani prokurator Ewa Kiec nie była osobą przypadkową. To stosunkowo świeżo awansowana prokurator, która – jak opisywał – „pracowała w prokuraturze na Woli w Warszawie i awansowała do Prokuratury Okręgowej po tym, jak umorzyła sprawę Cezarego Gmyza, który nazwał prof. Małgorzatę Gersdorf, kiedy była I prezes Sądu Najwyższego, szlampą, czyli mówiąc inaczej kurwą”. Czyli pani prokurator z zasługami i osiągnięciami.

Dlaczego w ogóle o tym piszę? Przecież tyle ważnych rzeczy wydarzyło się w tym czasie! Papież Franciszek, symbolicznie, bo symbolicznie, ale ukarał abp. Sławoja Leszka Głódzia za krycie nadużyć seksualnych w Kościele (*de facto* przeprowadzką z jednego pałacu do drugiego, ale przeprowadzki, choć może nie są torturą, stanowią sporą uciążliwość, kara więc surowa i adekwatna). Szybują w górę statystyki zachorowań na brytyjski wariant covidu (prawie 90%) w wyniku wpuszczenia

bez jakiejkolwiek kontroli i kwarantanny kilkudziesięciu tysięcy Polaków wracających na święta bożonarodzeniowe z Wielkiej Brytanii, bo władza „bała się hejtu”. Tomasz Lis pisze wielostronicową obronę polskich, prześladowanych katolików. Dominikanie zaczynają się mierzyć z tuszowanym przez kilkanaście lat skandalem przemocy i gwałtów, których dopuszczali się jeden z nich. Zakłady fryzjerskie, przedszkola zamknięte – kościoły pozostają otwarte. Sędzia Tuleya, mimo immunitetu, ma być doprowadzony siłą do prokuratury. Daniel Obajtek ze swoją pisowską karierą godną Nikodema Dyzmy imponuje zgromadzonym w kilka lat niewyobrażalnym majątkiem.

A my w tym czasie oglądamy przemoc władzy w wydaniu niby krótkotrwałym, ale bardzo groźnym – kiedy pani prokurator Ewa Kiec wyrywa przesłuchiwanemu Robertowi Kowalskiemu kartkę ze szkicem nieba rozpościerającego się po kantowsku nad sędzią Pawłowicz, premier Morawiecki wysyła do usłużnego Trybunału Konstytucyjnego pismo (czyli w tej konwencji podkładkę pod orzeczenie) o uznanie wyższości polskiego prawa nad legislacją unijną. Po cichu opuszczamy zatem Unię Europejską. A wszystkie te puzzle układają się w spójny, pełny obraz. Dobrze go zobaczyć.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Walka o pustynię

Maroko wywiera presję na Hiszpanię z powodu Sahary Zachodniej



13 grudnia 2020 r. Marokańczycy świętowali przed parlamentem w Rabacie po tym, jak USA przyjęły nową oficjalną mapę Maroka, która obejmuje sporne terytorium Sahary Zachodniej.

Tomasz Skowronek

Władze marokańskie od kilku miesięcy naciskają na swoje hiszpańskie odpowiedniki, by uznały suwerenność Maroka względem Sahary Zachodniej, tak jak zrobiły to Stany Zjednoczone za prezydentury Donalda Trumpa.

15 stycznia w trakcie konferencji prasowej szefa MSZ Maroka Nasseira Bourity na temat bieżącej polityki w kraju i sytuacji w Saharze Zachodniej polityk nagle przeszedł z języka arabskiego na francuski: „Europa musi wyjść ze swojej strefy komfortu i podążać za dynamiką Stanów Zjednoczonych. Część Europy musi być bardziej odważna, bo jest blisko tego konfliktu”.

Nagła zmiana języka miała symboliczne przesłanie dla Starego Kontynentu, aby europejscy przywódcy poszli w ślady byłego prezydenta USA Donalda Trumpa i poparli zwierzchnictwo Maroka nad Saharą Zachodnią. Później, przed korespondentem Agencji EFE, Bourita był

bardziej bezpośredni. „Trzeba zapytać [Hiszpanię], dlaczego jej tu nie ma”, podkreślił. „Wielu obserwatorów potwierdziło, że Hiszpania wyróżnia się nieobecnością, czego żałowała spora liczba marokańskich dyplomatów”, skomentowała w ślad za nim cyfrowa gazeta „Le 360”, blisko powiązana z pałacem królewskim. Co ważne, Francja była jedynym krajem europejskim reprezentowanym na konferencji.

Po tym jak Waszyngton uznał suwerenność Maroka wobec Sahary Zachodniej, a ok. 20 krajów afrykańskich i arabskich ogłosiło otwarcie konsulatów w Al-Ujun, jej nieoficjalnej stolicy, i Ad-Dachli, dyplomacja Rabatu poczuła się pewniej, w związku z czym stara się odnieść kolejny sukces – Hiszpania, dawna potęga kolonialna, jest jej następnym celem.

10 grudnia 2020 r. USA politycznie wsparły Maroko w konflikcie w zamian za nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Rabatem a Tel Awiwem. Marokańskie władze coraz silniej i śmielej naciskają zatem na iberyjskie państwo w sprawie

Sahary Zachodniej. Jednocześnie relacje na linii Madryt-Rabat stały się jeszcze bardziej napięte. Dowodem tego może być ciągłe przekładanie spotkania przedstawicieli wysokiego szczebla obu krajów. Maroko, powołując się na względy pandemiczne, przełożyło na luty szczyt z Hiszpanią, zaplanowany wcześniej na 17 grudnia, o którego zwołanie poprosił szef rządu Saadeddine Othmani. Pod koniec lutego doszło jednak tylko do wideokonferencji szefów MSZ obu krajów. Choć obie strony zgodziły się na przygotowanie dwustronnego szczytu, nie były w stanie uzgodnić żadnych konkretnych, nawet daty, co można wytłumaczyć ukrytymi napięciami dyplomatycznymi.

Sahara Zachodnia bywa nazywana ostatnią kolonią Afryki. W 1975 r. obywatel ten był hiszpańską kolonią, której suweren przekazał dwie trzecie Maroka i jedną trzecią Mauretanii. W reakcji Front Polisario, ruch niepodległościowy rdzennych mieszkańców tego obszaru, Sahrawi, chwycił za broń. Mauretania rzekła się swojej „części” na rzecz Maroka. Marokańczycy

natomiast zorganizowali tzw. Zielony Marsz – król Hassan II zmobilizował 300 tys. cywilów, którzy przekroczyli zieloną granicę z Saharą Hiszpańską w geście poparcia dla zgłaszanych przez Maroko roszczeń do tego terytorium. Mieszkańcy Sahary zaczęli z kolei organizować zbrojną akcję przeciwko marokańskim okupantom. Sahrawi upierają się, że w dużej mierze sami sobą rządzą przez setki lat – wędrując po pustyni jako koczownicy, nie byli związani z żadnym królestwem ani państwem poza własnymi plemiennymi zależnościami.

W 1991 r. Rabat i Front Polisario, dzięki mediacjom ONZ, osiągnęły porozumienie przewidujące zawieszenie broni i zorganizowanie referendum w sprawie samostanowienia ludności Sahrawi, które nie zostało przeprowadzone z powodu przeszkód stawianych przez władze Maroka. Front Polisario nadal domaga się referendum niepodległościowego, tymczasem Maroko woli kolonizować i wiązać gospodarczo Saharę Zachodnią. Obszar ten jest bowiem bogaty w złoża fosforanów i zasoby rybne.

W ciągu ostatnich dwóch dekad Hiszpanie przyjmowali neutralne stanowisko wobec tego konfliktu. Gdy jednak Waszyngton uznał Saharę Zachodnią za część Maroka, hiszpańska minister spraw zagranicznych Arancha González Laya powiedziała, że decyzja Donalda Trumpa zaskoczyła hiszpański rząd. Madryt przyjął tę decyzję dość chłodno, a kilka dni później minister Laya przekazała

nagłaśniane są historie dziesiątków więzionych działaczy Sahrawi i restrykcje, jakim podlega wielu innych, nietworzące klimatu sprzyjającego ustanowieniu autonomii akceptowanej przez rdzenną ludność. Doniesienia organizacji pozarządowych zajmujących się prawami człowieka są druzgocące dla władz Maroka.

Jakby tego było mało, główny kalicjant socjalistów, lewicowe ugrupowanie Podemos, wspiera Front Polisario. Przywódca Podemos, a jednocześnie wicepremier, Pablo

Maroko obwinia Hiszpanię o złe traktowanie marokańskich migrantów w obozach dla uchodźców na Wyspach Kanaryjskich.

Iglesias Turrión, regularnie nalega na uznanie prawa ludności Sahrawi do samostanowienia. W lutowym numerze magazynu „BAB”, wydawany przez oficjalną marokańską agencję informacyjną MAP, wskazał nawet bezpośrednio Iglesiasa jako główne „źródło kryzysu” w stosunkach z Madrytem. Ten sam magazyn porównał sytuację Katalonii i Frontu Polisario. Podkreślano sprzeczność postaw Hiszpanii w jednym i drugim przypadku: „Jeszcze bardziej niezrozumiałe jest to, że pozycja Madrytu jest taka, że chociaż tłumi wszelkie pragnienia niepodległości w Katalonii, społeczność liczącej 7,5 mln mieszkańców, nadal wspiera zakulisowo samostanowienie kilku tysięcy separatystów z Frontu Polisario”.

w stosunkach hiszpańsko-marokańskich to efekt planów ekspansji Maroka w Saharze Zachodniej: „Nie można dokonać przeglądu stosunków między tymi dwoma krajami bez wspomnienia o sprawie Sahrawi, biorąc pod uwagę odpowiedzialność polityczną i status prawny Hiszpanii w zakresie dekolonizacji Sahary Zachodniej”. I dalej ubolewa: „Reżim marokański za wszelką cenę stara się przekonać Hiszpanów, by poszli w ślady Trumpa, uznając rzekomą suwerenność Maroka nad Saharą

Zachodnią. Jesteśmy w kontakcie z rządem hiszpańskim, który zapewnił nas, że nie uzna suwerenności Maroka nad Saharą Zachodnią... ale presja marokańska rośnie”.

Jak zauważa dziennik „El Confidencial”, Hiszpania jako była potęga kolonialna ma do odegrania ważną rolę w regionie. Według władz marokańskich jej stanowisko mogłoby wpłynąć na podejście dużej części krajów Unii Europejskiej.

Innym zgrzytem w relacjach jest kwestia uchodźców. Maroko wini bowiem Hiszpanię za złe traktowanie marokańskich imigrantów umieszczonych w obozach dla uchodźców na Wyspach Kanaryjskich.

„Maroko nie jest dziś niebezpiecznym i chaotycznym krajem, który José María Aznar mógłby szantażować, jak to robił pod koniec lat 90. Kontekst międzynarodowy i regionalny nie jest taki sam jak 20 lat temu, a siła przetargowa Maroka znacznie wzrosła w ciągu ostatniej dekady – pisał w „El Español” Samir Bennis, analityk polityczny i ekspert od Maroka i Maghrebu. – Obecny kontekst geopolityczny sprawia, że ekonomiczna, polityczna i społeczna stabilność Hiszpanii jest ściśle związana ze stabilnością Maroka. Bezpieczeństwo Hiszpanii, a także powodzenie jej strategii migracyjnych i antyterrorystycznych w dużej mierze zależą od jej ścisłej współpracy z Afrykańczykami”.

Madryt obawia się również, że Rabat może przerwać współpracę antyterrorystyczną, jak miało to miejsce w sierpniu 2014 r., lub wywołać poważny kryzys migracyjny. Zwłaszcza

Doniesienia organizacji zajmujących się prawami człowieka w Saharze Zachodniej są druzgocące dla władz Maroka.

mediom, że rozwiązanie konfliktu na Saharze nie zależy od jednego kraju, bez względu na to, jak jest potężny i wpływowy.

Hiszpański rząd jest zakłopotany marokańskim żądaniem i naciskami. Co prawda, rządzący socjaliści od dawna potajemnie popierali rozwiązanie konfliktu, za którym opowiadał się Rabat, nie mogą tego jednak powiedzieć otwarcie, ponieważ hiszpańska opinia publiczna nadal sympatyzuje z Frontem Polisario. W Hiszpanii działa wiele organizacji pozarządowych wspierających Sahrawi. W krajowych mediach

Na takie uszczypliwości wobec Hiszpanów Marokańczycy pozwalają sobie coraz śміiej i częściej. W lutym szef marokańskiego rządu Saadeddine Othmani wypowiedział się kontrowersyjnie o hiszpańskich enklawach w północnym Maroku. Saudyjskiej telewizji Al-Sharq mówił, że Ceuta i Melilla, podobnie jak Sahara Zachodnia, są częścią terytorium Maroka, i dodawał, że konieczne będzie rozpoczęcie dyskusji o ich przyszłości z rządem hiszpańskim.

Abdallah Laarabi, przedstawiciel Frontu Polisario w Hiszpanii, nie ma wątpliwości, że obecne zgrzyty

► ten drugi wątek przyprawia rządzących socjalistów o ból głowy.

W ciągu całego 2020 r. napływ imigrantów na Wyspy Kanaryjskie wzrósł o ponad 750%. Światowe media nazywały nawet Gran Canarię „hiszpańskim Lesbos”. Profil imigrantów marokańskich, którzy wylądowali na wyspach, różni się od tych, którzy

Masowa nielegalna imigracja na Wyspy Kanaryjskie to poważny problem dla władz hiszpańskich. Wobec braku obozów dla uchodźców – te zakładane w pośpiechu oferują obecnie tylko 600 miejsc – ponad 7,5 tys. osób zakwaterowanych jest w hotelach, pustych z braku turystów. To rozwiązanie prowokuje napięcia

Tym bardziej że obszar ten jest dość zmilitaryzowany, więc powinien być lepiej strzeżony.

Inną presją, jaką afrykańskie państwo może wywierać na Madryt, jest repatriacja ponad 20 tys. marokańskich imigrantów. Przez prawie dziewięć miesięcy Maroko nie zgadzało się na odsyłanie ani jednego swojego obywatela, który dotarł nielegalnie do Hiszpanii. Jak donosi jednak hiszpański dziennik „ABC”, marokański minister spraw wewnętrznych Abdelouafi Laftit po spotkaniu ze swoim hiszpańskim odpowiednikiem dał zielone światło powrotom.

Od listopada wznowiono w związku z tym deportacje do Maroka. W tej chwili, jak donosi gazeta, tygodniowo deportowanych jest tylko od 60 do 100 marokańskich imigrantów. Proces ten przebiega zatem w żółtym tempie. Niewykluczone, że kwestia powstrzymania migracji i przyspieszenia repatriacji może być próbą wymuszenia uznania zwierzchności Maroka nad Saharą Zachodnią.

Tomasz Skowronek

Maroko woli kolonizować i wiązać gospodarczo Saharę Zachodnią, bogatą w złoża fosforanów.

wcześniej przekraczali Cieśninę Gibraltarską, aby dotrzeć na Półwysep Iberyjski. Są nieco starsi, często pracowali w Maroku w branży gastronomicznej, turystycznej bądź jako taksówkarze. Bezrobotni od miesięcy z powodu kryzysu wywołanego pandemią, ryzykują życie i wyruszają przez Atlantyk. Według badania przeprowadzonego przez Frontex, europejską agencję kontroli granicznej, dla 68% Ad-Dachla była pod koniec grudnia początkiem przeprawy.

wśród lokalnej ludności, do których niekiedy zachęcają populistyczni burmistrzowie. Sama zaś obecność imigrantów może odstraszać potencjalnych turystów – Wyspy Kanaryjskie w oczach przyjezdnych mogą stracić status bezpiecznej, rajskiej przystani.

Jak pisał „El País”: „Niektórzy hiszpańscy dyplomaci zastanawiają się, czy Rabat nie otworzył wrót masowej nielegalnej emigracji z Sahary – zjawiska nigdy wcześniej niewidzianego – aby wyrzucić presję na Hiszpanię”.

PRZEKAŻ SWÓJ 1% NA KUŹNICĘ!



FUNDACJA KUŹNICA
KRS: 0000300613

kuznica.org.pl

Rozliczając swój PIT zachęcamy do wskazania Fundacji Kuźnicy jako Organizacji Pożytku Publicznego. Wspomóż nas, to nic nie kosztuje!

Dziękujemy!

- wydajemy „Zdanie”
- wraz ze Stowarzyszeniem Kuźnica przyznajemy nagrodę Kowadła
- organizujemy spotkania z wybitnymi postaciami nauki, kultury, polityki

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Na karuzeli dni

Piątek. Budzę się, żal mi snu, wstaję, ciągnę swoje ciało do łazienki, prysznic, wycieram się ręcznikiem, zakładanie skarpetek, to już nie takie proste, kawa, idę do komputera. I po chwili znowu piątek. Budzę się, żal mi snu, wstaję, ciągnę swoje ciało do łazienki, prysznic, wycieram się ręcznikiem, zakładanie skarpetek, to już nie takie proste, kawa, idę do komputera. Znowu piątek. Budzę się... Przyspieszenie piątków narastało z miesiąca na miesiąc, potem z dnia na dzień. Na początku byłem pewien, że to złudzenie, które tylko mnie dręczy. Ale okazało się, że znajomi i nieznajomi czują to samo, nawet mój kioskarsz, pani Jola w sklepie warzywnym, nasz listonosz, wszyscy mówią, że coś zdumiewającego dzieje się z czasem. Mawia się, że w pewnym wieku czas przyspiesza, ale przecież narzekają na to już i młodzi. Jeśli czas porównać do taśmy z bagażami na lotnisku, to teraz ta taśma oszalała i pędzi na złamanie karku. A na niej śmigają nasze bagaże. Jedną z przyczyn jest zapewne monotonia życia na kwarantannie.

Moja znajoma miała udar, nagle tajfun w głowie, chciała coś powiedzieć, nie mogła; przyjechało pogotowie, cały czas trzymała telefon w dłoni. W karetce zrobiła zdjęcie – ale nie sobie, wiedziała, że kiepsko wygląda, a jest estetką, więc wnętrza karetki – i wysłała znajomym na wieczną rzecz pamiątkę. Takie czasy. Kiedyś umierający trzymali krzyż, a teraz komórkę, życiodajne źródło łączności ze światem, ostatnią deskę ratunku. I narzędzie dawania świadectwa. Telefony i ich numery po zmarłych zdają się żyć jeszcze po ich śmierci, uparcie i wytrwale. I niemoralne zdaje się wyrzucenie ich ze swojej komórki, to jakby uśmiercanie powtórne. Pielęgnuję jeszcze numer Ryszarda Kapuścińskiego.

Jedna ładna myśl Mii Farrow: „Życie polega na przegrywaniu i robieniu tego w najbardziej wdzięczny sposób, jak to tylko możliwe, i na cieszeniu się wszystkim tym, co wydarza się pomiędzy”. Czy autorka tak ładnej myśli, matka dużej gromadki dzieci, w większości adoptowanych ze świata nędzy, może kłamać w sprawie Woody’ego Allena i molestowania przez niego córki? On tak twierdzi. Teraz to jej zaczynam wierzyć.

Coraz więcej znajomych choruje na covid. Ja po pierwszym szczepieniu nie mam obaw, że zaraza mnie powali,

nie miałem też przedtem. Każdy ma swoją odmienną geografie lęków. Pandemia ujawnia także nieprzebrane pokłady irracjonalnego myślenia ludzi. Nie tylko w Polsce. Kolega z Toronto opisuje mi, jakie to fantastyczne bzdury Kanadyjczycy wymyślają na temat zarazy. Najczęściej kwestionuje się jej istnienie, ma być światowy spisek w tej sprawie. Nie powinno mnie to tak dziwić, skoro uważam, że religie to największe i nieprzebrane zasoby irracjonalności i myślenia magicznego. Wierzący muszą mi wybaczyć. Nie mam, jak to się mawia łaskawie, łaski wiary. Pisałem już o tym, ale tak dawno, że mogę się powtórzyć. Kiedy zacząłem wątpić, miałem lat 12, gdy rodzice posłali mnie na prywatne lekcje religii do księdza poety Jana Twardowskiego – przyjaźnił się z moimi rodzicami. Tylko ja i ksiądz, przy kościele Wizytek, gdzie mieszkał; była wiosna, kwitnący ogród. Co to za przywilej! – ktoś powie. Męczyliśmy się jednak obaj strasznie, bo żądałem pewnych

Kiedyś umierający trzymali krzyż, a teraz komórkę, życiodajne źródło łączności ze światem, ostatnią deskę ratunku.

dowodów na istnienie Pana Boga. W czasie tych moich korepetycji religijnych mama spotkała przypadkiem księdza na ulicy: „Jak Tomek, jak radzi sobie na lekcjach?”. Ksiądz zadumał się i powiedział: „Wrażliwy, inteligentny chłopiec, ale muszę pani powiedzieć, że to wielki antytalent religijny”. I tak mi zostało do dzisiaj.

Nie krytykowałem kiedyś rządu za walkę z pandemią, widząc, że wiele państw bardziej zaawansowanych cywilizacyjnie radzi sobie niewiele lepiej. Teraz radzimy sobie znacznie gorzej, co widać gołym okiem. Element autorytarny PiS też w tym, że jak każda taka władza nie przyznaje się do błędów. Za to chętnie trąbi o swoich wielkich sukcesach. Morawiecki trzykrotnie już ogłaszał zwycięstwo nad zarazą. Jeśli coś jest nie tak, to wina potęgi natury lub Tuska i opozycji. Teraz jednak wszystko zaczyna się sypać. Oczywiście polegający tylko na mediach rządowych tego się nie dowiedzą, chyba że sami wylądują w karetce, krążącej godzinami w poszukiwaniu szpitala, który przyjmie chorego. Daleko jesteśmy od miesięcy, kiedy Polacy, nawet przeciwnicy PiS, ufali ministrowi Szumowskiemu. Sam przez chwilę myślałem, że jest uczciwy i kompetentny, co za naiwność. Nic, co związane z PiS, nie może być zarazem uczciwe i kompetentne.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

JAK WROCŁAW WALCZYŁ Z EPIDEMIĄ OSPY (4)

Telefonogramy i raporty

Od początku w organizacji walki z pandemią wykorzystywano kanały informacyjne tajnych służb

Rozmawia Małgorzata
Szczepańska-Piszcz

Jest pani autorką kilku opracowań na temat epidemii czarnej ospy we Wrocławiu w 1963 r. Czy z archiwalnych dokumentów wynika, co sprawiło, że wrocławianom udało się uporać z epidemią błyskawicznie, w dwa miesiące? Wiemy, że Sztokholm potrzebował na to czterech miesięcy, a Londyn aż roku.

– Jednym z czynników sukcesu było na pewno tempo walki z pandemią, które rzeczywiście może imponować. Czarną ospę rozpoznano 15 lipca 1963 r. Zrobił to Bogumił Arendzikowski, lekarz wrocławskiego sanepidu. I choć nie brakowało sceptyków – medycy nie bardzo mu wierzyli – do akcji przystąpiono błyskawicznie. Jeszcze tego samego dnia poinformowano władze partyjne i Służbę Bezpieczeństwa. Nazajutrz rano o ospie wiedzieli już premier Józef Cyrankiewicz oraz minister zdrowia Jerzy Sztachelski. I do razu zaczęli działać. Natychmiast zapadła decyzja o rozpoczęciu ogólnopolskiej akcji „Ospa”. Zdawano sobie sprawę, że późno zdiagnozowana choroba mogła zostać roznieśiona po Polsce. We Wrocławiu szczepienia rozpoczęto już 17 lipca. W ciągu dwóch pierwszych dni zaszczepiono ok. 100 tys. wrocławian. Błyskawicznie otwarto szpital ospowy dla osób z potwierdzoną ospą oraz izolatoria, w których na 21-dniową kwarantannę umieszczano ludzi mających kontakt z chorymi. Kwarantanną obejmowano również całe obiekty: szpitale, szkołę pielęgniarzek, a nawet żłobek. A pięciodniowej domowej izolacji poddawano osoby, które tylko zetknęły się z ludźmi trafiającymi do izolatoriów. Szczepienia ruszyły także w innych województwach, najbardziej masowo na Opolszczyźnie i w Warszawie. Poza



DR GRAŻYNA TRZASKOWSKA

z Archiwum Państwowego
we Wrocławiu

Dolnym Śląskiem przygotowywano też obiekty na szpitalę ospowe i izolatoria na wypadek rozszerzenia się epidemii.

Dlaczego lekarze nie chcieli uwierzyć w diagnozę dr. Arendzikowskiego?

– Bo ospa prawdziwa uchodziła wtedy w Polsce za chorobę egzotyczną, chociaż po II wojnie światowej epidemie tej śmiertelnej choroby lub jej pojedyncze przypadki potwierdzono w kilkunastu krajach europejskich. W 1962 r. do Polski wirusa ospy prawdziwej (*variola vera*) przywieźli marynarze na statku, który zacumował w Gdańsku. Ponad 20 z nich zachorowało. Z zarazą szybko uporał się gdański Zakład Medycyny Tropikalnej, którego lekarze specjalizowali się w leczeniu tej choroby. Mimo to władze uważały, że groźba rozwoju epidemii jest znikoma. Dlatego nie podjęto wówczas żadnych kroków, by wypracować skuteczne metody jej

zwalczania. Czyli w Polsce tylko nieliczni lekarze zetknęli się z tą chorobą, widzieli choć raz, na własne oczy, jej kliniczny obraz. To był efekt braku szkoleń w kierunku leczenia czarnej ospy, dostępu do literatury fachowej, staży zagranicznych dla lekarzy itp.

Ale nawet w Gdańsku nie rozpoznali ospy u pacjenta zero – agenta wywiadu Bonifacego Jedynaka, który przywiózł ospę z Indii.

– Skupili się na malarii, na którą też chorował. I najprawdopodobniej ospa u niego nie przebiegała w charakterystyczny sposób. A może był tylko jej nosicielem? Ospa jest bardzo trudna do diagnozy. Lekarze mówią, że ilu jest pacjentów, tyle postaci tej choroby. Również dlatego diagnoza Arendzikowskiego początkowo natrafiła na tak wielkie niedowierzanie. Nie ufano nawet wynikom badań laboratoryjnych. Kluczowe dla diagnozy – jak się wydaje – okazało się powiązanie pięciorga pierwszych chorych na ospę: Bonifacego Jedynaka i salowej, która sprzątała jego szpitalną izolatkę i przekazała chorobę swojemu synowi, córce oraz swojemu lekarzowi, Stefanowi Zawadzkie.

Analizowała pani także dokumenty Służby Bezpieczeństwa. Jaką rolę odegrała podczas epidemii?

– Wpływ SB był duży. Negatywny i pozytywny. Z jednej strony, SB zadbała, żeby całkowicie utajnić informacje o pacjencie zero. Co, jak wiemy, bardzo utrudniło lekarzom rozpoznanie epidemii ospy, które – w rezultacie – nastąpiło dopiero po 46 dniach. Z drugiej strony – w organizacji walki z pandemią od początku wykorzystywano kanały informacyjne tajnych służb. Służbowymi telefonogramami bardzo sprawnie komunikowano się w dzień i w nocy. Tajne służby zajęły się nie tylko przepływem informacji między instytucjami, ale również koordynacją działań. Agenci



brali udział we wszystkich naradach koordynująco-informacyjnych, które odbywały się w dwóch pionach – służby zdrowia i władz miejskich. Ten ostatni pion zajmował się organizacją zaplecza informacyjno-administracyjnego akcji. Bo właśnie miasto koordynowało pracę różnych służb, organizowało m.in. telefony, transport. Warto wspomnieć, że na potrzeby akcji „Ospa” rekwirowano samochody należące do zakładów pracy.

Dyrektorzy nie protestowali?

– Opornych zamierzano karać w ciągu 24 godzin, prawdopodobnie grzywną. Rozważano też publikację tego faktu w prasie codziennej, ale ostatecznie z tego zrezygnowano.

Co pisali agenci w raportach?

– Nie spotkałam się z opiniami krytycznymi na temat działań służby zdrowia. Za to sporo jest informacji na temat nagannych zachowań zwykłych ludzi. Krytyki nie szczędziły także władze partyjne na swoich zebraniach. Przede wszystkim narzekały, że wrocławianie panikują. A przecież – ich zdaniem – prawdopodobieństwo zarażenia ospą było mniejsze niż prawdopodobieństwo wypadku drogowego. Mówiono, że coraz bardziej utrudnione stają się kontakty handlowe Dolnego Śląska. Bo zaopatrzeniowcy wyjeżdżający z Wrocławia są traktowani nieufnie. Ludzie boją się kontaktów nie tylko z wrocławianami, ale i z towarami pochodzącymi z Wrocławia czy okolic. Z poufnych materiałów SB możemy poza tym się dowiedzieć, że ludzie więcej piją, bo wierzą, że alkohol jest skutecznym lekarstwem na ospę. Pojawia się tam stwierdzenie, że teraz piją nawet ci,

którzy dotąd unikali alkoholu. Z milicyjnych raportów wiemy o przemycaniu wódki do izolatoriów, o burdach, jakie wywoływali pijani pacjenci. I że personel nie dawał sobie rady. Dlatego we wrocławskiej izbie wytrzeźwień przy ul. Sokolniczej pod koniec lipca zorganizowano karne izolatorium i tam przewożono, jak to określano, „osoby trudne”.

To zapewne służby stały za wyjątkowo oszczędną polityką informacyjną w mediach?

– Oczywiście. Celem informacji miało być uspokojenie ludzi. Władza bardzo bała się wybuchu paniki i konieczności wprowadzenia dotkliwych restrykcji sanitarnych. Sądono, że groziłoby to zamknięciem zakładów

Na potrzeby akcji „Ospa” rekwirowano samochody należące do zakładów pracy.

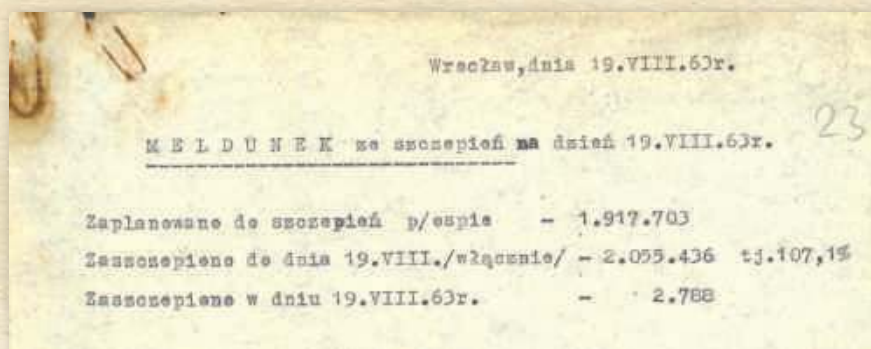
pracy, a w konsekwencji kryzysem gospodarczym. Dlatego pierwszy, niewielki komunikat o ospie we Wrocławiu ukazał się dopiero po kilku dniach od rozpoznania choroby, w lokalnym dzienniku, na ostatniej stronie. Był napisany tak małą czcionką, że można było go łatwo przeoczyć. Informował, że pięć osób zachorowało na ospę. Mijał się z prawdą. Chorzy podejrzewanych o ospę prawdziwą było wtedy już ok. 20.

Napisano jeszcze delikatniej, że stwierdzono „pięć przypadków, w których dotychczasowy przebieg nie wyklucza ospy prawdziwej”. Nie wyklucza, czyli są to tylko podejrzenia.

– Nie tylko SB czuwała nad delikatną formą informacji. Gdy wiceminister zdrowia Jan Kostrzewski przyjechał do Wrocławia i posłuchał komunikatów o możliwości wybuchu epidemii ospy nadawanych przez lokalne radio, nie krył niezadowolenia. Były one – jego zdaniem – zbyt alarmistyczne. Interweniowała partia i nakazała złagodzenie tonu. Z ostatniej, czwartej strony popularnej wówczas gazety „Słowo Polskie” na stronę drugą ospa trafiła dopiero na początku sierpnia, kiedy poinformowano o opanowaniu ogniska ospy we Wrocławiu. Natomiast na pierwszej stronie tej gazety artykuł omawiający stan epidemii, zilustrowany zdjęciem uśmiechniętej pani doktor, kierowniczkę szpitala ospowego w Szczodrem, Alicji Surowiec, którą okrzyknięto bohaterką naszych czasów, pojawił się dopiero

17 sierpnia. W zbiorach Archiwum Państwowego we Wrocławiu zachowały się fotografie z okresu epidemii ospy autorstwa reportera Mieczysława Dołęgi. Jednak nie oddają one rzeczywistego obrazu tamtych trudnych dni. Pokazują wydarzenia przez pryzmat ówczesnej propagandy. Na fotografiach ludzie są uśmiechnięci – lekarze, pielęgniarki, służby sanitarne, pacjenci izolatoriów. Na przykład izolowane kobiety, ubrane w modne podomki, dostają do jedzenia owoce. Rzeczywistość w czasie epidemii i Władysława Gomułki z pewnością tak nie wyglądała.

Walczone z ospą z dużą determinacją.



► – Władze postawiły na skuteczność. Błyskawicznie zorganizowano wiele punktów szczepień. Ograniczono do minimum przeciwwskazania. Szczepiono również kobiety w ciąży i niemowlęta. I to nawet trzy razy, jeśli po pierwszym i drugim szczepieniu nie pojawił się prawidłowy odczyn poszczepienny. Z zachowanych zdjęć wiemy, że izolatorium na Psim Polu otoczono drutem kolczastym, żeby zapobiec ucieczkom i niepożądanym odwiedzinom.

Kary za unikanie szczepienia były drakońskie: trzy miesiące aresztu lub 4,5 tys. zł grzywny, a w przypadku zachorowania i zarażenia innej osoby nawet 15 lat więzienia.

– Na pewno miały działać odstrasżająco. Bolesław Iwaszkiewicz, przewodniczący Prezydium Rady Narodowej we Wrocławiu, na jednym z partyjnych zebrań powiedział wprost, że jeśli społeczeństwo się nie podporządkuje, to poczuje „twardą pięść władzy”.

Do pilnowania chorych i izolowanych angażowano milicję.

– Generalnie milicja od początku stanowczo egzekwowała przepisy służące walce z epidemią. Ale sposób postępowania MO od początku był uregulowany zarządzeniami komendanta głównego. Milicjanci sprawdzali przepustki uprawnionych do wejścia do szpitali oraz izolatoriów. I pilnowali, żeby nikt nie uciekł. W razie potrzeby wyłapywali zbiegów. Ale mundurowym nie wolno było zbliżać się na mniej niż 10 m do chronionych obiektów. Nie mogli mieć żadnych kontaktów z przebywającymi tam ludźmi. Z dokumentów SB wynika, że milicjanci nie zawsze radzili sobie w tych nadzwyczajnych sytuacjach, dlatego po pewnym czasie ochronę obiektów ospowych powierzono jednostkom ZOMO, sądząc, że będą bardziej rygorystycznie egzekwować

porządek. Z drugiej strony zachowały się notatki opisujące agresywne zachowania wobec funkcjonariuszy, np. że ludzie przebywający w obiektach objętych kwarantanną obrzucili ich butelkami, oblali wodą. A milicjanci nie reagowali, nie byli agresywni, unikając otwartych konfliktów.

Policyjne posterunki rozstawiono też na drogach wylotowych z Wrocławia. Mundurowi pilnowali, żeby z miasta nie wyjechał żaden niezaszczepiony. Żeby wjechać, również trzeba było przyjąć szczepionkę.

A jednak nie zdecydowano się na zamykanie sklepów, kin, kawiarni, restauracji. Nie ograniczano czasu pracy zakładów produkcyjnych.

– Rygory sanitarne były ograniczone ze względów propagandowych, by nie wzbudzać nieufności. Odwołano jedynie imprezy sportowe i zamknięto baseny. Motywując to pokrętnie, że

W raportach agentów SB nie spotkałam się z opiniami krytycznymi na temat działań służby zdrowia.

moczenie w wodzie i promienie słoneczne źle działają na szczepionkę. Szkoły były nieczynne, bo wakacje. Ale mimo braku ograniczeń pracy przedsiębiorstw i działalności instytucji handlowych, usługowych czy kulturalnych wrocławianie zamknęli się w domach. Miasto opustoszało.

Jaka była atmosfera tamtych dni?

– To najlepiej widać, gdy ogląda się dokumenty miejskiej i wojewódzkiej stacji sanitarno-epidemiologicznej. Ich akta przechowywane są obecnie w Archiwum Państwowym we Wrocławiu. Najciekawsze udostępniono na naszej stronie internetowej w ramach wystawy online „Epidemie polskie...”: glam.uni.wroc.pl/index.php?s=GLAM_EPIDEMIA_CZARNEJ_OSPY_WE_WROCLAWIU_58306&view

=thumbnails&browser=seadragon. Można bez trudu zauważyć, że dokumenty były sporządzane pod presją czasu, często pisane odręcznie ołówkiem, z licznymi dopiskami. Bardzo szczegółowo, m.in. z prywatnymi telefonami i adresami lekarzy. Z archiwaliów wynika, że akcję bardzo utrudniał czas, w którym wybuchła epidemia – środek wakacji. Ludzie rozjechali się na urlopy po całej Polsce. Trzeba było ściągnąć z powrotem lekarzy i pracowników sanepidu. Od razu odwołano ich z urlopu. A ci najpotrzebniejsi dostali polecenie świadczenia pracy w godzinach nadliczbowych. Zachowało się pismo nakazujące kierownikowi Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej miasta Wrocławia, dr. Arendzikowskiemu, pracę 24 godziny na dobę, do odwołania! Nie on jeden pracował non stop. Dr Jerzy Bogdan Kos, ordynator Oddziału Chorób Zakaźnych Szpitala Rejonowego w Będkowie koło Trzebnicy, całą epidemię przemieszczał w miejscu pracy. **Kto tak naprawdę kierował walką z ospą?**

– Akcją „Ospa” oficjalnie kierował wiceminister zdrowia Jan Kostrzewski. Z całą pewnością niektóre działania, np. zakup szczepionek w ZSRR i na Węgrzech, wymagały wsparcia na szczeblu centralnym. W chwili wybuchu epidemii mieliśmy tylko 155 tys. sztuk krowianki. Co wystarczyło na

pierwsze trzy dni szczepień. Ale wiele wskazuje, że rola wiceministra Kostrzewskiego ograniczała się głównie do przyglądania się temu, co się dzieje we Wrocławiu. Pracami tak naprawdę kierowała Rada Epidemiczna z dr. Andrzejem Ochlewskim na czele. On i jego współpracownicy opracowali procedury walki z ospą. Przygotowali szczegółowe wytyczne, w tym regulaminy szpitala ospowego i izolatorium, instrukcje dla lekarzy – konsultantów i medyków. Wkrótce na podstawie ich pracy zmieniono prawo. W 1964 r. uchwalono nową ustawę o zapobieganiu i zwalczaniu chorób zakaźnych, która zastąpiła przestarzałe regulacje prawne z połowy lat 30. XX w.

Małgorzata Szczepańska-Piszczyńska
m.piszczy@tygodnikprzeglad.pl

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Wiosenne dymanko szpaków u Wielkiego Brata

Okoliczności przyrody – rzeżucha leniwie rosnąca na parapecie, zapach koperku, świerk za oknem – uspiły naszą czujność. Jedno dziecko drzemało, drugie robiło właśnie 2675. dziurkę w kolorowym papierze (dziurkaczem w kształcie króliczka). Dorośli otworzyli butelkę i zaczęli rozmawiać o polityce i nieruchomościach. Jeszcze bez emocji – jakby krzątając się w rozmowie, rozsiadając się w niej bez pośpiechu. Gospodarze donosili kawę i podawali salatek z pokrojonym w tódkę selerem naciowym i słonecznikiem. W tle głupią melodyjkę zagrał tukan ze świecącym pomarańczowo okiem. Telewizor mruknął zakolorowany – dziecko włączyło „Psi Patrol” (on rozwiąże każdą przykrą sytuację). Przez szyby wychodzące na mały ogród wpadało ciepło, ziewnęłam. Ktoś zajął kanapę przede mną i chrapnął smacznie, przytuliwszy poduszkę z jednorożcem.

Wstałam, żeby podkręcić ciśnienie, zanim odleczę jak to maleństwo, które kimało na górze. Podeszłam do okna; w ogrodzie rosła jabłonia i kilka tulipanów rozsianskich bez ładu i składu pod schodami. Pod jedną z gałęzi wisiała huśtawka. Nad nią zaś znajdowała się drewniana konstrukcja: dwa szczelnie zbite prostokątne kubiki, jeden przylegający do drugiego. Z tyłu sterczały kable, jakby w grę wchodziła technologia, elektryczność. Na dachu kubika leżała poziomo najeżona twardymi pędami gałąź.

Mieszkańcy miast chyba nie są zbyt zaskoczeni, kiedy zobaczą przedmiot z innego porządku zawieszony na drzewie: trampki, majtki, plastikowe butelki, rękawiczki kołysane podmuchami wiatru to już niemal nasza codzienność. Szybko straciłam zainteresowanie budką. Moją uwagę odciągnął cieniutki głos, który wielokrotnie powtarzał: „Zaraz wam pokażę majtki, zaraz wam pokażę majtki”. To pewnie jakieś ekstragacie – pomyślałam – może z „Psim Patrolem”, pyskiem kota albo chociaż rybką zwaną Wandą. Spojrzałam na kilkuletnią dziewczynkę, która stała przy mnie w kurtce, butach i czapce włożonej tył na przód. Mała położyła otwarte dłonie na szybie i drzwi do ogrodu rozsunały się. Wyszyliśmy na słońce, potem po schodkach w dół – z tarasu na trawnik. Tam przez chwilę mocowała się z rajtuzami i wreszcie pokazała majtki – białe zwykłe – a potem pobiegła do piasku. – Nie wolno jej wchodzić do piaskownicy bez majtek – wyjaśnił tata, który, owszem, zagadywał gości, ale to nie znaczy, że nie miał na oku maleją.

– Był tu pająk i ja się go boiłam! – zawołała. U mnie też wczoraj był pająk i też się go boiłam. Co to za pomysł, żeby komuś z głowy wyrastały nogi. Gdybym spotkała małe, czarne biodro, z którego wyrasta osiem rąk – czułabym się równie nie

na miejscu w łańcuchu pokarmowym. Strach przed pajakami to żaden atawizm, tylko przejaw zdrowego rozsądku. My z małą patrzyłyśmy w dół, szukałyśmy pajaków. Jej tata patrzył w górę.

– Całe okablowanie schowałem w tej mniejszej budce – zaczął. – Żeby nie zrobić krzywdy ptakom. We właściwej budce jest kamera, przyrząd do mierzenia smogu i oczywiście termometr. Było trochę roboty ze spawaniem – zakończył z dumą i zerknął, czy ja patrzę. Rozdziałam głowę. – Więc mamy non stop transmisję online. Domek ma już mieszkańców. A ja wiele szpaczogodzin zarejestrowanych na filmach. Jak wrócimy do pokoju, to coś ci pokażę.

W salonie panowała atmosfera lekkiego rauszu, goście rozsiadli się na pobocznych krzeselkach, drugie dziecko obudziło się i trochę płakało, słusznie obrażone na zimny, nieprzyjazny świat. Wreszcie dziewczynkom wręczono owsiane ciastka: przeskalowane, wielkości talerzy! I obie natychmiast zamiliły. Ich tata odpalił palmtopa. Na ekranie zobaczyłam maleńki, prostokątny pokój oświetlony na różowo. Czysty jak wnętrze klocka. Po prawej stronie była idealnie okrągła dziurka, przez którą wleciał szpak. Przez chwilę

jego grzbiet wyglądał jak grzbiet ryby – lśniący czarno i delikatnie nakrapiany. Potem wleciał samczyk i natychmiast spadł na samiczkę – rozpostarł skrzydła i wgniół ją w podłogę, długo szamotał się na niej: kamera pokazywała go z góry – grzbiet, skrzydła i tył głowy. Samiczka niemal znikła pod spodem. Po kilku minutach kotłowanie ptaki zastygły w absurdalnej, manierystycznej pozie: samiczka do góry nogami, z głową krzywo opartą o podłogę. Samiec – bokiem, z dziobem, na którym zakleszczyła się jej „kurza stópka”. Oba ciała podrygiwały i wyglądały, jakby trzeba je było po tym wszystkim wyrzucić.

Odsunęłam talerzyk z ciastem. I znów przypomniało mi się, jak Białoszewski opisywał straszliwą płodność chomików. A potem ten wiersz, który wstyd cytować, ale który – rok za rokiem, zawsze w pierwszym tygodniu kwietnia, wyświechtany, nadepty i niezdarty – okazuje się po prostu trafny: „Najokrutniejszy miesiąc to kwiecień. Wywodzi / Z nieżywej ziemi łodygi bzu, miesza / Pamięć i pożądanie, podnieca / Gnuśne korzenie sypiące ciepły deszcz”. Chociaż jako komentarz do przegod w ptasiej budce równie dobrze mógłby posłużyć wiersz Tadeusza Pióro „Le Pauvre Con”: „Więc nic się nie liczy tylko jakoś uczucia? / A miało być jak w baśniowym burdelu: / miękkie lądowanie wśród wonnych poduszek / lubieżny śpiew podchwytyliwych ptaków. / Światło księżycy jest jak strzęp kieliszka. / Siedzimy cicho w kątach pokoju. / Muzyka czyha na niedyskreję / pyszne jak wachlarz pawich piór (...)”.

Więc nic się nie liczy tylko jakoś uczucia?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeklad.pl

Czy czeka nas cybernetyczny gułag?

Świat popandemiczny będzie już innym światem, zupełnie różnym od tego, co było do tej pory

Radostaw S. Czarnecki

Na naszych oczach rozwiewa się jak dym paradygmat cywilizacyjny, który nas kształtował przez ostatnie dwieście lat: że jesteśmy panami stworzenia, możemy wszystko i świat należy do nas. Nadchodzą nowe czasy.

Olga Tokarczuk

Pandemia koronawirusa zamraża świat, powodując zamieszanie i kryzys, jakiego nie było od przełomu lat 20. i 30. XX w. Skutkiem tamtego kryzysu była utrata pracy przez miliony ludzi. W USA bezrobocie dotknęło jedną trzecią zatrudnionych. Z głodu zmarło ponad milion ludzi, a kilkanaście milionów błąkało się w poszukiwaniu pracy i mieszkania. Dzisiejsze perturbacje spowodowane przez pandemię przewidywało wielu uważnych obserwatorów i myślicieli. Ciągła produkcja „ludzi

zdrowia traktowanej jako jedna ze sfer rynku), państwo sprowadzono do roli nocnego stróża, co podczas pandemii COVID-19 przynosi śmiertelne efekty.

Jak mówi cytowana na wstępie Olga Tokarczuk, świat popandemiczny będzie już innym światem, zupełnie różnym od tego, co było do tej pory. COVID-19 wyostrzył jedynie problemy, wielu z nas nie chciało jednak tego widzieć. Spadek po nim, który będzie rzutował na przyszłość świata i ludzkości, można ująć następująco:

- Masowa prywatyzacja służby zdrowia, doprowadzonej do takiego stanu, że w obliczu pandemii wykazała się całkowitą niewydolnością, zostanie zarzucona. COVID-19 udowodnił, że jest to koncepcja krótkowzroczna i tragiczna w skutkach.

- Obumiera również dogmat o powszechnej komercjalizacji niemal wszelkich sfer życia. Widzimy, jak te wszystkie gadżety, wyjazdy,

- Następować będzie – teraz już jawnie i masowo – proletaryzacja tzw. klasy średniej. Wraz z nią zmieniać się będzie istota demokracji. Zdecydowanie przyspieszy zmierzch demokracji liberalnej w dotychczasowej formie. Nie wiadomo tylko, czy pójdzie to w kierunku oligarchizacji, merytokracji czy faszystycki systemu.

- Na naszą kondycję psychiczną niewątpliwie szkodliwy wpływ – i to w wielu wymiarach: pracy, edukacji, kontaktów interpersonalnych itd. – będzie miało rozszerzenie formuły online, czyli sprowadzenie życia do przestrzeni wirtualnej. To pociągnie za sobą dalszą stratyfikację i hierarchizację ludzi wedle możliwości finansowych i przynależności do elity oraz dostępu do wysokiej jakości edukacji, a tym samym i wiedzy. Wąska, superbogata elita będzie mogła kształcić dzieci zgodnie ze sprawdzonymi dotychczas metodami. Dla reszty dostępna będzie podstawowa edukacja na niskim poziomie i online. To – oprócz dostępu do wysokiej jakości usług medycznych – będzie sprzyjać tworzeniu nowego gatunku człowieka.

- Izolacje i kwarantanny na masową skalę pozwoliły rządowi (nie tylko niedemokratycznym) wypróbować metody cybernetycznego nadzoru nad społeczeństwem. Przyszłość jawi się jako stan różnorodnej, wielowarstwowej kontroli społeczeństw (cybernetyczny gułag).

- Redukcja miejsc pracy (robotyzacja to dalsze obniżenie kosztów pracy) stworzy nowe zagrożenia społeczne o niespotykanej do tej pory skali. „Koniec pracy”, jak wieszczili m.in. Rifkin, Thunrow czy Postman, diametralnie zmieni dotychczasowe społeczeństwa. Kulturę pracy zastąpi kultura

Wielu specjalistów przewiduje, że w skali świata strefa nędzy rozszerzy się nawet o kolejny miliard ludzi.

zbędnych” – jak wielokrotnie pisał Zygmunt Bauman – narastające różnice w dochodach i bogactwie oraz problemy klimatyczne rzutujące bezpośrednio na kryzys migracyjny w wielu częściach świata bezwzględnie świadczyły o nadciągającej zmianie i resecie światowej polityki. Widzimy, jak koronawirus, będący w zasadzie zefirkim wobec problemów trapiących współczesny świat, powala gigantycznego mamuta, który jest chory, osłabiony i nie bardzo przystaje do dzisiejszego życia. Przez ostatnie 40 lat królowała reaganowska doktryna totalnej prywatyzacji wszystkiego (także służby

impresy, reklamy itd. w jednej chwili przestają mieć znaczenie. Tym samym kruszy się propagowana i reklamowana medialnie disneylandyzacja życia i makdonaldyzacja przestrzeni publicznej.

- Długotrwałe i powtarzające się lockdowny, pozbawianie pracowników najemnych stałych dochodów, związane z tym masowe bezrobocie doprowadzi do rozszerzenia się obszarów nędzy i wykluczenia. Wielu specjalistów przewiduje, że w skali świata strefa nędzy rozszerzy się o kolejne pół miliarda czy nawet miliard ludzi.

czasu wolnego. Jak to wpłynie na człowieka, skoro wiemy, że praca ma znaczenie nie tylko dochodowe, ale i socjalizujące, rozwijające, kreatywne?

- Pandemia w dłuższej perspektywie zada też najprawdopodobniej cios wielkim skupiskom ludzi. Do tej pory były to wielomilionowe metropolie, w których życie jest nie do zniesienia. Długotrwałe dystansowanie się człowieka od człowieka, spowodowane strachem przed chorobą, przed zarażeniem i śmiercią, w historii Europy miało zawsze szkodliwe społecznie skutki. Wystarczy wspomnieć efekty „czarnej śmierci” (dżumy) w XIV w.

- Obecna pandemia może ostatecznie zmateralizować organizację i stratyfikację ludzkości według myśli Johana Galtunga (opartej na teorii i badaniach ekonomisty Vilfreda Pareta): ludzkość stanie się populacją 20:80. Oczywiście o ile my, pojedynczy ludzie, nie wykazemy się ostrożnością, dystansem do sprzecznych informacji dochodzących z różnych stron (zwłaszcza z kręgów władzy). Nie może nam zabraknąć racjonalności i sceptycyzmu, oddolnej samoorganizacji, a przede wszystkim zdecydowanych protestów wobec prób cofnięcia zdobyczy postępu w najszerzej rozumianych zagadnieniach społecznych. Postęp i ewolucja też mają zakręty. W historii zdarzało się to wielokrotnie. Gdy tak się stanie, owe górne 20% populacji zapewni sobie odpowiednią jakość życia. Będzie tworzyć towary i dobra – dla siebie – zapewniające odpowiednie dochody i konsumpcję, propagując nowe idee. Życie tej warstwy stanie się prawdziwie ludzkim. Ba, tworząc (z racji dostępu do coraz droższych osiągnięć rozwoju najszerzej pojętej medycyny i edukacji) całkiem „nowego człowieka”, długowiecznego, odpornego na wirusy i choroby, zupełnie odseparuje się od pozostałej 80-procentowej masy.

Ten model dotyczyć będzie zarówno całego świata, jak i poszczególnych krajów. Dolne 80% społeczeństw stanie zaś przed zasadniczym dla swojego bytu dylematem – jeść czy być jedzonym.

Jaka lewica

Żadne środowisko nie zrobiło dla lewicy tyle, co redakcja PRZEGLĄDU. Mam na myśli wiele publikacji, które mogły stać się punktem wyjścia do szerszej dyskusji, np. teksty prof. Bronisława Łagowskiego, a także publikacje innych luminarzy naszej humanistyki oraz wywiady z nimi. Bardzo bliska jest mi idea prof. Łagowskiego zbudowania po lewej stronie czegoś nowego, partii uprawiającej politykę motywowaną filozofią realizmu politycznego.

Boli mnie sytuacja na lewicy. Mamy grupę tzw. liderów, ludzi słabo zorientowanych w świecie, a poziom narracji sięga dna. Problemem jest idea zjednoczenia z Wiosną. Być może na górze wygląda to niezwykle obiecująco: Czarzasty, Biedroń i może jeszcze Zandberg. Aparaty można zjednoczyć, ale nigdy nie połączymy elektoratów. Na dole ci z Wiosny uzurpują sobie prawo do przejęcia naszych struktur, wyeliminowania starych działaczy. To rodzi wzajemną wrogość, która prowadzi do przyspieszonego rozkładu.

SLD jest formacją wymierającą. Z zebrania na zebranie zmniejsza się liczba członków – starzy umierają, a nowych ta forma działania nie interesuje. Czy zatem jesteśmy skazani na śmierć polityczną? Nie tylko według liderów, ale i w opinii większości członków – tak. Oni widzą naszą przyszłość jedynie w zjednoczeniu z Wiosną, która ma dać nam świeżość. Ale tak się nie stanie, bo nie można stworzyć czegoś nowego przez zjednoczenie partii stetryczających weteranów wspominających lata dawnej chwały z infantylną młodzieżą postrzegającą świat w kategoriach bipolarnego podziału lewica-prawica. Czy zatem można w tej sytuacji wypracować jakąś sensowną koncepcję nowej formuły lewicy? Rozwiązaniem według mnie może być idea zorganizowania się mniejszości SLD we frakcję wewnętrzną. Frakcję, dla której lewicowość oznacza specyficzne rozumienie swojej roli w konkretnych warunkach historycznych, dysponującą własnym ośrodkiem myśli społeczno-politycznej, obudowaną klubami, fundacjami. Polska potrzebuje dziś czegoś nowego po lewej stronie. Potrzebuje organizacji, w której przynależność do elity jest wyznacznikiem zdolności do niezależnego myślenia, odwagi w głoszeniu poglądów, a nade wszystko woli walki o wprowadzenie partii do głównego nurtu jako jednej z dwóch opcji pierwszego wyboru.

*Stanisław Tadeusz Niemiec,
Powiatowo-Miejska Organizacja SLD (Mniejszość) w Tarnowie*

Z wielkim żalem i smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

Izabelli Sierakowskiej

Żegnamy szlachetną i wierną swoim przekonaniom posłankę na Sejm, wrażliwą na ludzkie potrzeby działaczkę społeczną, związkową i samorządową, bojowniczkę o prawa kobiet i równe szanse dla wszystkich.
Odeszła wielka dama lewicy i polskiej polityki, mądra, dobra, piękna i odważna kobieta. Na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

**Pograżonej w żalobie Rodzinie,
Przyjaciółom i Bliskim**
składał szczere wyrazy współczucia.

Leszek Miller

Rozmawia Artur Zaborski

Tytuł każdej książki z serii poświęconej Saszy Załuskiej zawiera odniesienie do żywiołu. Dlaczego?

– Ma to związek z chińską filozofią. Każdy żywioł nawiązywał nie tylko do zagadki i kryminalistycznych działań policjantów, ale też do przestrzeni zmysłowej. Chińczycy wierzą, że po przejściu traumy – a tak było w przypadku Saszy – trzeba przejść również przez cztery żywioły, aby się odrodzić. Pamiętam moment po napisaniu „Okularnika”, czyli drugiego tomu serii, kiedy pojechałam pociągiem na spotkanie autorskie do Łodzi. Wysiadłam na dworcu i zauważyłam spadające z nieba czarne płaty. Wyglądały jak śnieg z „Krainy Łodu”, tyle że były czarne.

Co to było?

– Zapytałam o to kierowcę taksówki, a on niewzruszony odpowiedział, że fabryka klejów i lakierów na Dąbrówce się zhajcowała i coś takiego pada od trzech dni. „Jak to się zhajcowała?!”. A taksówkarz: „Normalnie, cały czas się pali”. Dojechalismy do ulicy Tuwima. Stoi tam monumentalna, cudowna kamienica – wtedy była cała czarna po pożarze. Kierowca spojrzał na mnie i powiedział: „Jak panią te pożary tak interesują, to ja mam tutaj za róg rękaw strażacki, bo cały czas coś gaszą, cały czas coś się pali”. Myślę sobie: „Boże, co tu się w ogóle dzieje?”. Taksówkarz zaczął mi opowiadać, że jest to taka łódzka tradycja, o której już Reymont pisał w „Ziemi obiecanej”: jeżeli nie możesz poradzić sobie z prowadzeniem biznesu, spal go, a ubezpieczalnia zapłaci. To taki rodzaj lokalnego kolorytu.

I pani już pewnie wiedziała, że to świetny wątek do książki.

– Dojechałam do empiku na spotkanie autorskie, a były to czasy, kiedy przychodziły na nie tłumy. Poruszyłam temat opadów z mieszkańcami, zapytałam, co się w tej Łodzi dzieje. Mimo że na miejsce akcji serii zaplanowałam zupełnie inny region – chciałam osadzić ją na Podkarpaciu – i miała to być zupełnie inna historia, w tamtej chwili zdecydowałam się na zmianę. I stąd mamy trzeci tom serii „Cztery żywioły”, czyli „Lampiony”, ogień.

Pisanie jest nałogiem

Jest taka łódzka tradycja, o której Reymont pisał w „Ziemi obiecanej”: jeśli nie radzisz sobie z prowadzeniem biznesu, spal go, a ubezpieczalnia zapłaci



KATARZYNA BONDA

– najpopularniejsza autorka powieści kryminalnych w Polsce. Na podstawie jej „Lampionów” powstał serial „Żywioły Saszy”, który można oglądać w Playerze

Zawsze pani tak reaguje na sygnały od rzeczywistości?

– Wychodzę z założenia, że kiedy osadza się fabułę blisko realnego świata, a ja swoją osadzam zawsze w istniejących miejscach, to warto szukać elementów łączących fikcję z tym prawdziwym światem. Nad książką pracowało mi się bardzo dobrze. Pożary, które wydarzają się w „Lampionach”, zagadka, którą rozwiązuje Sasza, podpalacz i masa innych ludzi, łącznie z deweloperami,

Historie zawsze biorą się z nadmiaru emocji i potrzeby ich przepracowania.

którzy mają tam swoje interesy, są zahaczeni w łódzkiej rzeczywistości. Poza tym szczerze przyznaję, że zawsze chciałam coś podpalić, a taka książka mi na to pozwoliła.

Zhajcowała pani coś w Łodzi?

– Nigdy bym się nie odważyła, bo bałabym się, że mogę komuś zrobić krzywdę. Na szczęście pisarz dysponuje mocą fabuły i wyobraźni. A przy okazji może opowiedzieć szerszą historię.

Karty powieści stają się substytutem tych emocji i pragnień, na które nie do końca może sobie pani pozwolić w prawdziwym życiu?

– Jak najbardziej! Myślę, że sprawa wygląda tak samo u wszystkich pisarzy, nie tylko twórców powieści kryminalnych – w gruncie rzeczy historie zawsze biorą się z nadmiaru emocji i potrzeby ich przepracowania. Jest to oczywiście podświadomy proces, w związku z tym nie chodzi o to, że chciałam teraz kupić kanister benzyny i dokonać eksplozji lub stworzyć koktajl Mołotowa. Ale w momencie, w którym zapisuję historię, następuje we mnie pewne oczyszczenie z emocji. Wielokrotnie sama nie zdawałam sobie z tego sprawy i dochodziłam do takiego wniosku po wielu latach, np. czytając fragmenty swoich powieści na spotkaniach autorskich. Uświadamiam sobie wówczas, na jakim etapie życia byłam podczas ich pisanie i ile te książki o mnie mówią.

Czy w ten sposób nie obnaża się pani przed czytelnikami?

– To bardzo bezpieczne, bo nie mówię tego wprost, nie są to bezpośrednie historie o mnie, jedynie

zasilałam je swoimi emocjami. Dotyczy to nie tylko niskich odczuć, takich jak nienawiść, wściekłość, gniew, czyli wszystkich elementów związanych ze sprawcą. Emocje uwydatniają się przede wszystkim w głównym bohaterze, czyli w naszym wojowniku o dobro. Podążając za fabułą, sama mam okazję się wzmocnić. Przeżyć te przygody i wyjść z nich cało. Dlatego jest to tak oczyszczające i dlatego pisanie jest nałogiem. Kiedy napiszesz jedną książkę, piszesz kolejną, chcesz przeżyć to jeszcze raz. I za każdym razem wygrasz, zło zostaje ujawnione, nawet jeśli sprawca nie dostaje kary, na którą zasłużył.

Czy kryminał nie polega właśnie na tym, żeby ujarzmić zło, pokonać je?

– Czasy takich kryminałów już minęły. U Agathy Christie mieliśmy jednego antybohatera, którego koniec końców aresztowano i tym samym eliminowano zło. W dzisiejszych czasach powieść kryminalna przypomina stopniowe spuszczenie powietrza. Balans zostaje jednak przywrócony, ponieważ samo ujawnienie zbrodni, ukazywanie niegodziwości i winy człowieka stanowi *katharsis* nie tylko dla czytelnika, ale i dla autora.

Czyli żeby oczyścić się z emocji, najlepiej chwycić za pióro?

– Trochę przed tym przestrzegam, bo trzeba mieć wielki dar, żeby móc pisać o sobie. Robiąc to, cały czas piszemy jedną i tę samą książkę. Natomiast gdy sami wymyślamy i stwarzamy na nowo fikcyjnych bohaterów, staje się to zabawą i gimnastyką

Mam swój udział w rynku wydawniczym już od 17 lat i wiele widziałam.

umysłową. Zasilanie emocjami między wierszami jest dla nas paliwem, terapią. I jest to bezpieczne. Jeśli spojrzysz na życiorysy większości pisarzy i innych ludzi opowiadających historie, zauważysz pan, że biorą się one z kryzysów, które dany człowiek przeżył. Zawsze znajdzie pan element i moment, który skłonił kogoś do podjęcia decyzji, że właśnie o tym napisze. Żeby coś stworzyć, trzeba w samym sobie znaleźć odwagę. Dlatego ludzie często obnoszą się ze swoimi debiutami – mają

świadomość, że jest to bardzo ekshibicjonistyczne przeżycie. Wiedzą, że wszyscy zaraz odkryją, co czuje autor. To tak jakby wyłożył pan wszystkie swoje emocje, myśli, serce i duszę na stół. Wtedy każdy może je obejrzeć, mało tego, każdy może je skrytykować. I ma do tego prawo.

Jak pani sobie radzi z tymi konfrontacjami i krytyką?

– To do tej pory jest trudne, z tego się nie wyrasta. Za każdym razem, kiedy piszę książkę, bliscy mi ludzie wiedzą, które z fabularnych elementów są tymi rzeczywistymi. Prawda przewija się między wierszami. Dla obcego czytelnika, który zna mnie tylko ze spotkań autorskich czy wywiadów, jest to trudniejsze do przeświadczenia. Wierzę jednak, że jeśli ktoś lubi czytać moje opowieści, to nie chodzi mu tylko o zainwestowanie kilkudziesięciu złotych, ale bardziej o poświęcony mi czas. Bardzo intymny – opowiadam historię na ucho, bez świadków. Jest inaczej niż w przypadku serialu czy sztuki teatralnej, tam mamy publiczność. A tutaj jestem ja i pan, jak na randce. Dlatego wierzę w istnienie intymnej więzi między czytelnikiem a autorem. I dlatego ludzie przyzwyczajają się do sposobu zapisu konkretnego twórcy, jednego lubią, innych nie.

Idąc tym tropem, można zaryzykować stwierdzenie, że jeśli ktoś nie lubi pani pisanie, to nie polubiłby i pani...

– Bardzo możliwe, że jeśli ktoś nie lubi moich książek, jeżeli go nudzą lub denerwuje go główna bohaterka, to tak samo stałoby się podczas rzeczywistego spotkania ze mną. Jest to niesamowite zjawisko, które działa w obie strony. Mam swój udział w rynku wydawniczym

już od 17 lat i wiele widziałam, wiele razy zmieniałam sposób zapisu i postrzeganie fabuły, a wraz ze mną urosli czytelnicy. Dźwigali oni wszystkie moje literackie eksperymenty, co wytworzyło między nami więź. Dlatego darzę ich ogromnym szacunkiem i zawsze powtarzam, że jestem, ponieważ są i oni. Nie ukrywam, że nie chciałabym pisać dla trzech osób i pozostać niezrozumianą. Wręcz przeciwnie, jestem dumna z tego, że na podstawie moich powieści „Żywioty Saszy” powstał serial dla ▶

► Playera, że są one tłumaczone na obce języki. Że proponuję ludziom zupełnie inne podejście do gatunku, tak jakbym mówiła, że mam dla nich niespodziankę, a oni się z tego cieszą. To tak, jakbym tworzyła swój własny świat. Z natury jestem nieśmiałą osobą, książki piszę w domu przy małym komputerku, ale moment, w którym powieść staje się publicznie dostępną, jest dla mnie najpiękniejszy.

Nawet gdy trafiają się malkontenci?

– Po tylu latach nauczyłam się wyciągać wnioski z krytyki, z nieprzychylnych słów, ponieważ są one prawdziwe. W rodzinie ma pan ludzi, którzy kochają i będą pana akceptować zawsze. Dlatego rzadko kiedy powiedzą: zrób to inaczej, zmień to. Jeżeli kobieta kocha mężczyznę, będzie znosić jego wąsy, nawet jeśli ich nie lubi. Natomiast wróg nie przepuści okazji, żeby nam dopiec. Należy umieć odczytać to w taki sposób, żeby krytyka stanowiła dla nas lekcję. Ja się tego nauczyłam i jestem za to bardzo wdzięczna. Czasami robię sobie sesje czytania negatywnych opinii na temat moich książek – zaglądam tam, gdzie dostały mało punktów. To jak wchodzenie na ring.

Brzmi jak masochizm.

– Raczej działanie wywiadowcze...
...do którego trzeba mieć twardą skórę. Opinie, zwłaszcza internautów, bywają okrutne.

– Sprzedając miliony egzemplarzy książek, trzeba liczyć się z tym, że na 3 mln zadowolonych odbiorców przypadnie 1 mln niezadowolonych.

**Cały czas mam wrażenie, jakbym była na wojnie.
I to poczucie każe mi być czujną.**

Wielu ludzi po prostu lubi krytykować. Są wściekli i jest to zupełnie naturalne. Krytyka często wynika z faktu, że sami chcieliby coś zrobić, ale z pewnych przyczyn nie mogli. Przez te 17 lat widziałam na rynku wiele przetasowań. Wielu ludzi, których mogłabym nazwać moimi hejterami, dawno już na nim nie ma. W sieci nic nie ginie, a ja od zawsze miałam zainstalowany monitoring mediów – zawsze wiedziałam, kto, co i gdzie na mój temat napisał. Śledziłam komentarze na Facebooku, Twitterze. Byłabym głupia, gdybym tego nie

robiła, bo trzeba wiedzieć, jak jest się odbieranym. Chociażby po to, żeby nie bratać się z wrogami. To trochę taka sztuka wojny. Po kilku latach ktoś, kto wcześniej mnie krytykował, może przyjść i udawać przyjaciela. Słowa się zmieniają. Taka osoba udaje, że nie pamięta wcześniejszych, złych, a może po prostu nie miały one dla niej znaczenia. Czasami w życiu tych

Wraz ze mną urosli czytelnicy. Dźwigali wszystkie moje literackie eksperymenty.

ludzi nastąpił pewien proces i faktycznie się zmienili, a wraz z nimi ich narracja. Wcześniej mogli nie być gotowi na moją opowieść, na przyswojenie pewnych danych.

A być może przez te 17 lat zmienił się kontekst pani literatury?

Na początku była pani jedną z nielicznych kobiet, które osiągały sukcesy na rynku wydawniczym, miały własny styl i szły pod prąd tendencji. W ciągu lat dołączyły do pani kolejne autorki, razem oswoiłyście ludzi z kryminałem pisany przez kobiety.

– Jeśli ktoś idzie jako pierwszy, bierze maczetę i zaczyna karczować puszcę, to musi mieć na uwadze, że droga będzie niebezpieczna. Następnym osobom będzie już łatwiej. Moja twórczość kiedyś bulwersowała. W czasach, w których zaczynałam, nawet moje godzenie się na rozmowy w telewizji śniadaniowej było oburzające. Pamiętam, że udzieliłam wywiadu do „Playboya”, zawsze to pismo lubiłam i szanowałam. Na Zachodzie, w Stanach Zjednoczonych, było to wówczas jedno z niewielu czasopism, w których autorzy mogli publikować swoje opowiadania. Udzieliłam wywiadu o mojej twórczości, fabułach, postrzeganiu świata i spotkałam się z olbrzymią falą hejtu, bo według wielu osób pozwoliłam potraktować się przedmiotowo, co nie przystoi pisarce. Nigdy tego nie rozumiałam! Takie sytuacje zdarzają się cały czas, ale podejście się zmienia. Teraz spotykamy się online, rzeczywistość nas zaskakuje, a świat zmienia się i będzie się zmieniał nadal. Dlatego wydaje mi się, że jedyna słuszną drogą to robienie tego, w co się wierzy, co chce się robić. Po latach zauważyłam, że im

bardziej nas krytykują, tym bardziej powinniśmy się cieszyć.

Dlaczego?

– Bo to oznacza, że zostaliśmy zauważeni, że pobudziliśmy ludzkie emocje. Oczywiście nie wolno przy tym zapominać o pokorze. Kiedy odradzał się polski kryminał, kiedy wchodziliśmy na rynek, a w Krakowie odbywał się Międzynarodowy Festiwal Kryminału, który też raz zagościł we Wrocławiu, polskich autorów można było policzyć na palcach obu rąk. Takich, którzy wydawali książki,

a ludzie je czytali. Dzisiaj to tysiące tytułów rocznie. Ten rozwój jest nadzwyczajny i piękny, każdy nowy autor zmienia i kształtuje gatunek. Teraz sztuką jest przetrwanie na tym rynku. Umiejętność zaskakiwania czytelnika, proponowania mu nowych, interesujących rzeczy, mimo ogromnej konkurencji. Jestem bardzo zadowolona, że czytelnicy o mnie nie zapomnieli.

Jak by mogli, skoro tak długo dzierży pani palmę pierwszeństwa!

– Wywyższanie się byłoby egotycznym myśleniem osoby, która nie rozumie rzeczywistości. Moje książki są grube, wielowątkowe, co od początku budziło kontrowersje, bo taki styl wymaga od czytelnika dużej uwagi. Dzisiaj słyszę, że jest to wyrafinowany zapis, ale kiedy zaczynałam, moje powieści uchodziły za popularne i rozrywkowe. Paradoksalnie elementy szczególnie krytykowane przez polskich odbiorców – obyczajowość, dokładne opisy łódzkich uliczek, portretowanie miasta – stanowiły podstawę mojego zagranicznego sukcesu. Lokalność i psychologia w moich książkach, konteksty, wielowymiarowość, m.in. w postaci żywiołów, to wszystko bardzo się podobało. Jeśli autor wierzy w swoje dzieło, pracę stara się wykonywać sumiennie, a woda sodowa nie uderza do głowy, to może się udać. Ja nieustannie czuję na plecach oddech nowych, genialnych, oryginalnych autorów, którzy lepiej niż ja rozumieją współczesne media społecznościowe, są w stanie przekazać coś prostszym językiem, dotrzeć do młodego czytelnika. Cały czas mam wrażenie, jakbym była na wojnie. I to poczucie każe mi być czujną, nie zasypiać, działać, rozglądać się. I za to jestem wdzięczna!

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

NA EKRANACH

Jarosław Maślanek

Liczby ostatnie

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021

Dystopia ekologiczna, w której cywilizacja ustępuje przyrodzie, to zaskakująco aktualna książka, choć autor skończył ją pisać jeszcze przed obecną zarazą. Ale zanim tajemnicze rośliny opanują domy, mieszkania i ulice, świat zacznie upadać z powodu napięć polityczno-społecznych. Tak jak w naszej rzeczywistości górę weźmie nie tylko zbuntowana natura, ale także nienawiść, toksyczne relacje i podziały. Świat czwórki bohaterów szybko stanie się obcą, nieprzyjazną przestrzenią, gdzie rządzi podłość i przemoc. Powieść Maślanek kojarzy się z „Czarnym słońcem”

Jakuba Żulczyka, ale finał przywodzi na myśl „Jądro ciemności” Josepha Conrada. „Liczby ostatnie” łączy apokaliptyczną wizję z tęsknotą za światem wartości, gdzie przyjaźń i miłość są ostoją życia, a nie propagandową frazą. Dobrze napisana dystopia musi przerażać możliwością spełnienia, ta z prozy Maślanek wydaje się aż nadto bliska. Jeśli porządna literatura ma budzić z letargu i być solą na świeżą ranę, to Maślanek z pewnością jest pierwszorzędny twórcą.

Rafał Piłkuła

Ireneusz Iwański

Prawdziwa historia Bursztynowej Komnaty i Ericha Kocho

Wydawnictwo Butterfly, Olsztyn 2020

Co prawda, gauleiter NSDAP Erich Koch, nadprezydent Prus Wschodnich, był zbrodniarzem wojennym, skazanym przez polski sąd na karę śmierci, ale w najnowszej bibliografii nieodłącznie kojarzy się z Bursztynową Komnatą. Po raz kolejny te powiązania wykorzystał Ireneusz Iwański, który tym tematem zajmował się jeszcze przed transformacją ustrojową, jako dziennikarz radiowy w Olsztynie. W pobliskim Barczewie osadzony był Koch, który ze względu na chorobę nie doczekał wykonania wyroku, a po raz ostatni całą Bursztynową Komnatę, dar króla pruskiego dla cara Piotra I,

widziano w nieodległym Kaliningradzie/Königsbergu/Królewcu. Tam właśnie przewieźli ją hitlerowcy w 1941 r. z Carskiego Sioła, ale do dziś nie wiadomo, co się z nią stało później. Została zniszczona podczas bombardowania miasta, wywieziona do Niemiec czy zakopana w podziemiach jakiegoś zamku na Warmii i Mazurach? Atutem książki Iwańskiego jest przytoczenie faktów i nieznanych dotąd dokumentów, które może nie obalają licznych hipotez na ten temat, ale je ograniczają i systematyzują. Przy czym nadal jest to lektura fascynująca.

Marek Książek

SKŁODOWSKA

reż. Marjane Satrapi, prod. Wielka Brytania, dostępny w serwisach VoD

Marjane Satrapi, autorka kultowego „Persepolis”, patrzy na Marię Skłodowską-Curie (gra ją przekonująco Rosamund Pike) ze zrozumieniem i podziwem. Analogie między ich biografiami można mnożyć: polska noblistka w XIX-wiecznej Francji czuła się przecież tak jak Persjanki w porewolucyjnym Iranie, gdy mężczyźni nieustannie umniejszali ich rolę, pogardzali osiągnięciami i nakładali kolejne szklane sufity. Film wiarygodnie odmalowuje realia epoki, nie żle radzi sobie także z uchwyceniem kondycji społeczeństwa podzielonego na tradycjonalistów i emancypantki walczące o lepsze jutro. Skłodowska nie opowiada się jednak po żadnej ze stron – idzie swoją drogą, w całości oddaje się nauce, przekonana, że w ten sposób najlepiej przysłuży się potomnym. Ale Satrapi przypomina, że jej odkrycia miały też negatywne skutki. Kiedy jednak przerywa opowieść futurystycznymi wstawkami z II wojny światowej, by pokazać, do czego wykorzystywano rad i polon w walce, film staje się nieznośnie dosłowny.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

APOTEOZA KRAKSY

Brytyjski autor Ballard stwierdził, że kraksa to metafora życia w społeczeństwie. Natalia Korczakowska rozbiera to pojęcie na czynniki pierwsze, ale nie rezygnuje z dosłowności. Przy okazji rozbiera do naga dwóch aktorów. Wypadek samochodowy przynosi śmierć albo ciężkie urazy, rany i blizny.



Są również kontuzje psychiczne, katastrofy psychiczne wynikające ze zderzenia pojazdów. W szpitalnej malignie ukazują się ofiarom różne osoby, nawet tak znane jak królowa Elżbieta II czy gwiazda filmu Liz Taylor. Ale najlepsza w przedstawieniu jest parodia treningu piłkarskiego, w którym występują

wyłącznie zawodnicy z numerem 1. I mówią do siebie językiem szczególnie wyrafinowanej empatii.

Bronisław Tumilowicz

„Krasa”, adaptacja sceniczna powieści „Krasa” J.G. Ballarda, reżyseria Natalia Korczakowska, Teatr Studio w Warszawie, premiera 12 marca 2021

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz



1

ZDJĘCIE ROKU WORLD PRESS PHOTO

Do 64. edycji konkursu World Press Photo ponad 4,3 tys. zawodowych fotografów zgłosiło łącznie przeszło 74 tys. zdjęć. Z tej puli niezależne jury złożone z ekspertów z całego świata wyselekcjonowało materiały, z których wybierze najlepsze fotografie roku 2020.

Do zdjęcia roku nominowano sześć fotografii, których autorzy wykazali się wyjątkowymi umiejętnościami wizualnymi, przedstawiając wydarzenie lub kwestię o dużym znaczeniu dziennikarskim. Wyniki zostaną ogłoszone 15 kwietnia.



4



5



2



3

1. Luis Tato, Hiszpania, dla „The Washington Post”. Zwalczenie inwazji szarańczy w Afryce Wschodniej.
2. Mads Nissen, Dania, Politiken/Panos Pictures. Pierwszy uścisk – pielęgniarka Adriana Silva da Costa Souza z seniorką Rosą Luzią Lunardi w domu opieki Viva Bem w São Paulo.
3. Oleg Ponomarev, Rosja, Ignat, transpłciowy mężczyzna, ze swoją dziewczyną Marią, Sankt Petersburg.
4. Lorenzo Tugnoli, Włochy, Contrasto dla „The Washington Post”. Po eksplozji w porcie w Bejrucie 4 sierpnia 2020 r.
5. Valery Melnikov, Rosja, Sputnik. Azat Geworkian z żoną Anaik jak wielu Ormian musieli zostawić dom i opuścić tereny, które miały wrócić pod kontrolę Azerbejdżanu po drugiej wojnie o Górski Karabach.
6. Evelyn Hockstein, Stany Zjednoczone, dla „The Washington Post”. Dyskusja o usunięciu pomnika wyzwolenia niewolników w waszyngtońskim Lincoln Park.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



6

Ile stresu jest w alergii?

Przynajmniej jedna czwarta wszystkich reakcji alergicznych powstaje przy udziale negatywnych emocji



Ewa Kempisty-Jeznach

W mojej długoletniej pracy przekonuję się często, że alergia jest chorobą reakcji ciała i duszy. Joga, medytacje i hipnoza mogą pomóc alergikom. To nie żart. Naukowcy twierdzą, że w niektórych przypadkach skóra jest wentylem, przez który wypuszczamy emocje duszy. I mają na to dowody... Sama znam historię kilku moich pacjentów, których choroby stanowią potwierdzenie tej tezy.

Jednym z nich był Michał, maturzysta. Kilka dni przed egzaminem dostrzegł na skórze swędzącą wysypkę w postaci pęcherzy. Podobne zmiany miał przed rokiem, po tym, jak odeszła od niego dziewczyna. Lekarz rodzinny rozpoznał pokrzywkę alergiczną. Zapisał mu lek przeciwalergiczny, ale po zażyciu tabletki wieczorem siedemnastolatek nie mógł rano wstać. Czuł się zmęczony i nie był w stanie skoncentrować się na pierwszej lekcji. W trakcie leczenia Michał zauważył wyraźny związek stresu ze zmianami na skórze. Kiedy zapytał lekarza, czy to alergia, czy nerwica, usłyszał, że i jedno, i drugie. Z początku myślał, że lekarz odpowiedział tak z braku pewności co do diagnozy. Kiedy jednak trafił do psychologa i oprócz zażywania leków na alergię odbywał regularne sesje psychoterapii, doszedł do wniosku,

że lekarz miał rację. W przypadku jego alergii dużą rolę odgrywała psychika. Miewał krótkotrwałe ataki tzw. pokrzywki alergicznej. Zdarzało się, że ni stąd, ni zowąd wyskakiwały na jego skórze czerwone bąble, które po kilkunastu minutach zniknęły jak gdyby nigdy nic. Niestety, zmianom skórny towarzyszył silny świąd, a drapanie prowadziło do powstawania czerwonych obrzękniętych śladów po zadrapaniach.

Wytłumaczyłam Michałowi, że to tzw. pokrzywka nerwicowa (*Urticaria nervosa*), a nie alergiczna. Miałam wielu pacjentów latami leczących się

Alergia jest chorobą reakcji ciała i duszy.

u dermatologów z powodu pokrzywki alergicznej, która na końcu okazała się pokrzywką nerwicową. Jak odróżnić jedną od drugiej? Pokrzywka alergiczna trwa parę dni i nie schodzi bez leczenia w przeciwieństwie do pokrzywki nerwicowej, która trwa relatywnie krótko – maksymalnie do pół godziny – i znika bez konieczności zażywania leków.

Krzysztof już podczas pierwszej wizyty z zawadiackim uśmiechem poinformował mnie, że zdobył pracę marzeń. Młody geodeta zdecydowanie częściej przebywa na świeżym powietrzu niż w ciasnym biurze.

Podczas pracy ma stały kontakt z naturą, a szczególnie z różnorodnymi drzewami i trawami.

– Czuję, jak koktajle z pyłków owoców wokół mnie, powodując katar sienny i zaczerwienienie, łzawienie oczu. Jestem uczulony wiosną na pyłki drzew, a w lecie na trawę i zboża – stwierdził już mniej radośnie. Po latach obserwacji był pewien, że jego alergiczny katar sienny oraz chrypka nasilają się podczas stresu w pracy. W trakcie spotkań korporacyjnych przed każdą prezentacją pomiarów czuł się podenerwowany, męczyła go chrypka i napady suchego kaszlu. Dodatkowo cierpiał na tzw. hiperwentylację, czyli przyspieszenie oddechu, któremu

mogą towarzyszyć zawroty głowy i uczucie paniki. W celu zminimalizowania utrudniających życie objawów zawsze przed wystąpieniem stosował spray rozszerzający drogi oddechowe, a dzień wcześniej brał tabletkę na uspokojenie. – To mi pomaga – twierdził z przekonaniem. Wiedziałam, że postępuje rozsądnie. Spray ułatwiał mu oddychanie, a lek pozwalał się wyciszyć.

Opisane przeze mnie przypadki nie stanowią wyjątków. Nowe badania pokazują, że na atopowe zapalenie skóry, alergiczną astmę z atakami kaszlu i przewlekłą chrypka, a także

hiperwentylację ogromny wpływ mają procesy psychiczne. Eksperci twierdzą, że u pacjentów cierpiących na alergię ta choroba przebiega znacznie ostrzej podczas sytuacji stresowych.

Dla wielu lekarzy znaczenie psychiki w chorobach alergicznych jest jednak nadal kwestią sporną. Według nich obecny poziom wiedzy medycznej wskazuje na to, że alergia jest chorobą ciała, a nie duszy. W reakcjach alergicznych uczestniczy układ immunologiczny, jego komórki: limfocyty z podgrupy Th2, granulocyty kwasochłonne (eozynofile) oraz komórki tuczne (mastocyty). Istotną rolę w odczynach alergicznych odgrywają też przeciwciała – immunoglobuliny klasy E-IgE.

Alergicy jednak zauważają i zgłaszają lekarzom, że stres, stany lękowe, depresja, egzaminy, konflikty emocjonalne w pracy czy w życiu prywatnym powodują nasilenie reakcji alergicznych.

Prof. Uwe Gieler z Uniwersytetu Medycznego w Giessen w Niemczech należy do najbardziej znanych na świecie adeptów psychodermatologii, dziedziny medycznej zajmującej się wpływem psychiki na wszelkiego rodzaju choroby skóry. Zajmuje się nią od 30 lat i jest przekonany, że przynajmniej jedna czwarta wszystkich reakcji alergicznych powstaje przy współudziale negatywnych emocji wywołanych stresem. Profesor uważa, że skóra jest wentylem, przez niego wypuszczamy emocje duszy. Sytuacje stresowe, z którymi nie potrafimy sobie racjonalnie poradzić, pojawiają się na skórze w postaci zapalenia atopowego, pokrzywki alergicznej, zaczerwienienia, świądu, obrzęku lub łuszczenia i wysuszenia alergicznego skóry.

W 2015 r. wyniki badań o pozytywnym działaniu psychoterapii w uzupełnieniu leczenia alergicznej astmy oskrzelowej ogłosił także prof. Kazufumi Yoshihara z oddziału medycyny psychosomatycznej Uniwersytetu Kiushu w Japonii. Niektórzy naukowcy już parę lat temu włączyli alergię do chorób psychosomatycznych i dowiedli, że wszystkie pięć twarzy tej choroby, począwszy od postaci skórnej, poprzez alergiczne zapalenie spojówek, alergiczne zapalenie zatok z objawami kataru siennego, astmę oskrzelową

i wreszcie alergię pokarmową, uzależnione są od naszego stanu psychicznego. Stres emocjonalny, ale także i ten wywołany przez zanieczyszczenie środowiska zwiększają poziom hormonu stresu – kortyzolu, który powoduje obniżenie odporności organizmu. Prowadzi to do osłabienia sił immunologicznych i powstawania reakcji alergicznych oraz towarzyszących im różnych infekcji wirusowo-bakteryjnych. Stopień ich ciężkości i czas trwania zależą od poziomu stresu.

Michał, który miał już za sobą próbę leczenia pokrzywki nerwicowej przez psychologa, twierdził, że bardzo mu ona pomogła. Terapia lekami może być uzupełniona przez leczenie psychoterapeutyczne, jeśli pacjent widzi związek choroby ze stresem.

Stres, stany lękowe, depresja, egzaminy, konflikty w pracy czy w życiu prywatnym powodują nasilenie reakcji alergicznych.

Dlatego poleca się prowadzenie dzienniczka przebiegu alergii. Pozwala to stwierdzić, czy istotnie występuje ona w reakcji na jakieś konkretne wydarzenia w naszym życiu. (...) Obecnie na świecie poleca się również mobilizację własnych sił pacjenta do walki z psychogenną komponentą alergii i zastosowanie technik wyciszenia, takich jak *mindfulness*, joga, medytacje, trening autogeny Schultza czy progresywną relaksację mięśni Jacobsona. Są to sposoby do samodzielnej terapii stresu.

Naukowcy z Amerykańskiego Towarzystwa Hipnozy (AHA – American Hypnosis Association) w Tarzanie w Kalifornii (USA) zalecają leczenie stresu towarzyszącego alergii poprzez hipnozę. Na Uniwersytecie w Getyndze psychologowie opracowali metodę samozwalczania alergii poprzez zastosowanie połączenia ćwiczeń oddechowych, fizycznych i technik wyciszenia, w tym także hipnozy.

Stosując techniki mentalne, alergicy mogą wspomóc walkę z katarą sienną, astmą i zmianami na skórze o charakterze atopowego zapalenia skóry czy pokrzywki – twierdzi niemiecki psycholog Klaus Witt, biorący udział w wypracowaniu metody samozwalczania alergii w Getyndze.

Uważa on, że za pomocą odpowiednich technik mentalnych pacjenci mogą zapanować nad reakcjami organizmu, a poprzez autohipnozę zostają uruchomione jego nowe możliwości. Psycholodzy ze szkoły w Getyndze są przekonani, że jeśli pacjent będzie stosował wskazane przez nich metody, jego układ immunologiczny zdola sam zwalczyć lub w znacznym stopniu osłabić wiele symptomów alergii, szczególnie te występujące na skórze.

Naukowcy przestrzegają jednak przed tzw. hobby psychologią. Prof. Uwe Gieler podkreśla, że istnieją formy alergii, które nie mają nic wspólnego z problemami duszy: mają charakter czysto organiczny (cielesny) i wymagają przestrzegania zaleceń typowych dla szkolnej medycyny z zastosowaniem leków antyhistaminowych, sterydowych czy biologicznych. W przypadkach alergii o podłożu genetycznym psychoterapia i inne formy wyciszania nie dają

żadnego efektu terapeutycznego.

Według badań przynajmniej jedna czwarta wszystkich reakcji alergicznych powstaje jednak przy współudziale negatywnych emocji.

Michał i Krzysztof zrozumieli współzależność między stresem a objawami alergii i do leczenia, poza medykamentami przeciwalergicznymi, włączyli psychoterapię. Michał podczas ostatniej wizyty, już po zdanej maturze, zdradził mi, że regularnie przed snaniem poddaje się medytacji, włączając aplikację na smartfonie.

– Pomaga mi to też lepiej spać, a moja pokrzywka nerwicowa już więcej się nie pokazała. Może to efekt zdania matury, a może psychoterapii i medytacji – dodał z uśmiechem, puszcżając do mnie oko.

– Uważam, że wszystko naraz zadziałało na pana skórę – odpowiedziałam z pełnym przekonaniem, ale i z lekką ironią w głosie.

Fragmenty książki
Ewy Kempisty-Jeznach
Chorzy ze stresu. Problemy psychosomatyczne.
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2021



Najgorsza zima na Ziemi

W kolonii pingwinów cesarskich na Antarktydzie



Lindsay McCarre

Gdy zaczął się czerwiec, mieliśmy już za sobą ponad dwa tygodnie bez słońca. Zaskoczyło mnie, że nawet pod jego nieobecność w środku dnia bywa – zwłaszcza przy bezchmurnym niebie – widno jak w porze zmierzchu. Przez większość dnia panował jednak mrok, a do tego zrobiło się wprost niewyobrażalnie zimno. Na ogół też bardzo mocno wiało. Brutalna antarktyczna zima na dobre dała o sobie znać. Wystarczyło wyjść na zewnątrz, a górne rzęsy zaczynały przymarzać do dolnych, przez co trudno się w ogóle patrzyło na świat. Pingwiny miały oczywiście jeszcze gorzej, bo one wieczorem nie mogły schronić się w ciepłej stacji. (...)

Samce pingwinów cesarskich wysiadują po jednym dużym jaju przez ok. 64 dni, czyli dłużej niż jakikolwiek inny ptak na świecie. To naprawdę wielki wyczyn. Dniami i nocami bez

wytnienia walczą o to, żeby się nie wychłodzić i utrzymać cenne jajo na nogach. Wszystkie robią, co mogą, bo to od nich zależy los następnego pokolenia. W okresie mroku zacząłem spędzać z pingwinami więcej czasu. W życiu nie pracowałem w trudniejszych warunkach, ale to były dla mnie niezwykle chwile. Poczytywałem sobie za zaszczyt, że mogę towarzyszyć ptakom w jednym z najtrudniejszych okresów roku. Miałem poczucie, że jedziemy na jednym wózku, że i one, i ja mierzymy się z pewnym wyzwaniem. Pingwiny słyną z tego, że radzą sobie pomimo bardzo niesprzyjających warunków pogodowych. (...)

Słońce przestało nas grać, więc w pogodne dni temperatury zwykle oscylowały w okolicach minus 40 st. Przemarzałem do kości! Palce u rąk i nóg mi sztywniały, skóra między oczami piekła jak przy oparzeniach, a stawy bolały po wielogodzinnym klęczeniu na twardym lodzie.

Pingwiny ewolucyjnie przystosowały się do tych mroźnych warunków, obrastając gęstymi piórami (było ich po ponad sto na cal kwadratowy, więcej niż u jakiegokolwiek innego ptaka). To bynajmniej nie oznaczało, że łatwo im się tu żyło. Panujące tu temperatury mogą przerastać możliwości nawet najlepiej przystosowanego organizmu. Aby przetrwać, pingwiny muszą sobie nawzajem pomagać. Na moich oczach zaczęły zbijać się w gromadę. Przytulanie się do siebie to jedno z ich charakterystycznych zachowań, które bardzo chciałem zaobserwować. Byłem zaskoczony, jak mocno temperatura musiała spaść, zanim pingwiny stwierdziły, że w pojedynkę już sobie nie poradzą.

Zaczęło się od dwóch ptaków, które do siebie przylgnęły. Przypominało to trochę znany z rugby młyn. Pingwiny podcztapywały od tyłu i wciskały swoje otłuszczone ciała pomiędzy dwa inne ptaki. W ciągu zaledwie kilku minut zebrały się ich

setki, a każdy po kolei chował dziób w pierzastym karku stojącego przed nim sąsiada. Tworzyły tak zwarte skupisko, że na metrze kwadratowym lodu mieściło się ich nawet do dziesięciu. Wprost trudno mi było uwierzyć, że tak duże zwierzęta mogą się tak mocno ścieśnić.

Na obrzeżach gromady dostrzegłem ptaka, który dreptał powoli przed siebie, raz po raz się zatrzymując. Poszukiwał najodpowiedniejszej dla siebie luki. Obrócił nogi o 90 st. i naparł całym ciałem na ścianę pingwinów, po czym schował w niej dziób dla większego komfortu. Skulony nad jajem pingwin sprawiał wrażenie grubiućkiego i puchatego. W chwili dołączenia do gromady jego wygląd się jednak zmienił. Jakby za sprawą fali, która przeszła po jego ciele od czubka głowy do końca ogona, jego pióra nagle zaczęły się spłaszczać. Kolejne rzędy opadały na te położone pod nimi. Było to w sumie dość subtelne zjawisko, musiałem więc mocno wytężyć wzrok, aby je dostrzec.

Obserwowałem potem kolejne ptaki dołączające do kolonii i wszystkie w ten sam sposób wyglądały pióra. Zastanawiałem się, po co to robią. Pingwiny jako kolonia funkcjonują razem i jeden drugiego ogrzewa. Pojedyncze osobniki trzymające na nogach jaja utworzyły na moich oczach gigantyczny inkubator i wspólnie wysiadywały mniej więcej 5 tys. jaj, zapewniając im temperaturę nawet o 70 st. wyższą niż ta panująca na zewnątrz. Ptaki robiły, co tylko mogły, żeby minimalizować zużycie energii, ponieważ ciepło było potrzebne nie tylko im, lecz również ich cennym jajom. Tak bardzo o nie dbały i tak wiele dla nich znosiły. Każdy z nich starał się dostać jak najgłębiej, żeby wokół niego znalazło się jak najwięcej grzejących ciał. W swoich wysiłkach zmierzających do utrzymania ciepłoty ciała na poziomie zbliżonym do ciała ludzkiego – czyli ok. 37 st. – samce pingwinów cesarskich wykazywały się współpracą, o jaką w świecie przyrodniczym raczej trudno.

Wpatrywałem się w pozornie nieruchomą mozaikę nawarstwiających się na siebie pingwinów. Wiatru nie było w ogóle. Na wschodzie na czystym niebie pojawił się księżyc. Inaczej niż w jasne letnie dni, gdy bez

okularów po prostu nie dawałem sobie rady, teraz krajobraz wydawał mi się miękki i delikatny. Księżyc co prawda świecił jasno, ale żrenice i tak mocno mi się rozszerzały, żeby wychwycić jak najwięcej jego blasku. Od południa minęło już dobrych kilka godzin, więc po słońcu ukrytym po drugiej stronie Ziemi nie pozostała już nawet łuna nad horyzontem. Pięciotysięczne zbiorowisko samców skupiało się na niewielkim skrawku lodu. Pingwiny zajmowały teraz znacznie mniej miejsca niż wtedy, gdy temperatury pozwalały parom na względną niezależność.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że ptaki zbiły się w ciasną gromadę i trwają w bezruchu. W pewnym momencie zacząłem jednak dostrzegać subtelny ruch w tym zbiorowisku. Jeden ptak zmieniał ułożenie nóg i w rezultacie odcierał nieco któregoś ze swoich sąsiadów.

Samce pingwinów cesarskich wysiadują po jednym dużym jajku przez ok. 64 dni.

Wtedy pingwin obok niego robił to samo. Powstawał efekt fali, która stopniowo przelewała się przez całą kolonię. Ciszę mącił delikatnie odgłos ruchu łuskowatych nóg i pazurów przesuwających się po lodzie. Cała grupa przesunęła się zaledwie o parę centymetrów. Zastanawiałem się, co im to właściwie daje. Czy na taki mróz można w ogóle cokolwiek poradzić? (...)

5 tys. głów stojących w osi północ-południe utworzyło formację o kształcie prostokąta. Ustawiając kamerę, uśmiechałem się pod kominiarką na myśl o tym, że jeśli prognozy się sprawdzą, to lada moment zobaczę coś, co dotąd widziałam zaledwie garstka ludzi na ziemi. Wszystko zmierzało w dobrym kierunku.

Dokładnie o godz. 12 powierzchnia lodu od południa zaczęła się marszczyć. Za sprawą wzmagającego się wiatru podłużne linie lodowych kryształków przepływały jak węże coraz bliżej. Nasz pan pogodnyka tym razem się nie pomylił. Pingwiny ustawione na obrzeżach gromady, a przez to bardziej narażone na działanie zewnętrznych czynników atmosferycznych, wyraźnie się zaniepokoiły, jakby wiedziały, co je za

chwile czeka. Wkrótce potem lekki wietrzyk przeistoczył się w wichurę, a pełzające węże w stado dzikich byków, ponieważ teraz kawałki lodu unosiły się już na wysokości naszych głów. Widoczność w błyskawicznym tempie się zmniejszyła – do tego stopnia, że straciliśmy z oczu większość pingwiniej gromady – a gdy akurat mocniej zawiąło, nie było widać zupełnie nic. (...)

Pingwiny natychmiast zareagowały na gwałtowny atak wiatru. Większość z nich jeszcze mocniej wcisnęła głowy pomiędzy dwa ptaki, na których się opierały. Na skraju gromady szybko jednak gromadziły się zwąły śniegu i dla samców najwyraźniej było oczywiste, że muszą koniecznie coś zrobić, żeby nie dać się zasypać. Gromada się rozluźniła, bo kolejne ptaki wędrowały na bardziej osłoniętą stronę nasypu. Dotkliwie odczuwały uderzenia wiatru, więc jeden po drugim odłączały się od grupy, aby udać się tam, gdzie będzie bezpieczniej. Utworzyły długą kolejkę i wędrowały po obrzeżach

skupiska, jakby instynkt nakazywał im przeniesie się teraz do grupy tworzącej się po spokojniejszej stronie. Następne ptaki przemieszczały się na tyły gromady, żeby się chronić. Kolonia była w ciągłym ruchu. Im dłużej trwała śnieżycza, tym dłuższą pokonywała trasę. (...)

Pingwiny stale przemieszczały się po obrzeżach, a śnieg gromadzący się po obu stronach ich trasy zaczynał tworzyć pagórki. Te wzniesienia stanowiły potencjalnie śmiertelne zagrożenie dla samców, które przecież ciągle jeszcze nosiły na nogach swoje cenne jaja. Pingwiny gęsiego przedzierały się przez zwąły śniegu. Powłócząc nogami w żółtym tempie, z jajem pod brzuchem ostrożnie trawersowały potężne nasypy.

Wycelowałem obiektyw kamery tak, aby sfilmować następnego ptaka, który to wyzwanie podejmie. Nerwowe pingwiny ustawiały się jeden za drugim jak klocki domina. Te z przodu wyruszyły w dół. Ich przewodnik nie miał innego wyjścia, jak rzucić się na brzuch. Zapowiadało się na wielką tragedię, bo przecież na jego nogach ciągle jeszcze spoczywało bezcenne jajo. Byłem przekonany, że na skutek upadku ▶

▶ wytoczy się na lód, pingwin podtrzymywał je jednak ogonem podwiniętym pod brzuch. Poza tym nic więcej tego białego skarbu nie zabezpieczało. Posługując się dziobem jak czekaniem, pingwin przesuwiał się naprzód, robiąc miejsce swoim niecierpliwym naśladowcom. (...)

Podmuchał już minął, ja wstałem. Wtedy zauważyłem, że pingwin nadal leży na brzuchu i nie może się podnieść. Nie był w stanie normalnie pracować nogami, więc wbił dziób w śnieg i próbował oddepchnąć się nim od ziemi. Wspierając się na skrzydłach, wyginał plecy, aż w końcu udało mu się wrócić do pozycji pionowej. Byłem pod wielkim wrażeniem gibkości jego ciała. Ileż potrafił osiągnąć z jajem ułożonym na nogach. Śnieżycy cały czas przybierała na sile i ledwo dawało się wytrzymać, ale ja byłem coraz bardziej podekscytowany. Adrenalina tętniła mi w żyłach, bo na moich oczach rozgrywało się coś absolutnie wyjątkowego. Nawet biolodzy, którzy całymi latami badają cesarze, rzadko mają sposobność przyglądać się tym ptakom w tak trudnych warunkach. (...)

Śnieżycy przepchnęła wiecznie wędrujące ptaki o ponad półtora kilometra. W pewnym momencie dotarli do lodowego klifu i już nie miały dokąd pójść, zaczęły więc powolny marsz gęsiego do miejsca, z którego przybyły. 5 tys. ptaków jeden po drugim odrywały się od gromady i wędrowały po lodzie. Choć wichura bezlitośnie je wymęczyła, nie miały innego wyjścia, bo lada moment pogoda znów mogła się popsuć.

Spoglądałem na przemierzające się ptaki i zastanawiałem się, co one wiedzą, czego ja nie wiem. Dlaczego zadają sobie tyle trudu, żeby wrócić na stare miejsce? Przecież to na pozór wcale nie wydaje się konieczne. Ten kawałek lodu, na którym się aktualnie znajdowały, na pierwszy rzut oka niczym się nie różnił od tego, na którym spędziły całą jesień i całą zimę. Z obu stron otoczone klifem tworzyły jakby małą zatoczkę. Można by wręcz pomyśleć, że takie miejsce zapewni im lepsze schronienie. Zdążyłem jednak trochę już poznać cesarzy, wiedziałem więc, że to absolutnie nie są głupie stworzenia. W przyrodzie tak to już jest, że wszystko ma swoją przyczynę

– i tylko ja nie potrafiłem jej rozgryźć. Czyżby pingwiny uznały, że lód jest tu za mało stabilny? A może martwiły się, że samice nie zdołają ich odnaleźć w nowym miejscu? Do głowy przychodziło mi wiele wytłumaczeń.

Kolonia przemieszczała się z powrotem do punktu, z którego wyruszyła, więc zjechałem skuterem po rampie na morski lód. Raz po raz dostrzegałem gdzieś porzucone jaja, zawsze z wyraźnym pęknięciem biegnącym od czubka do dna. Znajdujący się w środku płynny zarodek zamarł, a wówczas zawartość jaja powiększyła swoją objętość i rozepchnęła skorupkę. Wraz z każdym kolejnym podmuchem wiatru śnieg unosił się z ziemi i coraz bardziej je przykrywał. Wkrótce jaja miały stać się elementem krajobrazu.

Pingwiny jako kolonia funkcjonująca razem i jeden drugiego ogrzewa.

To było moje pierwsze spotkanie z pingwiną śmiercią. Z pewnym zaskoczeniem stwierdziłem, że nie robi to na mnie aż takiego wrażenia, jak się spodziewałem. Zdecydowanie mocno serce ścisnęło mi się na widok samotnego ptaka, który wędruje bez jaj na nogach. Miałem świadomość, ile wysiłku samce wkładały w ochronę jaja, więc żał mi było tych, którym nie udało się doprowadzić misji do końca. Ich samice żerowały teraz w morzu, niczego nieświadome. Gromadziły tłuszcz i zbierały pokarm, z którym miały wkrótce powrócić do swoich młodych. Nie wiedziałem, że niepotrzebnie się wysilały. Z części jaj miało się nic nie wykluć, kilku samcom nie udało się sprowadzić na świat kolejnego pokolenia cesarzy. Patrzyłem na to z niemałym zaskoczeniem, po tak straszliwej śnieżycy spodziewałem się bowiem zobaczyć znacznie więcej jaj, z których nie wyklują się pingwiny. Byłem pełen podziwu dla tych ptaków!

Zbliżałem się już do przemierzającej się kolonii, gdy nagle tuż przede mną wyrósł jakiś czarny pagórek. Lód był nieskazitelnie biały, więc jeśli tylko coś się na nim pojawiło, od razu stawało się widoczne. Podjechałem bliżej i zatrzymałem się w pewnej odległości od tego obiektu. Gdy tylko zeskokczyłem ze skutera,

od razu stało się dla mnie jasne, co mam przed sobą. Na śniegu leżał martwy dorosły pingwin cesarski. Najprawdopodobniej poległ w walce z pogodą, ale na jego ciele nie było widać żadnych śladów po tym starciu. Jego pióra prezentowały się tak samo dostojnie jak u żywych ptaków, które stały nieco dalej. Tylko po oczach można było poznać, że zwierzę nie żyje. (...) Między wyciągniętymi nogami a jednym ze skrzydeł wystawało ze śniegu jajo. Patrzyłem na dwie ofiary śnieżycy. Na półmetku zimy pingwiny miały jeszcze przed sobą miesiąc wyczekiwania na młode i na powrót partnerek. Cesarze żyją średnio 20 lat. Zastanawiałem się, w jakim wieku był ten leżący przede mną. Czy to był jego pierwszy sezon lęgowy, czy może 15.? Spoglądałem

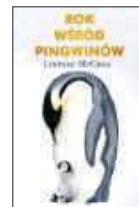
na rządy ptaków, które ponownie tworzyły gromadę, i rozmyślałem o tym, ile jeszcze będą musiały przejść.

Cały czas intrygowało mnie, dlaczego one się przemieszczają. Zdawało się, że kolonia była w ciągłym ruchu, ale zwykle jakby tylko odsuwała się od miejsc zanieczyszczonych odchodami. Tyle że po świeżych opadach guano nie stanowiło już problemu. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek uda mi się zrozumieć, po co pingwiny przenoszą się z miejsca na miejsce. Tego konkretnego zachowania nikt wcześniej nie udokumentował, ale gdy tylko temperatury znów zaczęły zbliżać się do minus 50 st., ptaki zbiły się w gromadę i ponownie zapadła wśród nich cisza.

Tak samo jak w domu, mroźne poranki najbardziej dawały się we znaki przy bezchmurnym niebie. Jeśli nad zatoką wisiła akurat izolująca warstwa szarych chmur, pogoda sprawiała wrażenie jakby łagodniejszej. Przy temperaturach powyżej minus 30 st. zwykłem teraz mówić, że jest „ciepło”.

Cesarze znów osiadli w stałym miejscu, a ich aktywność ograniczała się do zbijania się w gromadę.

Fragmenty książki
Lindsaya McCarre'a
Rok wśród pingwinów,
przeł. Bartosz Salbut,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2021



Parę słów o zarabianiu

No to porozmawiajmy o pieniądzu, czyli o handlowaniu. Rozmowa nie będzie długa, gdyż system promocji gospodarczej został przez PiS skutecznie rozmontowany. Wcześniej zajmowały się tym wydziały ds. promocji handlu i inwestycji przy ambasadach. Ale praktycznie już ich nie ma.

Owszem, nie były one idealnym rozwiązaniem, szczególnie w Europie, ale w krajach z „kapitalizmem państwowym”, takich jak Chiny, Indie, Wietnam czy nawet Korea Południowa (czebole) lub państwa Zatoki, sprawdzały się znacznie lepiej niż pomysł PiS, czyli zagraniczne biura handlowe Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu. Bo dziś pracują w nich słabo opłacani, młodzi ludzie świeżo po studiach. I to bez wsparcia państwa, w miejscach często odległych od politycznych centrów decyzyjnych. Biura te są przez władze krajów, w których działają, traktowane jak setki tysięcy filii czy spółeczek i spółek. Nie są w stanie NICZEGO załatwić w ministerstwach, urzędach, na cle czy w nadzorze sanitarnym. Kierują więc problemy i przedsiębiorców, którymi zajmowały się WPHI, do ambasad. A w Azji zlikwidowano wszystkie wydziały ekonomiczne oprócz tego w Pekinie. Na świecie zostało ich zaledwie kilka.

Gwoli sprawiedliwości, demontaż tego systemu zaczął się już wcześniej, gdy Radosław Sikorski zlikwidował konsulatory generalne w tak ważnych gospodarczo miejscach jak Ho Chi Minh (dawniej Sajgon) czy Karaczi. Bardzo też chciał zlikwidować konsulat generalny w Hongkongu. Ale dyrektor departamentu Azji i ambasador w Chinach wyperswadowali mu ten pomysł.

Ojcem ustawy, która w 2017 r. zlikwidowała hurtem WPHI, był ówczesny prezes PAIH, Tomasz Pisula. Zlikwidował i odszedł. W międzyczasie w wywiadach zdążył

naopowiadać bzdur o wydziałach ambasad: że przerosty w zatrudnieniu, ogólnie bizancjum, bo w biurach mają palmy. No i mają kierowcę!

Panie były prezesie! Skromność i jeżdżenie prywatnymi samochodami sprawdza się w Skandynawii. W Azji nie, bo brak porządnego biura w dobrym punkcie i kierowcy świadczy o tym, że interesy źle idą! A co do kierowców... Niektóre państwa czy firmy zabraniają swoim obywatelom i pracownikom jazdy samochodami bez miejscowego kierowcy. Ze względów bezpieczeństwa.

A czego panu Pisuli nie udało się zrobić, mimo poparcia premiera? Zlikwidować bzdury: za eksport jabłek czy cebuli odpowiada Ministerstwo Rolnictwa, czyli Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa, a za eksport technologii do ich np. przechowywania – Ministerstwo Gospodarki, czyli PAIH.

To nie jest drobiazg i pan Pisula nie powinien wyśmiewać się w wywiadach z eksportu jabłek i cebuli. Raczej powinien wiedzieć, że w takich Indiach cebula jest towarem strategicznym. W 2014 r. Indyjski Kongres Narodowy przegrał wybory z powodu jej braku na rynku i gwałtownego wzrostu cen. Chętni na polskie jabłka i cebulę, ale również na technologie do ich przechowywania, zatem są. Polski towar też jest. Brakuje tylko fachowca, który by połączył eksport towaru z eksportem technologii, a nie likwidował.

Na marginesie, najważniejsze państwa UE: Francja, Niemcy, Hiszpania, Holandia, nawet Austria, mają w ambasadach najważniejszych krajów Azji zarówno wydziały ekonomiczne, jak i wydziały promocji gospodarczej. Może warto uczyć się od lepszych?

Attaché



Nauka najlepiej idzie na łonie natury. 10-letnia Fiammetta odbywa lekcje online w otoczeniu stada kóz należącego do ojca. Caldes, północne Włochy.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- dominujący osobnik u zwierząt stadnych
- uczył jej dr Nicolaes Tulp
- Nowa z Maine, New Hampshire
- smacznik
- odegrany na trąbce sygnał wieczornego apelu
- przeplatane ścięgi w miejscu dziury

- kukurydziane lub serowe do pogryzania
- w formie dosłownej albo sparafrasowanej
- rodzinne miasto Poświętowskiej
- badane na podstawie deklaracji, ilu sięgnęło po książkę
- szczapy na opał
- można mieć rozbuchane

- karbowy
- wywozi towary za granicę
- elektroda tranzystora
- łączy się z Tygrysem w rzekę Szatt al-Arab
- nienaturalnie wysoki śpiew męski
- kasa dla Banderasa
- przywódca zbójników tatrzańskich
- żeglowski w poprzek Mierzei Wiślanej
- pływa nim bohater „La Belle Sauvage” Pullmana
- nadstawia go to narażać się
- maltański albo mieczowy
- torbac z lasów eukaliptusowych Australii

- pled
- załatwia coś nieuczciwie, robi podejrzaną interesy
- najszybszy z podstawowych stylów pływackich
- zewnętrzna powierzchnia różnych przedmiotów
- miasto z „Komisarza Aleksa”
- wytwórnia monet, medali
- z łbem i zakuwką
- służbowa sporządzana przez policjanta
- blaszka od szatniarza
- minerał odznaczający się piękną grą barw
- ma odmienne zdanie w dyskusji
- zbliżony kształtem do elipsy
- kasza pisana też z cz
- żółtodziób w gnieździe
- beletrysta
- stalker, gnębiciel

- placek z ciasta drożdżowego smażony na tłuszczu
- starszy flisak, który kierował spławem
- do wyświetlania przezrocz
- belchatowscy siatkarze
- za patrona ma św. Bawona
- od łacińskiego zdrowie przez wodę
- bezinteresownie pracuje dla dobra innych
- odwaga, pewność siebie
- koralowiec jak kielich zakończony wypustkami
- do gazety – to insert
- duchowe albo materialne, finansowe
- pogląd w jakiejś sprawie
- dobra czy raczej dojna?
- sprawienie przykrości, urażenie uczuć

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1007”. Do rozlosowania książki „Później” ufundowane przez Wydawnictwo Albatros. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 kwietnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1004” z nr. 12: *Strach robi z nas pesymistów.*
Nagrody otrzymują: Danuta Kawińska z Łodzi, Wojciech Lubomski z Krakowa, Zbigniew Nowak z Podkaminska.

PENETRACJE

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

THOMAS PIKETTY,
FRANCUSKI
EKONOMISTA

Kraje, w których opieka medyczna została sprywatyzowana, borykają się z wieloma problemami. Na przykład Stany Zjednoczone, które wydają na zdrowie olbrzymie pieniądze z budżetu federalnego, ale długość życia jest tam stosunkowo niska. W perspektywie długoterminowej rola państwa w gospodarce powinna nadal rosnąć. Trzeba jednak uważać na to, w jaki sposób środki publiczne są wydatkowane. Ważną rolę w procesie decyzyjnym powinny odgrywać różne zdecentralizowane ośrodki – stowarzyszenia, związki, uniwersytety czy same szpitale. Mam nadzieję, że pandemia wymusi na nas pójście w tym kierunku.

zwierciadło

MICHAŁ RUSINEK,
LITERATUROZNAWCA

Uczestniczki protestów, doprowadzone do furii, dały tej furii wyraz, przekraczając granice tego, co w patriarchalnym społeczeństwie kobiecie językowo uchodzi. Głównym hasłem było: „Wypierdalać”, a jeśli ktoś z oburzeniem pytał, czemu jest tak mocne (ja uważam, że mocniejsze było: „Obyś, chuju, wdepnął w lego”), to mógł przeczytać napis na innym transparenecie: „Zaniepokojona to ja byłam w 2016”. Większość haseł miała charakter rewolucyjny, np.: „Kobiety zniosą wszystko, najpierw was z piedestału” albo „Wody odeszły, robimy rewolucję”.

Press

OLGA GITKIEWICZ,
LAUREATKA GRAND
PRESS 2020

Sporo osób, zwłaszcza tych, które zaczynają, ma poczucie misji i jednocześnie bardzo chce publikować. Pragnienie zobaczenia swojego nazwiska w druku jest przeogromne. Redakcje mogą łatwo grać tym poczuciem misji i oferować kiepskie warunki. Próba utrzymania się z pisanie tylko na zlecenie jest udręką. Mało która redakcja płaci koszty podróży. Warunki pracy pogarszają się z roku na rok. Znam wiele osób, które przestały pisać. Bo nie jest łatwo, kiedy np. nie ma się składki zdrowotnej i nie można iść do lekarza, albo ma się fajny pomysł na tekst, ale trzeba pojechać gdzieś i zanoćować w hotelu, spotkać się z ilomaś osobami... Skąd wziąć na to kasę?

STYL

MICHAŁ ŻURAWSKI,
AKTOR

Jestem Ślązakiem, w rodzinie są wątki niemieckie, żydowskie. Niedawno podczas rozmowy z babcią okazało się, że i tatarskie. Odkąd uświadomiłem sobie genetyczną porywcość, pracuję nad siłą spokoju. Zaczęłem trenować boks, gdy przeczytałem „Króla” Szczepana Twardocha. Postać boksera Szapiry tak mnie zafascynowała, że już czytając książkę, wyobrażałem sobie – to ja! I chciałem zagrać Szapirę.

Aby język giętki...

PROF. JANUSZ REYKOWSKI

O MINISTRZE PRZEMYSŁAWIE CZARNKU

Nie ma najmniejszego śladu, że rozumie i uznaje zasady działania współczesnej liberalnej demokracji.

MAJA KOMOROWSKA

O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Odwołuje się do naszych słabości i umiejętnie nimi manipuluje.

JACEK ŻAKOWSKI O BORYSIE BUDCE

Może wstrząsnąć partią lub dalej grać z wyborcami w kulki, nic nie robić i patrzeć, jak PO zanika.

JERZY URBAN

O WPĘDZANIU GO W PYCHĘ

Poważna polsko-angielska firma kręci o mnie film dokumentalny. Wybitni autorzy piszą moją biografię, chociaż wcześniej ukazały się trzy.

MAREK SOWA O DANIELU OBAJTUKU

Trzeba sprawdzić, czy parasol służb jest nad nim rozpięty od samego początku.

PROF. PIOTR HOFMAŃSKI

O ŚWIECIE FIKCJI

Nowa KRS i Izba Dyscyplinarna realnie i na gruncie prawa w Polsce nie istnieją.

MARYLA RODOVICZ O SWOIM GŁOSIE

Procentują tysiące wyśpiewanych godzin. Stąd barwa mojego głosu, z taką lekką, charakterystyczną chrypką.

ANITA WŁODARCZYK O KOBIECZOŚCI

Moja konkurencja jest mocno męska, więc muszę tę kobiecość jakoś pielęgnować. Zawsze przed zawodami mam pomalowane paznokcie.

ARTUR ANDRUS O OKLASKACH

W czasie zamknięcia w domu zdarzało mi się stawać przed lustrem i klaskać sobie samemu.

LIDIA POPIEL O PRZYSZŁOŚCI

Przed wszystkim mam nadzieję, że nie zostanę starym dziadem.

MAJA OSTASZEWSKA O SOBIE

Nauczyłam się oddzielać własne potrzeby od cudzych oczekiwań.



Tradycyjny potów ryb na mokradłach Tanguar Haor, rozległym obszarze jezior i bagien w regionie Sunamganj w Bangladeszu.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Wielka Siostra patrzy

Międzynarodowa grupa hakerów przejęła kontrolę nad 150 tys. kamer monitoringu, którymi zarządza amerykańska firma Verkada. Cyberwłamywacze uzyskali dostęp do obrazu przekazywanego na żywo, ale także do archiwalnych nagrań, m.in. ze szpitala na Florydzie, posterunku policji w Massachusetts, więzienia w Alabamie i fabryki w Szanghaju. Tłumaczą, że chcieli zwrócić uwagę na zagrożenia związane z wszechobecnością nadzoru wizyjnego. Permanentna inwigilacja!

Stracił głowę dla lajków

Zdobywająca popularność młoda japońska motocyklistka jest w rzeczywistości 50-letnim mężczyzną – ujawniła stacja NTV. Telewizja zainteresowała się bohaterką twitterowego profilu @azusagakuyuki, gdyż coraz częstsze były głosy, że jej zdjęcia są zmanipulowane. Przykładowo na jednym z nich ramiona influencerki niezbyt pasowały do jej płci i wieku. Dziennikarze dotarli do właściciela konta, który szczerze przyznał, że dla sieciowej sławy doklejał sobie głowę atrakcyjnej dziewczyny. Naszym zdaniem można uznać, że wyszedł z tej sytuacji z twarzą.

Bilet na piękne oczy

Już 121 firm na świecie korzysta ze stworzonej we Wrocławiu technologii, umożliwiającej dokonywanie płatności... spojrzeniem. System opracowany przez firmę Pay Eye skanuje tęczówkę, a następnie pobiera odpowiednią kwotę z wirtualnego portfela zidentyfikowanego użytkownika. W stolicy Dolnego Śląska można w ten sposób zapłacić m.in. za wstęp do aquaparku oraz za bilet miesięczny. „Mawia się, że oczy są zwierciadłem duszy. Jak się okazuje, mogą się sprawdzić także w charakterze karty płatniczej”, trafnie podsumował Krzysztof Balawejder, prezes wrocławskiego MPK.



Mobilne kramy sprzedawców owoców w Hanoi.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Boso, ale w sneakersach

Słynny włoski dom mody Gucci zaprezentował w pełni cyfrowe buty sportowe, stworzone we współpracy z białoruską platformą Wana. Sneakersy, które zaprojektował Alessandro Michele, kosztują 12 dol. i, jak poinformowano w komunikacie prasowym, przeznaczone są m.in. dla tych, którzy chcieliby zaznać luksusu, ale ich na niego nie stać. Po zapłaceniu za swoją parę można ją nosić w wirtualnych światach, np. w tym stworzonym przez firmę Roblox. To takie buty!

Dziar-ska technologia

W ramach kampanii reklamowej sieci T-Mobile holenderska aktorka Stijn Fransen została wytatuowana przez robota. Urządzenie powtarzało ruchy specjalisty od ozdabiania skóry, Wesa Thomasa, który przebywał w zupełnie innym miejscu. Do zdalnego wykonania tatuażu wykorzystano technologię 5G. Przedsięwzięcie miało pokazać, że umożliwia ona przesył danych praktycznie w czasie rzeczywistym. Rewolucja technologiczna wydaje się być za rogiem, czy może raczej tusz-tusz!





Kosmiczny bukiet

We Francji odbyła się pierwsza w historii degustacja wina, które dojrzewało w przestrzeni kosmicznej. Mowa o jednej z 12 butelek z czerwonym trunkiem, które pod koniec 2019 r. wyruszyły na orbitę w ramach badań nad reakcjami złożonych płynów na zerową grawitację. Wybitni znawcy, którym przewoził prof. Philippe Darriet z Uniwersytetu w Bordeaux, jednogłośnie uznali, że 14 miesięcy na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej nie zahamowało nabierania przez wino szlachetności. Przeciwnie, Jane Anson z magazynu „Decanter” zasugerowała, że jest ono wręcz dojrzalsze niż partia, która została na Ziemi, gdyż ujawniło więcej kwiatowych aromatów. Szkoda, że Pan Twardowski tego nie dożył!



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Iglińska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska,
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzytytorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowsechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Daremne modlitwy, próżny trud

Polscy naukowcy wzięli pod lupę wpływ modlitw wstawienniczych na zdrowie biskupów, a efekty swoich dociekań opublikowali w „Journal of Religion and Health”. Natalia Banasik-Jemieliński, Dariusz Jemieliński i Wojciech Pędzich przeanalizowali dane z lat 1988-2018 i nie stwierdzili różnicy między średnią długością życia kościelnych dostojników z największych i najmniejszych diecezji, co może oznaczać, że nawet duża liczba modlących się w intencji danej osoby nie gwarantuje jej dobrostanu. Sprawa wymaga dalszych badań, podobnie jak kwestia skuteczności innych modlitw, np. o to, żeby sąsiadowi popsuło się to nowe luksusowe auto.





Czy jesteś szczęśliwa?

Katarzyna Karpowicz



Niebieska maska



Dziś są moje urodziny, Maurin

Artystka od urodzenia związana z Krakowem. Studiowała na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie w pracowni prof. Grzegorza Bednarskiego i w pracowni prof. Leszka Misiaka. Dyplom obroniła z oceną celującą w 2010 r. W 2019 r. zdobyła stypendium Fundacji Grazella im. Anny Marii Siemieńskiej dla wybitnych młodych twórców. Jej figuratywne obrazy to krótkie, znane każdemu historii o braku bliskości, otaczającej nas pustce, wyalienowaniu i wycofaniu. Katarzyna Karpowicz czerpie też z własnych doświadczeń. Te związane z niedawno przeżytą chorobą przekazuje w cyklu „Medycyna”. Więcej prac można zobaczyć na www.katarzynakarpowicz.pl.



Ostatni ślub w Sztetel

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1%

TWÓJ 1% DAJE SIŁĘ I NADZIEJĘ
**NIEULECZALNIE
CHORYM DZIECIOM**
KRS: 0000168783

Fundacja
Dziecięca
Fantazja



STODOLA

more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

KULT

AKUSTIK

2021



4 MAJA

CENTRUM SPOTKANIA KULTUR / LUBLIN

—

9 MAJA

KLUB WYTWÓRNIA / ŁÓDŹ

—

13 MAJA

CKK JORDANKI / TORUŃ

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL